Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 1 czerwca 1952 r. | Nr 22 (114) Rok III

W NUMERZE: m. in.: **André Wurmser** — André Stil — Nagroda Stalinowska; **Zbigniew Stolarek** — Wywiad z André Stilem; **Anna Karawajewa** — Głos w dyskusji przyjaciół; **Kazimierz Koźniewski** — Trzy brygady młodzieżowe; **Ewa Fiszer** — Na trasie pokoju; **Włodzimierz Słobodnik** — Obory pod Warszawą; **Paweł Jasienica** — Konflikty ludzkiej krwi; **Zofia Nałkowska** — W ciemności; **Natalia Rolleczek** — Litość; **Krystyna Nowakowska** — Mały felieton o małych dzieciach; **Czesław Petelski** — O nowe kadry filmowe; **Zygmunt Kałużyński** — Ohydny młynarz i promienny działacz; **Roman Brandstaetter** — O pracy nad „Królem i aktorem".

O szczęście dziecka

— „Mamo, czy to prawda, że Niemcy nie są już źli, że się poprawili, bo Maciek tak powiedział?" — Milczałam zaskoczona naiwną formą pytania mego 6-letniego syna, pytania, za którym kryje się tyle skomplikowanej, tragicznej treści. Wobec tego padło następne: „Mamo, a czy niemieckie dzieci też były złe, czy tylko dorośli?" — Tylko część dorosłych — odpowiedziałam już bez wahań.

Potem próbowałam wyjaśnić swoimi słowami, że wszystkie dzieci przychodzą na świat dobre, a dopiero z tych dzieci wyrastają źli albo dobrzy ludzie, zależnie od warunków, od ustroju społecznego, jaki ich wychowuje. I, że ci źli pragną, żeby po niebie fruwały bombowce, a ci dobrzy żeby fruwały gołębie. — „To ja chcę, żeby gołębie, więc ja jestem dobry" — zakończył rozmowę mój syn, w poczuciu absolutnego zrozumienia problemu zawierającego w sobie los milionów istnień i przyszłość cywilizacji.

Dzieciom, jak się okazuje, łatwiej wyjaśnić niektóre proste prawdy, niż niektórym „dorosłym". Bo przecież, gdyby je rozumieli wszyscy dorośli, nie musielibyśmy się obawiać o los dzieci.

Dziś jedynie ci, których obojętność „dorosła" do rozmiarów podłości, mogą udawać niewiedzę, że Amerykanie, uczący swoją młodzież podziwiać rewolwery, trupy i krew, zrzucają zarażone owady na spokojny kraj, rozstrzeliwują dzieci, zakopują żywcem całe rodziny, ucinają głowy Malajczykom, torturują jeńców na „wyspie okropności".

Nawet dzieci nasze wiedzą już, że są też i inni Amerykanie dążący do tego, aby budowano szkoły i szpitale zamiast czołgów i bombowców, którzy nie boją się ukazywać prawdziwego oblicza morderców dzieci i za głoszenie prawdy siedzą w więzieniach — są dobrzy

Również dlatego, że kochamy nasze dzieci, jesteśmy po stronie Niemki Anny Seghers, Amerykanina Howarda Fasta i milionów ludzi walczących o prawo do życia, a nie po stronie Niemca Adenauera, Amerykanina Ridgwaya i garstki podpalaczy walczących o większe zyski i możność bezkarnego zabijania. Dzieci w czasie wojny to przecież najsmutniejsze ofiary.

Pamiętam trzyletnie dzieci polskie stojące na baczność przed SS-manami podczas Oświęcimskiego apelu, i dzieci przerzucane w workach przez mury getta, i dzieci wyrzucane przez okna płonących miast, i uśmiechnięte dziecinne buzie dzieci znikających w gazowych komorach. Wiem o dzieciach greckich wypełniających dziś obozy koncentracyjne i o dzieciach japońskich sprzedawanych do domów publicznych, i o żebrzących dzieciach włoskich wyciągających błagalnie chude rączki, i o półnagich okrytych łachmanami, dziesiątkowanych przez choroby dzieciach w Tunisie, i o małych chłopcach synach Murzynów i Niemek z Norymberskiego sierocińca, którzy modlą się słowami: „Boże spraw, aby moja skóra stała się biała".

Z Korei, z Malajów, z Indochin, z Egiptu, z krajów, gdzie dzieci znajdują się na pierwszej linii frontu — zewsząd rozlega się płacz dzieci codziennie zabijanych przez faszyzm.

Tylko ślepi i głusi od nienawiści nie pojmują skutków rozpętywania histerii wojennej przez Amerykanów przygotowujących psychologicznie do wojny młodzież przez alarmy atomowe i wieszanie dzieciom na szyi numerka mającego służyć przy identyfikacji ich trupów. Tylko ślepi i głusi od nienawiści nie widzą: kochać dzieci to znaczy walczyć o pokój. I czemu się potem dziwić, że tam na ankietę „Kim chcesz być za dziesięć lat" dzieci odpowiadają — „za 10 lat nie będę już żył". Jak można nie odczuć piękna śmiałych marzeń naszych dzieci, które mówią — za 10 lat będę inżynierem i będę budował pałace przyjaźni między narodami.

Ślepych i głuchych od nienawiści nauczmy się nienawidzić dlatego, że tak bardzo kochamy dzieci.

W Międzynarodowym Dniu Dziecka obiecajmy dzieciom, że uczynimy wszystko, aby świat „się poprawił". I że po niebie będą fruwały gołębie.

Krystyna Zywulska

STANISŁAW TAZBIR

Wojewódzka Miejska Biblioteka Publiczna SOPOT

Zbyt mało wiemy o książce

Zakończyliśmy tegoroczne „Dni Oświaty, Książki i Prasy". Była to z kolei czwarta doroczna wielka akcja ogólnokrajowa, urządzona według tych samych, względnie bardzo podobnych zasad organizacyjnych. Nie posiadamy jeszcze co do niej dostatecznych materiałów sprawozdawczych, aby móc szczegółowo i dokładnie ocenić jej wyniki. Wypowiadając się dziś na jej temat, chociażby najogólniej, trzeba opierać się tylko na poczynionych obserwacjach, na świeżych jeszcze wrażeniach i na tych danych, które w toku akcji przyniosła i utrwaliła prasa krajowa. Nie jest to wystarczające, gdyby szło o napisanie artykułu ściśle sprawozdawczego, ale zamiar mój jest inny i skromny: idzie mi o podzielenie się z czytelnikiem uwagami i refleksjami dotyczącymi spraw, związanych z upowszechnieniem książki i czytelnictwa. Ponieważ łączy się to z problematyką „Dni Oświaty, Książki i Prasy", pragnę o nich powiedzieć na wstępie słów kilka.

TEGOROCZNE „DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY"

Akcja tegoroczna — według moich wrażeń — miała chyba spośród wszystkich dotychczasowych „Dni Oświaty, Książki i Prasy" — największy rozmach organizacyjny i zmobilizowała do wspólnych wysiłków ogromne zastępy ludzi, którym sprawa oświaty i kultury, sprawa słowa drukowanego, i książki w szczególności, jest bliska i droga. Mimo równie krótkiego jak w poprzednich latach, a wskutek tego gorączkowego okresu przygotowawczego, udało się organizatorom ogarnąć imponującą akcją całą Polskę, jak długa i szeroka, udało się ukazać społeczeństwu to wszystko, co świadczy o konsekwentnej, wytężonej walce o nową kulturę, udało się ukazać dotychczasowe osiągnięcia Polski Ludowej w tej walce. Wyzyskane zostały — jak się wydaje — wszelkie możliwe środki i metody, mające na celu skupienie uwagi społeczeństwa na doniosłych, aktualnych zagadnieniach oświaty i kultury. Odnosi się wrażenie, że nie zapomniano o niczym, co mogło pociągnąć widza i słuchacza, oddziałać na niego uświadamiająco, przekonać go, a wreszcie — przy pomocy atrakcji rozrywkowych — uchronić go przed znużeniem. Ten ogromny wysiłek informacyjno-propagandowy, dbałość o to, żeby „Dni" były interesujące wewnętrznie i pociągające zewnętrznie — staje się zrozumiały w pełni dopiero wtedy, gdy poprzez prasę (artykuły, komunikaty, wzmianki, ilustracje) stołeczną i prowincjonalną, z okresu między 20 kwietnia a 20 maja, ogarnie się szeroko obraz wszystkiego, co sprawozdawcy nazywają powszechnością i masowością.

JAK PRZEDŁUŻYĆ ODDZIAŁYWANIE „DNI"

Wielkość i trwałość wpływu „Dni Oświaty, Książki i Prasy" będą zależeć od tego, czy zechcemy sobie zadać trud dopilnowania sprawy; zresztą trud niewielki. Trzeba tylko spowodować, aby pod nieostygłym jeszcze wrażeniem zainicjowane zostały — tam gdzie należy: w szkołach, bibliotekach, Domach Kultury, świetlicach itd. — odpowiednie plany, zobowiązania, wezwania do współzawodnictwa. Trzeba spowodować zorganizowany ruch od dołu, którego wynikiem powinna stać się planowa praca czytelnicza, z perspektywą ukazania jej dorobku podczas przyszłorocznych „Dni Oświaty, Książki i Prasy". Gdyby jeszcze związać z tą pracą różne zajęcia praktyczne o charakterze kształcącym i wychowawczym (np. poznanie różnych środowisk czytelniczych), uzyskałoby się to, że zaczęłyby działać bodźce, których tzw. teren dotychczas prawie zupełnie nie odczuwa (celowość wysiłków, szlachetna ambicja współzawodnictwa, itd). Można być pewnym, że przez wywołanie takiego ruchu „odgórna" propaganda, dominująca dotychczas w czasie „Dni Oświaty, Książki i Prasy" zostałaby bardzo silnie wsparta przez samorzutną, „oddolną" propagandę tego wszystkiego, co niosą ze sobą każde, doroczne „Dni". W przedsięwzięciu tym mieliby wdzięczne pole do popisu działacze oświatowi organizacji masowych, bibliotekarze, nauczycielstwo i — „aktywiści" czytelnictwa. Gdyby miało dojść do spowodowania takiej „ciągłości" (z roku na rok) między „Dniami Oświaty, Książki i Prasy", powinnaby się ukazać szybko jakaś publikacja podsumowująca wyniki tegorocznych „Dni", zarysowująca odpowiednie plany i wytyczająca plan działania. Mogłby ktoś powiedzieć, że inicjatywa centralna, mająca na celu specjalne umacnianie skuteczności „Dni Oświaty, Książki i Prasy" jest zbędna, gdyż to, co trzeba robi się samorzutnie. Prawdopodobnie tu i owdzie tak jest istotnie, ale nikt nie zaprzeczy, że po zakończeniu tegorocznych „Dni" zaczynamy odczuwać słabnięcie tętna popularyzacji czytelnictwa. Raptowny spadek energii organizacyjnej i napięcia uczuciowego, towarzyszącego „Dniom", jest oczywiście zrozumiały, ale niemniej — niepożądany.

Jest jednak i inny jeszcze wzgląd, ogólny, nie wynikający z obserwacji nad „Dniami", który przemawia bardzo silnie za koniecznością pogłębienia ruchu organizacyjnego i ciągłości pracy w dziedzinie czytelnictwa: wzgląd ten — to niedostateczne jeszcze i nierównomierne upowszechnienie książki i czytelnictwa, jeśli zważy się, że czytelników (potencjalnych chociażby) stale z roku na rok przybywa.

Tu przejdę do uwag i refleksji, które zapowiadałem na wstępie.

CO DAŁY „DNI" W DZIEDZINIE PRODUKCJI KSIĄŻKI?

„Dni" pozwoliły zanalizować nie tylko wielki rozwój tej produkcji na przestrzeni lat 1945 — 1951, ale również jej przekrój według działów wydawniczych i wysokości nakładów wielu charakterystycznych pozycji. Umożliwia to wnikliwą ocenę całego, imponującego dorobku i daje dobrą orientację co do tego, czym rozporządzamy i z czego mogą korzystać masy czytelnicze. Niestety danych, charakteryzujących produkcję wydawniczą, nie można porównać z żadnymi miernikami z dziedziny ruchu czytelniczego; przyczyna tego tkwi w prawie zupełnym braku badań, na co będę musiał wskazywać jeszcze w dalszym toku artykułu.

Co należy zanotować, gdy chodzi o produkcję wydawniczą? Nie chcę rozwodzić się długo nad rzeczami ogólnymi, zapewne znanymi, uprzytomniającymi nam, *że wyprodukowaliśmy w Polsce Ludowej w ciągu 7 lat znacznie więcej książek, niż ukazało się ich w całym 20-letnim okresie przedwojennym*, że w roku 1951 produkcja wynosiła ponad 100 mln. egzemplarzy książek, to znaczy *więcej niż 4 książki na jednego mieszkańca*. Ograniczę się do krótkiego przeglądu niektórych działów wydawniczych i paru innych danych. Czytelnika zaciekawi zapewne, że na 450 mln. egzemplarzy książek, które ukazały się w latach 1945 — 1951, przypadało na:

literaturę marksistowską	— 3%
„ *społeczno-polit.*	— 11%
„ *techniczną*	— 4%
„ *rolniczą*	— 4%
„ *dla dzieci i młodz.*	— 6%
„ *piękną*	— 16%

Byłoby na pewno ciekawe, gdybyśmy mogli odpowiedzieć sobie na pytanie, jaka jest przydatność wydawnictw w poszczególnych działach dla różnych kręgów czytelniczych i jak się przedstawia zagadnienie tzw. poczytności książek, gdy chodzi o tematykę, różne poziomy, trudności i różne rodzaje pisarstwa. Niestety, jak zaznaczyłem już, brak badań uniemożliwia danie odpowiedzi na podobne pytania. Można by tylko próbować uzyskiwać drogą pośrednią pewne dane orientacyjne. Taką próbę zrobiłem w stosunku do działu rolniczego; tego działu, który ma służyć ludziom wsi w ich pracy zawodowej. Ustalenie pewnych liczb, wyprowadzonych na podstawie ostatniego katalogu Państwowych Wydawnictw Rolnych i Leśnych wykazało, co następuje: na 820 tytułów broszur o objętości do 32 stron jest 8.5%, o objętości 32 — 64 stron — 14,6%, o objętości 64 — 100 stron — 7,4%; razem materiał broszurowy (do 100 str.) obejmuje ponad 30% tytułów. Jeżeli zakładać, że broszurowe wydawnictwa są publikacjami popularnymi, a w badanym przypadku potwierdza to odsetek 31,7% tytułów, które są znakowane wg tzw. I i II poziomu, to należy stwierdzić, że omawiane wydawnictwa tylko w 1/3 części dostosowane są do możliwości czytelniczych przeciętnego rolnika. Jak ta sprawa wygląda w innych działach, np. w dziale technicznym, popularno-naukowym, w dziale literatury pięknej?

JAK? DLACZEGO?

Gdy przeglądamy wydawnictwa informacyjne, przygotowane na „Dni Oświaty, Książki i Prasy", gdy czytamy w nich o tysiącach bibliotek i dziesiątkach tysięcy punktów bibliotecznych, gdy prasa informuje nas o wzmożonym i stale wzrastającym w różnych ośrodkach ruchu czytelniczym, chciałoby się dokładnie wiedzieć, czy ogromnej podaży książek odpowiada taki sam popyt na nie, ale popyt rzeczywisty, a nie potencjalny; chciałoby się wiedzieć, jakie drogi prowadzą naprawdę i najszybciej do czytelnika i w jakim tempie upowszechnia się czytelnictwo książek i jakich książek? Chciałoby się posiadać pełne i szczegółowe wiadomości o wielu innych, przeróżnych zjawiskach i zagadnieniach, dotyczących roli i ofensywnego ruchu książki oraz procesów związanych z upowszechnieniem tj. umasowieniem czytelnictwa. Chciałoby się wiedzieć o tym wszystkim nie dla samej ciekawości czy zaspokojenia pasji badawczej w dziedzinie zjawisk kulturalnych, ale dlatego przede wszystkim, że bez posiadania odpowiednich analiz, sprawdzianów i mierników nie można prowadzić „porządnej" roboty oświatowo-kulturalnej. Wskutek tego trudno opędzić się od rozlicznych pytań: jak? dlaczego? Oto pierwsze z brzegu, niewątpliwie palące pytania, które przytaczam dla przykładu: jakie czynniki powodują, że jedne ośrodki biblioteczne (biblioteki gminne, punkty biblioteczne) okrzepły i działają bardzo wydajnie, wciągając do czytelnictwa niekiedy połowę ludności środowiska, podczas gdy inne funkcjonują nieporadnie; dlaczego natężenie czytelnictwa w różnych województwach i w różnych powiatach wykazuje nieraz jaskrawe różnice mimo względnie równomiernego nasycenia księgozbiorami; dlaczego w jednych środowiskach przypadają 2 — 3 książki na jednego czytelnika, a w innych 5 — 7 lub więcej; dlaczego w jednych okręgach przekłady literatury radzieckiej zdobyły sobie należytą poczytność, a tacy pisarze jak Niekrasow („W okopach Stalingradu"), Polewoj („Opowieść o prawdziwym człowieku"), Ostrowski („Jak hartowała się stal"), Fadiejew („Młoda gwardia"), Szołochow („Cichy Don", „Zorany ugór"), Ażajew („Daleko od Moskwy") zdobyli wielką popularność, podczas gdy w innych okręgach zjawisko to nie przybrało jeszcze wła-

(Dokończenie na str. 2-ej)

BOGDAN BUTRYŃCZUK

Zwycięska batalia

Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych, zorganizowany przez Centralną Radę Związków Zawodowych, stał się niesłychanie ciekawym przeglądem twórczych sił i możliwości masowego ruchu amatorskiego, świadectwem rosnących zainteresowań i chłonności kulturalnej społeczeństwa, wskaźnikiem udziału polskiej klasy robotniczej w kształtowaniu nowej, socjalistycznej kultury narodu.

Nie jest to pierwsza impreza tego typu. W 1947 roku przybyło do Warszawy około dwa tysiące osób, wchodzących w skład zespołów świetlicowych dopuszczonych do eliminacji centralnych. Niestety, nie można było wówczas znaleźć ani jednej pozycji, zasługującej na wyróżnienie. Niesławna tradycja pseudoludowej szmiry, najgorszego gatunku religianctwo, w piosence i tańcu kabaretowy wulgaryzm — oto elementy, dominujące wówczas w świetlicy i na scenie robotniczych i wiejskich teatrów. Ileż zmieniło się w ciągu tych pięciu lat! Decydującą rolę odegrał tu Festiwal Sztuk Radzieckich, który wskazał kierunek rozwojowy i podniósł na wyższy poziom ideologiczny pracę zespołów świetlicowych. Od tego czasu ruch amatorski zaczął zdobywać coraz to nowe pozycje, ogarniać swym zasięgiem coraz to szersze masy ludowe naszego kraju, kształtując ich świadomość i smak artystyczny, mobilizując je do walki o pokój i realizację zadań planu sześcioletniego.

Dlatego w osiągnięciach obecnego festiwalu nie ma nic „wyjątkowego" ani „niepowtarzalnego", zaś płynące z nich doświadczenia wybiegają daleko poza wymowę cyfr, nawet poza ścisłą problematykę ruchu amatorskiego — bezpośrednio atakują zagadnienia związane z rozwojem naszej literatury dramatycznej i teatru. Okazało się, że dopiero teraz można w pełni ocenić charakter i zasięg społecznego oddziaływania utworów, które tyle kłopotu sprawiały i ciągle jeszcze sprawiają większości teatrów zawodowych. Dopiero teraz można polemizować z głosami, usiłującymi przekreślić cały festiwalowy dorobek polskiej dramaturgii. Owszem, inscenizacje świetlicowe wykazały wszystkie jej błędy i niedomagania, ale wydobyły również walory, które uszły uwadze wybitnych nawet reżyserów i aktorów, nie mówiąc już o krytyce.

W festiwalu wzięły udział zespoły najrozmaitsze, reprezentujące niemal wszystkie gałęzie produkcji, zespoły dysponujące już pewną wiedzą nabytą w praktyce świetlicowej i takie, które ze sztuką zetknęły się po raz pierwszy. Nie może więc być mowy o jakimś jednakowym, „wyrównanym" poziomie przedstawień, zaprezentowanych w eliminacjach centralnych. Zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę pomyłki popełnione w selekcjach na szczeblu wojewódzkim oraz grubą warstwę nieporozumień spiętrzonych wokół zagadnień teatru amatorskiego zarówno w samym ruchu amatorskim, jak i poza nim. Klucz do usunięcia tych nieporozumień może dać rzetelna analiza osiągnięć i braków festiwalu. Winna ona uwzględnić rozległe perspektywy rozwojowe teatru świetlicowego i rolę, jaką w tym zakresie odegrał festiwal. Powinna też wyeliminować zachwyty na temat „autentyzmu", „prymitywu" i wszelkiej „żywiołowości", jako czynników warunkujących powodzenie w tym „specyficznym" teatrze. Konieczność zajęcia takiej właśnie postawy z całą ostrością uwypuklił przegląd festiwalowego dorobku. To co przedostało się do omawianych przedstawień z jakiejś egzotycznej krainy autentyzmu i prymitywu, było złe, ponieważ nie posiadało wartości artystycznych. Czyż można wyobrazić sobie w innych kategoriach niż kategorie artystyczne sukces zespołu Związku Zawodowego Kolejarzy z Czechowic, który przedstawiony został do Nagrody Państwowej, otrzymał Pierwszą Nagrodę CRZZ, zaś jego instruktorka Danuta Baduszkowa uzyskała Pierwszą Nagrodę za reżyserię? Na pewno nie. Warto więc zastanowić się, jakimi środkami osiągnęli czechowiccy kolejarze efekt artystyczny, wyrażający się znakomitym odczuciem prawdy i zrozumieniem ideowego sensu trudnej sztuki Adama Tarna pt. „Zwykła Sprawa". W spektaklu tym nie było pustych miejsc, zamazanych znaczeń. Zaskakiwała logika, działań scenicznych, pozbawionych sztampy i fałszów psychologicznych. Mamy zatem odpowiedź na dręczące pytanie. W przedstawieniu tym nie było naśladownictwa złego teatru. Nie było kłamstwa ani pozy wykrzywiającej oblicze sztuki. Znaleźliśmy w nim to, czego szukamy w każdym teatrze zawodowym i niezawodowym, znaleźliśmy w nim prawdę.

Wiele nowych, odkrywczych wartości wniosły wszystkie nagrodzone przedstawienia Wymienimy choćby „Tysiąc Walecznych" Jana Rojewskiego w wykonaniu zespołu Państwowego Przemysłowego Zjednoczenia Budowlanego w Poznaniu, który konfliktom sztuki nadał właściwe proporcje, rehabilitując nawet tak już ośmieszoną w teatrach zawodowych scenę miłosną Stefana i Agnieszki, czy świeżą, porywającą prawdę ludzkiego przeżycia inscenizację jednoaktówki Stanisława Piotrowskiego pt. „W rodzinnym domu", odegraną przez zespół PGR Gościejowice z województwa poznańskiego. Prawdziwa, ożywiona odczuciem treści ideowych interpretacja wydatnie podniosła temperaturę konfliktów nawet w sztukach słabszych. Pozwoliła odnaleźć w nich żywy obraz

(Dokończenie na str. 10-tej)

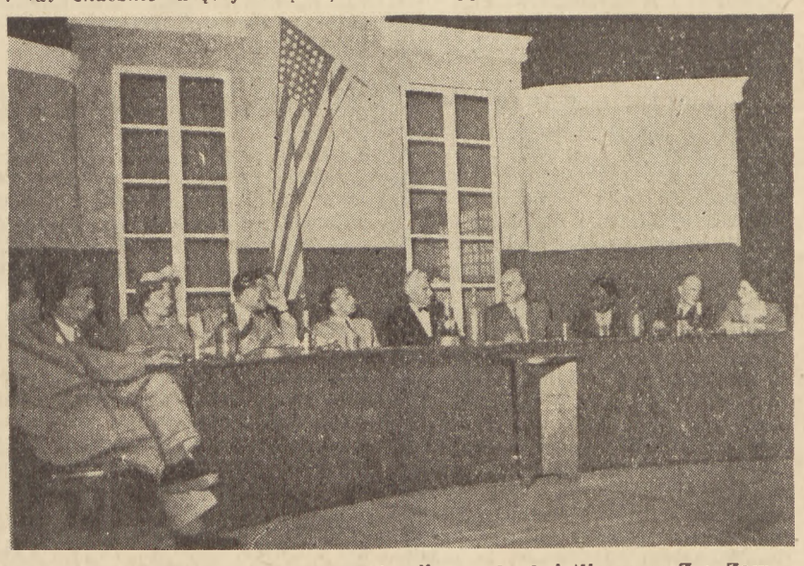

„Zwykła sprawa" Tarna w inscenizacji zespołu świetlicowego Zw. Zaw. Kolejarzy z Czechowic (I nagroda CRZZ).

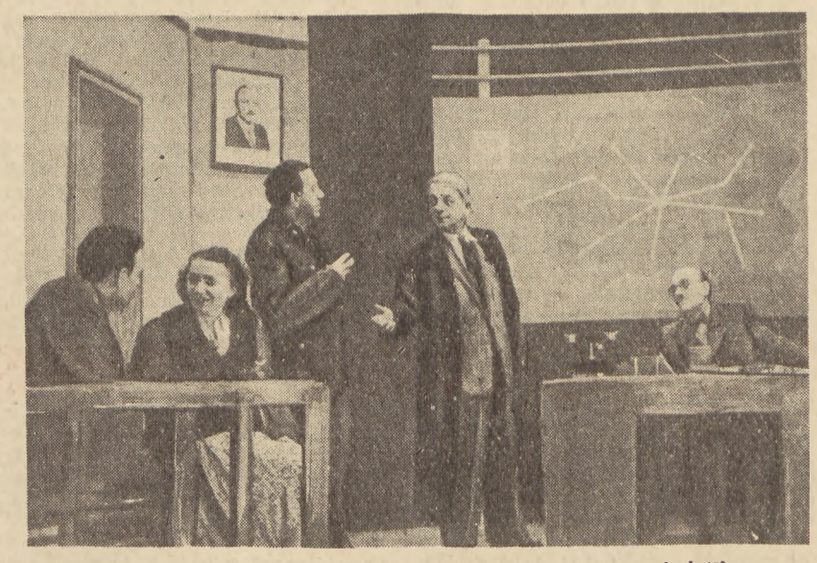

„Trzeba było iskry" Pasternaka w inscenizacji zespołu świetlicowego Woj. Domu Kultury w Krakowie (III nagroda Min. Kultury i Sztuki)

ANDRE WURMSER

André Stil — Nagroda Stalinowska*)

W niedzielę, dnia 25 bm. policja francuska aresztowała André Stila pod pretekstem napisania i opublikowania przez niego artykułu protestującego przeciw przybyciu do Paryża gen. Ridgwaya. Robotnicy francuscy natychmiast wylegli na ulice burzliwie manifestując swoją solidarność z aresztowanym. Bohaterowie powieści Stila — robotnicy francuscy walcząc przeciwko bezprawnym represjom wobec Stila, walczą jednocześnie o wolność słowa zamkniętą razem z nim w więzieniu, walczą przeciw amerykańskiej okupacji. Wypadki, o których tu piszemy — to dalszy ciąg biografii Stila zawartej w publikowanym przez nas poniżej wywiadzie i dalsze potwierdzenie tezy o prawdzie i mocy oddziaływania twórczości tego pisarza — komunisty. (RED.)

Przez półtora z górą stulecia *bohater powieści*, bohater przeciętny, odpowiadał takiemu rysopisowi: „Klasa społeczna: mieszczanin; zawód: bez zawodu; pseudonim: człowiek".

W społeczeństwie, które było tylko niewielkim odłamem społeczeństwa — odłamem rządzącym co prawda — bohater powieści był wykładnikiem pewnej moralności, obejmującej litość na przykład, litość chrześcijańską, ową litość dobrej duszy dla biedaka, Flauberta dla „prostego serca"**), Duhamela dla „Salavina", Charles-Louis Philippe'a dla jego postaci, ale nie solidarności z nią — litość pocieszającą dla tego, kto jej doznaje, i bezpłodną dla tego, kto ją budzi, litość bez wyjścia. Jeśli powstawano przeciw tej moralności, (Gide, Barrès) *bohater burzył się, dla własnych korzyści.* Toteż motorem powieści była ambicja; powieść stawała się dokładnym, a w swych początkach genialnym zwierciadłem społeczeństwa — Balzak, Stendhal. Cykl „Rougob-Macquart" jest w znacznej swej części epopeją ambicji; Emma Bovary umiera z ambicji zawiedzionej.

W miarę jak prawowitość władzy klasy bohatera powieści coraz żywiej była podawana w wątpliwość, ukrywał on coraz bardziej wstydliwe źródła swych dochodów. Zawsze ma się ochotę zawołać do niego: „Skąd bierzesz pieniądze?"...

Teraz ambicją bohatera staje się poznać siebie, być kochanym, czy kochać samemu. Wygłasza on monolog na scenie, gdzie nigdy nie wtargnęli ludzie...

Zdarza się, że pisarze wyjeżdżają do Saint-Denis, a zachowują się tak, jak gdyby wybierali się do Kafrów czy Zulusów: wprowadzają na scenę robotników, na mocy prawa estetyki żądającego, żeby Sztuka, w obliczu której wszystkie tematy są równe, jak słońce była zdolna uczynić „chorągiew z wysuszonej ścierki". Dlatego powieść francuska pozostała powieścią mieszczańską, powieścią mieszczucha (i jego mieszczki). Jeżeli występują tu robotnicy, to tylko jako statyści.

Dzisiaj zmieniają się role. „Komuniści", „Rocznik 42", „Domy nad Garonną", „Sekwana wpada do morza", „Pierwsze uderzenie", żeby wyliczyć bez namysłu kilka pośród najbardziej znamiennych, otworzyły drzwi powieści robotnikom. Nie jest to ani moda, ani rzecz postanowiona z góry; to odbicie w literaturze francuskiej rewolucji zachodzącej w świadomości narodu, przeniesienie odpowiedzialności narodowej na nową klasę. Jesteśmy świadkami wtargnięcia ludu francuskiego do literatury francuskiej, ludu dzisiejszego do dzisiejszej powieści. Prawdę mówiąc dawni lokatorowie nie zostali wypędzeni; wyjechali, to wszystko; piękny zamek był pusty; mieszkały w nim tylko upiory. Lud będzie więc w nim *jak u siebie.* To dla niego dojrzewało wino w piwnicy. Czyż nie jest murarzem i ogrodnikiem? Czyż nie jest stolarzem Monmousseau, który wypieścił czułą ręką boazerie? Lud wprowadza się trochę nieśmiało; to przecież początek. Ale okurza już biust Wiktora Hugo w wielkim salonie.

Jeśli lud zaczyna zapełniać powieść, nie dzieje się to dlatego, że tak postanowiła jakaś grupa literacka. Klasa robotnicza nie wchodzi do literatury na skutek kaprysu literatów, ale dlatego, że osiągnęła świadomość swego losu, swej odpowiedzialności i przekazała swą siłę *swoim* pisarzom, którzy nie są jej obcy, którzy znają ją inaczej, niż reporterzy przebiegający jakąś okolicę z szybkością błyskawicy; bo znają ją — jak towarzysz swoich towarzyszy.

André Stil jest w pierwszym szeregu tych pisarzy. Postaci „Pierwszego uderzenia"***) to dokerzy, kolejarze, metalowcy, chłopi, nauczyciele, ludzie starzy, którzy nie mogą związać końca z końcem, szeregowcy, rybacy — a także przemysłowcy i facetki płynące z prądem, ale ci pozostają w półcieniu, jak gdyby autor ukazywał ich wbrew swemu sercu. Tym razem oni są statystami. Mniej lub więcej światli, mniej lub więcej świadomi tragedii, którą przeżywają, to znaczy tragedii, którą przeżywa nasz kraj, postaci Stila tworzą naród, są Francją, w której łajdacy zajmują jeszcze wszystkie miejsca, ale zarazem bardzo niewiele miejsca.

„To nie jest Francja" — powiedzą umysły wybrane, którym można wybaczyć, ze nie rozpoznają ojczyzny, skoro jej nie znają; a inni będą przebąkiwać: „Francja to nie tylko robotnicy... Francja to też i ci, z którymi klasa robotnicza jest związana, albo których wciąga"... Być może — powiadam: ale w rachunku ostatecznym dokerzy, metalowcy, chłopi, kolejarze, są właśnie Francją.

Czy nie jest tak od dawna? Bez wątpienia, ale dziś klasa robotnicza *wie już,* że została powołana do rozstrzygnięcia wszystkich problemów, a w pierwszym rzędzie do ratowania ojczyzny.

Lud wkracza do powieści z głową pochyloną naprzód. Głowa, awangarda: partia komunistyczna. Gdyby partia komunistyczna nie dała proletariatowi świadomości swojej potęgi, ani Aragon, ani Stil, ani Daix, ani Abraham, ani Gamarra nie napisaliby takich książek i nigdy nie przekroczono by stadium naturalizmu. Toteż André Stil, u którego aktywiści stanowią trzon utworu, nie przejawia fanatyzmu, ale jasność widzenia. André Stil jest pisarzem komunistycznym; „Pierwsze uderzenie" jest powieścią realistyczną. Zarzucać André Stilowi, artyście wstępującego proletariatu, że zbyt wielką wagę przywiązuje do partii klasy robotniczej, byłoby tak samo głupio, jak Balzakowi, artyście wstępującego społeczeństwa kapitalistycznego, zarzucić — jak to czyni Faguet — że przywiązuje zbyt wielką wagę do spraw pieniężnych.

Ale wiedza jaką aktywista posiada o świecie realnym pozwala mu jedynie stawiać problemy. Rzeczą pisarza jest oddać psychologię nowego człowieka, ożywianego już o nowe uczucia, lub uczucia zrehabilitowane (w „Wystrzale armatnim" są urocze stronice o miłości małżeńskiej) i honor, który jest dla niego tym samym, czym była ambicja dla bohaterów powieści i ludzi XIX wieku.

Osiągnięciem „Pierwszego ciosu" — którego tom drugi ****) przewyższa jeszcze pierwszy — jest rzucająca się w oczy *prawdziwość* postaci...

Henri, który kieruje walką przeciw okupantowi amerykańskiemu, przeciw wywłaszczeniu chłopów, przeciw ekspulsji nędzarzy, przeciw wyładowywaniu broni, nie ma w kieszeni przygotowanych rozwiązań; widzimy jak walka się, nie jest pewny siebie, jak rozmyśla w swojej ubogiej kuchni, gdzie pomaga zmywać naczynia żonie, będącej sprzątaczką.

I Stil w sposób subtelny, mądry podkreśla szacunek, jaki budzi Henri we wszystkich zbliżających się do niego — przyjaciołach lub nieznajomych; i w zrozpaczonym biednym starym Andreani, i w doktorze Degand. Henri jest bowiem człowiekiem nowym, jest — *człowiekiem honoru,* nowego honoru. Temu honorowi przeciwstawia Stil ambicję, miłość własną, drażliwość... I pisze Stil zdanie ważkie i celne: *„W każdym człowieku, nawet w najlepszym, nieprzyjaciel posiada niewielką piątą kolumnę, nad którą trzeba nieustannie czuwać".* Kto jest więc wrogiem? Ludzie z przeciwnego obozu, tak — ale zarazem i ich sprzymierzeniec: to co w każdym z nas należy jeszcze do starego świata.

Jaki to gwałtowny skok od bohaterów klasycznych szarpiących się pomiędzy grzechem i cnotą...

Kto tu potrafi rozpoznać prawdziwe oblicze Francji? Na pewno nie ci, dla których Francja zaczyna się przy bulwarze Saint-Germain i kończy przy moście des Arts. Jest im tak samo trudno zrozumieć te prawdziwe postaci, podobne do milionów Francuzów, jak arystokratom z Koblencji uchwycić pojęcie „narodu". Idee zwiędły w nich, a kwitną w sercach wrogiej im klasy. Nie wierzą już w ojczyznę, nie wierzą w człowieka, ponieważ rozumieją przez człowieka mieszczucha i nie mają zaufania do siebie; pogardzają miłością, pogardzają bohaterstwem, pogardzają poezją, pogardzają Wiktorem Hugo; śpieszą ku swej zgubie i wciągają do niej świat.

Aby rozpoznać w „Pierwszym uderzeniu" prawdziwe oblicze Francji, aby powitać w tej książce powieść rzeczywistości francuskiej, trzeba ludzi, którzy wiedzą, że teraźniejszość i przyszłość naszej ojczyzny leżą w rękach dokerów, kolejowców, metalowców, chłopów, nauczycieli, ludu walczącego, z komunistami na czele, w imię oswobodzenia kraju.

André Wurmser

*) Fragmenty artykułu z „Les Lettres Francaises".
**) Mowa o opowieści Flauberta „Un coeur simple", w polskim przekładzie „Prostota serca".
***) Powieść nagrodzona tegoroczną Nagrodą Stalinowską II stopnia.
****) Drugi tom powieści Stila ukazał się przed dwoma miesiącami we Francji nakładem „Des Editeurs Reunis".

Marcel Cachin gratuluje Stilowi otrzymania Nagrody Stalinowskiej.

ZBIGNIEW STOLAREK

Wywiad z Andre Stilem

„Stil...". To stojące na biurku bakelitowe pudełko głośnika, który zastępuje telefon w rozmowach między poszczególnymi działami redakcji, daje znać o swojej obecności w pokoju, przerywa dialog rozpoczętego tu przed chwilą wywiadu.

— Stil...

Teraz, gdy szczupła twarz André Stila widoczna jest z profilu, bardziej jeszcze wyraźny staje się kontur brody — masywnej, podanej zdecydowanie ku przodowi. Nieznacznym ruchem głowy Stil wyraża prawdopodobnie aprobatę dla przedstawianych mu tez jakiegoś artykułu, który ma pójść w przygotowywanym właśnie numerze „l'Humanité".

*

„Dwie godziny na dobę" — tak można by lapidarnie określić sytuację André Stila-pisarza. W najlepszym wypadku właśnie taki zżynek czasu pozostaje mu na pisanie z dwudziestu czterech godzin doby, w której dziesięć do dwunastu godzin pochłania sama praca redaktora „Humanité" nie mówiąc już o obowiązkach, wypływających ze stanowiska członka Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Francji.

Akcja powieści „Le premier choc" nie jest z całą dokładnością umiejscowiona, autor nie mówi w swej książce, że jesteśmy w mieście, które nazywa się tak a tak. Jest po prostu miasto portowe w południowo-zachodniej Francji. Nie trudno jednak domyślić się, że chodzi o La Rochelle, mimo że nie jest nazwana po imieniu. Wyraźnie wskazują na to wypadki, do których tam doszło przeciw okupacji amerykańskiej, i których powieściową relacją jest właśnie „Le premier choc".

— Ach, gdybym mógł tam być przez trzy miesiące! — Zarliwość tego okrzyku nie zmieni faktu, że w La Rochelle był André Stil trzy dni.

Jednak te trzy dni, podczas których mógł chyba zapoznać się co najwyżej z fizycznym aspektem miasta i jego atmosferą, wystarczyły. Ostatecznym tego sprawdzianem jest książka.

I właśnie w konfrontacji z tymi faktami najbardziej pełny sens znajdują słowa Stila, gdy stwierdza, że życie aktywisty partyjnego daje mu więcej niż zabiera — mimo owych dwóch godzin pisania na dobę, jak i trzech dni pobytu w La Rochelle. Bo zawodzą tradycyjne miary w odniesieniu do potrzeb warsztatu pisarskiego, (chodzi o czas), jeśli nie uwzględnić tego niezmiernie ważnego momentu, że „dwie godziny" i „trzy dni" Stila uzupełniała uzyskana w działalności partyjnej znajomość poruszanych spraw i znajomość ludzi. A nic łatwiejszego jak mieć pewność, że redaktor naczelny „l'Humanité" i członek Komitetu Centralnego nie opuszczają pisarza, że dzielą się z nim swoim życiowym doświadczeniem, pokazują mu człowieka w różnych sytuacjach, znoszą całe naręcza materiału anegdotycznego, tak że nie istnieje dla pisarza kwestia braku anegdoty, lecz jej nadmiaru.

W La Rochelle był André Stil trzy dni. Ale już dawniej, jako działacz partyjny w północnej Francji, poznał dokładnie dokerów z Dunkierki i życie tamtejszego portu...

NIGDY ZA DUŻO

(Niemniej jednak należy wyeliminować natychmiast ewentualne nieporozumienie, że według André Stila owe „trzy dni" mogłyby mieć znaczenie jakiejś obowiązującej recepty. Gdy przez chwilę rozmowa schodzi na „Komunistów" Aragona, Stil z naciskiem mówi o tym, że nigdy nie podkreśli się dosyć, jak wiele potrzeba poważnego wysiłku i zwykłej odwagi pisarskiej, aby nazwać po imieniu tyle opisywanych miast i wsi — bo nawet jeśli opisuje się tylko pompę studni, znajdującej się na placu, najmniejsza nieścisłość albo niezgodność, w odniesieniu do najdrobniejszego nawet szczegółu, spowoduje, że nieprawdziwymi wydadzą się sprawy najważniejsze, które są prawdziwe).

„Le premier choc" zaczął powstawać wówczas, gdy można było czytać na murach pierwsze, malowane wapnem napisy „U.S. go home", gdy okręty z amerykańską bronią przybijały do portów francuskich, gdy po polach zaczęły się toczyć olbrzymie walce, ubijając żyzną ziemię na teren startu dla bombowców, na bazy, na składy bomb napalmowych, gdy — mimo protestów — żołnierze francuscy musieli opuszczać koszary dla „lepszych" lokatorów zza Atlantyku, gdy chamska pewność siebie i grubiaństwo pijanych boyów oburzało już nawet tych Francuzów, którzy początkowo przyjaźnie witali w przybyłych sojuszników z drugiej wojny światowej, gdy szpalty „l'Humanité" co raz bardziej zapełniały się wiadomościami o poczynaniach nowego okupanta, przygotowującego atak na wschód, metodą „spalonej ziemi" aż po Bretanię.

Nie istnieje dla Stila problem, czy przypadkiem w utworze literackim nie ma za dużo polityki. Nigdy za dużo — to pierwsza jego dewiza, z którą ramię w ramię idzie druga: nie pchać polityki w utwór byle jak, lecz ukazywać ją poprzez momenty przeciwstawne sobie, poprzez sprawy dziejące się między zwykłymi ludźmi, bez uciekania się do wyidealizowanych nadludzi.

Można by zaryzykować twierdzenie, że papierkiem lakmusowym, pozwalającym określić prawdziwość bohaterów pozytywnych niejednej powieści, jest ich życie osobiste. Im lepiej jest ono pokazane, tym mocniej uwydatnia się na jego tle sztuczność i nieprawdziwość bohatera w innych sytuacjach, a na których wyrażeniu zależy pisarzowi zaangażowanemu politycznie.

Intymność — ukazana tak, by dotykała aspektu politycznego — jest jednym z głównych środków wyrazu w pisarstwie André Stila.

W HERGNES

Jest sprawą zupełnie poboczną, w jakiej mierze można by doszukiwać się momentów autobiograficznych, wówczas kiedy Stil pisze o dzieciach i czy to może on sam jest tym czteroletnim chłopczykiem, patrzącym „zaczerwienionymi oczami biedniackiego dziecka, w których nawet podczas zabawy niewiele jest śmiechu".

Wystarczy poprzestać na tym, że niewiele śmiechu było również w Hergnes, gdzie — podobnie jak w innych górniczych osiedlach północnej Francji — nawet ciężko przysiadłe stożki hałd zdają się być wrośnięte w bezbarwność krajobrazu, gdzie między szarzyzną równin i nisko nawisłym niebem nie ma nic, co by zdołało przyciągnąć wzrok bardziej żywą barwą.

Hergnes jest małe, więc warsztat krawiecki rodziny Stilów ledwo co dycha, i jakże by mogło być inaczej, jeżeli sprawienie sobie ubrania jest tutaj przedsięwzięciem, nad którym myśli się długo i jeszcze dłużej oblicza się koszty, zanim przyjdzie do decyzji... Gdy później rodzina Stilów porzuci tę chuderlawą krawieczczyznę i osiądzie w niewielkiej kafejce, gdzie przy cynkowym barze przystają górnicy, aby po szychcie przepłukać sobie gardło szklaneczką „genevrieve" — wówczas mały André rozszerzy krąg swoich spostrzeżeń.

W szarzyźnie otoczenia — oczy przyzwyczajają się do spoglądania na krajobraz, na ludzi i rzeczy bardziej wnikliwie. Patrzą bardziej wnikliwie niż byłoby to potrzebne w innych warunkach, gdy kształty, wyraźnie wyodrębnione światłem, same narzucają się swoją różnorodnością i mnogością. Lecz jeśli ludzie ubrani są niemal jednakowo, jeżeli domki górnicze są bliźniaczo podobne do siebie, a w otaczającym je terenie nie ma większych różnic niż między lewą i prawą ręką — wtedy każdy gest, każdy najmniejszy szczegół staje się ważnym znakiem rozpoznawczym.

Zjawiają się też słowa nieznane, którym trzeba przyglądać się uważnie jak twarzy jakiegoś nowego mieszkańca osiedla. Są słowa i zdarzenia, wynurzające się niespodzianie; bo choćby słowo „kopalnia": najpierw oznaczało ono hałdę, wieżę nadszybia, kaski ochronne na głowach górników, niebieskie ślady na twarzach po odpryskach węgla, a nagle znaczy również, że oto, jeszcze przed skończeniem szychty, przynoszą wuja na noszach, że krew jest zmieszana z pyłem węglowym, i że stolarz opiera o ścianę domu świeżo zbitą trumnę.

SZYBCIEJ NIŻ PIÓRO

Przeżyć i obrazów, wyniesionych z okresu dzieciństwa, czy najwcześniejszej młodości, nie nadkruszył czas, na jaki przypadły studia André Stila i wynikający z tego mniej bezpośredni kontakt ze środowiskiem robotniczym. Rzadką szansę otrzymania stypendium wykorzystał on gruntownie. Lecz kiedy, z dyplomem nauk filozoficznych w kieszeni, rozpoczął (przed nominacją na profesora) rok trwającą karierę nauczycielską, było to znów wejście w świat życia górniczego, gdzie — jakby siłą kontrastu — już sam dźwięk „morze" wywołuje w oczach błysk entuzjazmu i sprowadza szeroki horyzont falującej przestrzeni, powietrza, uśmiechu...

Między tamtym okresem nauczycielstwa a dniem dzisiejszym jest udział w Ruchu Oporu, działalność aktywisty partyjnego na Nordzie, współpraca z tamtejszym dziennikiem partyjnym „Liberté", a potem powołanie do o wiele bardziej odpowiedzialnej pracy w Komitecie Centralnym KPF.

I dziś gdy Stil mówi „morze", ma to siłę urzekającą, choć łączy się przede wszystkim z walką dokerów, z pierwszym zderzeniem w La Rochelle... Było pierwsze zderzenie, lecz wypadki posuwają się prędzej niż pióro.

...„Okupanci amerykańscy świadomie zamordowali wczoraj robotnika francuskiego w centrum Melun. Doszło do tego na ulicy Saint-Ambroise, w chwilę potem, gdy po dyskusji z merem strajkujący robotnicy fabryki Delattre-Frouard szli (wraz z innymi robotnikami, którzy przerwali pracę dla zamanifestowania swej solidarności) do Giełdy Pracy, aby tam wyciągnąć wnioski z przebiegu dnia. W tym momencie nadjeżdżają dwie ciężarówki amerykańskie, których pasażerowie wygrażają pałkami i żelaznymi kablami. Robotnicy przyjmują ich okrzykiem „go home!". Wówczas okupanci wjeżdżają całym pędem na pochód, wpadają na trotuary. Druga z ciężarówek (G.M.C. nr 67.078) miażdży o mur robotnika Alfreda Gadois, pracującego w firmie amerykańskiej „Ideal - Standard", ojca jednego dziecka..."

To nie jest streszczenie jednego z rozdziałów „Le premier choc". To początek pierwszej telefonicznej wiadomości, jaką zamieściła „l'Humanité", a której numer leży właśnie na biurku André Stila.

Zbigniew Stolarek

ZBYT MAŁO WIEMY O KSIĄŻCE

(Dokończenie ze str. 1-ej)

ściwego natężenia; dlaczego w pewnych środowiskach wiejskich literatura zawodowa i popularno-naukowa wykazuje wzrastającą poczytność, a w innych nie itd., itd.

To są pytania — jak rzekłem — pierwsze z brzegu, rozstrzelone, sięgające do różnej kategorii zagadnień. Ale gdyby je uzupełnić, uporządkować, ustawić we właściwej hierarchii? Gdyby mieć na każde z osobna i na ich grupy wyczerpujące odpowiedzi?

TYTUŁY O WIELKICH NAKŁADACH

Co wiemy o tym, jak krążą w różnych środowiskach i jakie wywołują przemiany pozycje wydawnicze, które uzyskały w okresie 7-lecia wielkie, niekiedy milionowe nakłady? Teraz narzucają się przykłady: Gdybyśmy oddzielili od „masy" ludności roczniki najmłodsze i z tą wielką 12 — 13 milionową rzeszą obywateli porównali takie tytuły pojedyncze jak „Krótki kurs historii WKP(b) (1,263,000 egz.) i „Pan Tadeusz" (ponad milion), albo takie zbiory jak tytuły KUK-u, „Biblioteki Prasy", wydań zbiorowych Prusa, Orzeszkowej, Konopnickiej lub pozycje o ćwierćmilionowych nakładach, jak np. „W okopach Stalingradu" i „Opowieść o prawdziwym człowieku" — gdybyśmy to uczynili, okazałoby się, że tom „Krótkiego kursu historii WKP(b)" przypadałby na 10 ludzi, „Pan Tadeusz" — na 14, tom „Biblioteki Prasy" — na każdego człowieka, który byłby zdolny go przeczytać; tytuł Prusa przypadłby na 5 ludzi, Orzeszkowej — na 10, Konopnickiej — na 10.

KSIĄŻKI „POCZYTNE" I „BIERNE"

Są książki: „poczytne", na które czytelnik biblioteczny musi czekać, i są „bierne", leżące na półkach. Czy tych „poczytnych" jest za mało, a „biernych" za dużo? Kto zgłasza wnioski o zwiększenie nakładów książek „poczytnych"? Posiadamy w tej chwili w bibliotekach powszechnych ponad 13 mln. dobrych książek. Ile w nich jest „poczytnych" i dlaczego, a ile „*biernych*" i dlaczego? Stawiając sobie to pytanie odczuwamy, że zagadnienie jest skomplikowane, że nie jest łatwą rzeczą „upłynnić" książkę „bierną", a jednak ta praca „upłynniająca" musi być podjęta.

„MATKĘ" CZYTAŁEM JEDNYM TCHEM

Powyższe zdanie wziąłem z wypowiedzi 26-letniego chłopa ze wsi Smoniowice. Gdzie leżą te Smoniowice i do jakiej kategorii gromad należą, informuje redakcja „Wsi" w numerze 18 tego tygodnika z dnia 4 maja b. r. „Wieś" pisze: „Smoniowice leżą w powiecie miechowskim, na skraju powiatu i własnej gminy Łętkowice. Ze światem łączy je licha droga. W porze wiosennych i jesiennych roztopów bezdroże zamyka wieś w jej własnym życiu na uboczu. Do niedawna była to wieś zacofana. Wieś małorolnych, nie umiejących wydobyć z żyznej ziemi miechowskiej jej wielkiego bogactwa". Ale oto *przyszedł przełom,* do którego przyczynił się miejscowy, młody nauczyciel. Redakcja „Wsi" powiada: „Przełom w Smoniowicach zaczął się przed dwoma laty. Wywołała go książka".

Z tonu relacji czytelnik miałby prawo wnioskować: widocznie chodzi w danym przypadku o zjawisko jeśli nie odosobnione, to w każdym razie — wyjątkowe. I wnioskowałby mylnie.

To prawda, że są książki porywające, książki „ofensywne". To prawda: Smoniowice „rozczytały się". Znalazły smak nie tylko w literaturze pięknej, ale także w praktycznej literaturze rolniczej, którą wykorzystują w swej działalności gospodarczej, oraz racjonalniej gospodarując i zwiększając swoje plony. *A jednak Smoniowice nie są wyjątkiem.* Gromada Smoniowice brała udział w konkursie czytelniczym, organizowanym przez ZSCh, i w roku bieżącym, w II etapie konkursu nadesłała 180 wypowiedzi indywidualnych. Z komentarza redakcji „Wsi" wynika, że nie było domu skądby nie nadeszła wypowiedź. Nie ujmując Smoniowicom zaszczytu należy wszakże zaznaczyć, że z tegoż miechowskiego uczestniczyło w konkursie — obok Smoniowic — jeszcze 45 gromad, z których kilka też się wyróżniło. Np. z Igołomi brało udział 96 osób, ze Szreniawy — 61. Można by już dzisiaj znaleźć z pewnością setki rozczytanych gromad, wiele gmin, a nawet całe powiaty. Niby nie mamy o nich wiadomości, brak „danych". A jednak można powołać się na wiadomości prasowe. Z nich dowiedzieć się można o gminie Wojsław — gdzie 28% ludności należy do stałych czytelników książek bibliotecznych, o gminie Wróblew (23%), o gminie Bartochów (20%). Ile może być takich gmin, albo powiatów, jak np. Szumotulski, w którym 15% ludności korzysta z bibliotek powszechnych? Nie ma dnia, żeby prasa codzienna, szczególnie wojewódzka nie przynosiła wzmianek i komunikatów, świadczących o stale rozszerzającym się ruchu biblioteczno-czytelniczym w całym kraju. Jak z powyższego wynika, gdy idzie o żywy stosunek do książki, przykład Smoniowic nie sygnalizuje czegoś wyjątkowo nowego i rewelacyjnego. Natomiast uwydatnia i potwierdza rzecz inną, słuszną i, istotną, zbyt rzadko komentowaną: książka „wywołuje" przełom myślowy, umożliwiający jej czytelnikom nowe, rewolucyjne spojrzenie na świat. Z tego punktu widzenia, przytoczone tutaj przeze mnie w podtytule zdanie chłopa o „Matce" Gorkiego ma swoją ważką wymowę. Świadczy o możliwości szybkich i głębokich przemian nawet w środowiskach „połączonych ze światem lichą drogą".

„W OKOPACH STALINGRADU"

Idzie tu o książkę W. Niekrasowa. Nie wiem, czy czytano ją również „jednym tchem". Ale utwór Niekrasowa „podoba się". Jest atrakcyjny. „Podoba się", bowiem *„jest w niej opisana walka ludzi pragnących pokoju i książka ta uczy masy, jak żołnierz powinien bić się o wolność swojego kraju".*

Cytat powyższy pochodzi z wypowiedzi w ankiecie RSW „Prasy". Książka „W okopach Stalingradu" ukazała się w ramach Biblioteki „Prasy", i należy do tytułów znajdujących się w grupie wielkonakładowych. Biblioteka „Prasy" ma już na swym rachunku ponad 280 wydanych tytułów tanich (zł 2,40) książek o łącznym nakładzie przeszło 12 mln. egzemplarzy.

Otóż z wypowiedzi ankiety wynika, że na 884 odpowiadających — czytało książkę Niekrasowa — 377 osób. Dalsze 2 miejsca zajmowały: książka Hamery „Na przykład Plewa" (43 osoby), Fadiejewa: „Młoda gwardia" (39 osób).

BIBLIOFIL WANTUŁA

Ktoś z „Głosu Pracy", wędrując po cieszyńskim, odwiedził tow. Jana Wantułę. Nie był to pierwszy gość, ciekawy poznania 75-letniego hutnika. Wielu, bardzo wielu ludzi od lat zna Wantułę, jeszcze więcej o nim słyszało. Wantuła ma bezcenny, latami gromadzony księgozbiór, liczący ponad 2.300 książek, dobieranych bacznie, z żarliwością, z wielką znajomością rzeczy. Stary bibliofil ma dwie namiętności: książki i sadownictwo. Gdy piszę o Wantule, narzuca mi się pytanie, czy to jedyny człowiek w Polsce, który idąc przez trudne, pracowite życie robotnika, umiał wykrzesać w sobie gorące umiłowanie słowa i mądrości zaklętej w cudownym wynalazku książki. Zapewne, Wantułowie, to ludzie z „bajki, która jest prawdą". Ale jednak? A może są jeszcze gdzieś, w innych polskich Ustroniach, bracia duchowi Wantuły? Gdyby nawet byli — ich gorące umiłowania nie stanowią o wielkiej sprawie powszechnego czytelnictwa. *O tej sprawie — w oparciu o stałą pomoc Państwa, w oparciu o czujną, troskliwą opiekę Partii zdecydują „dobosze" kulturalni. Prości i ofiarni miłośnicy książki, mający gorące serca, nie mogący żyć bez pracy społecznej, bez działalności kulturalnej.* Takich mamy już całe zastępy, będziemy mieć — tysiące. Już spotyka się o nich wzmianki w prasie. Spotyka się nawet artykuły. Tych „doboszów" kulturalnych, tych prawdziwych „aktywistów czytelnictwa" należy włączyć w nurt wspólnej pracy, pracy zaplanowanej. Niech nie borykają się na własną rękę, niech się staną przykładem i przewodnikami młodszych i najmłodszych. Wtedy „punkty biblioteczne" zatętnią życiem książki i radością czytelników. Wtedy „Dni Oświaty, Książki i Prasy" nie będą miały przerw.

Stanisław Tazbir

ANNA KARAWAJEWA

Głos w dyskusji przyjaciół*)

W Polsce spotykałam pisarzy, literaturoznawców, krytyków, przysłuchiwałam się ich gorącym debatom i sporom; zdarzało się, że sama także brałam udział w omawianiu zagadnień niepokojących polskich pisarzy. Gdy teraz w Moskwie przypominam sobie wszystko, co słyszałam, pragnę skorzystać z propozycji „Litieraturnej Gaziety" i niejako poprosić o głos w dyskusji polskich przyjaciół. Pragnę poruszyć kilka zagadnień związanych z rozwojem literatury w Polsce.

Z doświadczeń naszej radzieckiej literatury wiemy, że szkodliwy balast przeszłości nie spada sam przez się z bark artysty. Staje się to tylko przez świadome, czynne i samodzielne staranie o wyzbycie się tego balastu, bywa to wynikiem głębokiego wpływu zasadniczej, umotywowanej naukowo, rozumnej i cierpliwej krytyki. Ona właśnie dokonuje przełomu w przekonaniach artysty.

Polskie literaturoznawstwo jest jeszcze młode i stąd zrozumiałe się staje tak żywe w Polsce zainteresowanie dla prac radzieckich kolegów. Z uczuciem dużego zadowolenia obserwowałam gorący stosunek literackiego audytorium do wygłoszonego przez członka naszej delegacji, prof. A. Miasnikowa, odczytu o socjalistycznym realizmie. Sekretarz Generalny Związku Literatów Polskich, J. Putrament, dając wyraz ogólnemu nastrojowi powiedział prelegentowi: „To było tak, jakbyście zgadli, co właśnie nas, pisarzy polskich najbardziej w tej chwili pasjonuje". Wnioskując z niektórych przemówień, któreśmy słyszeli w czasie naszych przyjacielskich spotkań, zagadnienia metody twórczej nastręczają jeszcze sporo trudności. Wydawało mi się nieraz, że niektórzy z naszych przyjaciół wznoszą jakby nieprzebyty mur, oddzielający realizm krytyczny od socjalistycznego: że niby przeszłość została na amen odrąbana, jakby jej w ogóle na świecie nie było. A przecie w życiu dzieje się inaczej.

Podstawowa metoda twórcza sztuki radzieckiej — realizm socjalistyczny i jego wszystkie podstawy genialnie zdefiniowane przez J. W. Stalina, stanowią wynik dalszego rozwoju leninowskiej doktryny o partyjności literatury. Ale, stanowiąc wyższy rozwojowo szczebel realizmu, ta najbardziej postępowa metoda twórcza, która rozwinęła się i zakwitła na żyznym, realnym gruncie sukcesów budownictwa socjalistycznego, ta tak zapładniająca nas metoda artystyczna nigdy nie odrywa pisarza od dobrych tradycji twórczych przeszłości, od wielkiej rosyjskiej literatury klasycznej: literatura radziecka kontynuuje najlepsze tradycje realistyczne klasyków i uczy się od nich bezustanku.

Wiele pytań zadawanych mi przez przedstawicieli literackich środowisk Krakowa i Łodzi, dotyczyło natury realizmu socjalistycznego. Jeżeli ta metoda — mówiono mi — uczy „jedynie aprobaty socjalistycznej rzeczywistości", jakże w takim razie krytykować zjawiska negatywne, jak ma się sprawa z konfliktem, tą sprężyną utworu, no i czy w ogóle jest dopuszczalny konflikt: przecież w społeczności radzieckiej nie ma klas antagonistycznych, nie ma kapitalistów czy ziemian, nie istnieje wyzysk człowieka przez człowieka Czy to nie oznacza, że nie ma także konfliktów?

Metoda socjalistycznego realizmu wymaga od artysty prawdziwego odzwierciedlania życia w jego rozwoju rewolucyjnym i pierwszym obowiązkiem artysty jest — pisanie prawdy, pokazywanie rzeczywistości bez uchylania się od demonstrowania sprzeczności i konfliktów. Inaczej — literaturze zagrażałby zalew sielanek i bukolik.

Wyobrażać sobie, że lud — twórca nie spotyka na swej drodze przeszkód i trudności — nie, to byłoby z gruntu fałszywe. My, ludzie radzieccy wiemy na przykład, że w naszym życiu jest jeszcze wiele zła, że spotykają się w nim fałszywi ludzie, typy negatywne. Artysta, wiernie dający świadectwo prawdzie, śmiało utrwali w realistycznym obrazie walkę tego, co chyli się do upadku, z tym co się rodzi, walkę starego świata z nowym, walkę obfitującą w najrozmaitsze konflikty.

Gdy ogarnie się myślą ogromne pole bitwy, na którym w walce z ginącymi siłami starego świata umacniają się zręby rzeczywistości socjalistycznej, staje się zrozumiałe, dlaczego tak silne w nowej literaturze jest przeczucie, że właśnie nasze czasy wydadzą nowych Gogolów i Szczedrinów, których talent satyryczny skieruje się przeciwko wrogom wszystkiego, co nowe, przodujące i postępowe.

Realizm socjalistyczny kieruje siłę i celność swego ostrza przeciw pozostałościom kapitalizmu pokutującym w świadomości, pracy i bycie ludzi radzieckich. Wysiłki niektórych pisarzy i krytyków zdążające do stępienia ostrych momentów w odtwarzaniu rzeczywistości, spotykają się ze stanowczym sprzeciwem naszej krytyki marksistowsko-leninowskiej.

Jedną z najbardziej umotywowanych dążności twórczych literatury polskiej w chwili obecnej jest piętnowanie jawnych i ukrytych wrogów, ich ciemnych machinacji i zamysłów.

Niechaj w książkach pisarzy polskich staną oni przed wami w całej swej odrażającej postaci — wszyscy: od zdrajców typu Mikołajczyka, którego rozeźlony bas emigracyjny opłacany jest z funduszu, nazwanego bez żadnej ironii przez władców waszyngtońskich „wzajemną gwarancją bezpieczeństwa", jak i tajni wrogowie wewnętrzni, których można poznać poznać po padalczym obyczaju i syku.

W konfliktach antagonistycznych ujawnia się podły charakter wrogów. Ale w tych samych konfliktach oczy pisarza jaśniej widzą pełne wielkości i piękna charaktery nowych ludzi, bojowników i patriotów Polski ludowo-demokratycznej.

W czasie przerwy obiadowej na budowie Nowej Huty ulice miasta i podwórza zakładów pracy pełne są dziewcząt i chłopców o dźwięcznych, młodych głosach. Patrząc na nich myśli sobie człowiek: ileż tu losów ludzkich!

Krótkie — z rachunku lat — życiorysy tych młodych ludzi wchłonęły w siebie bowiem wiele ważkich zdarzeń dziejowych Ich dzieciństwo mijało pod znakiem hitlerowskiej okupacji Ich oczy młodzieńcze widziały wyzwolenie kraju dokonane przez Armię Radziecką i Wojsko Polskie a ten i ów spośród młodzieży zdążył wziąć udział w bitwach z hitlerowskimi ciemiężcami. I oto na czas najbujniejszego rozkwitu życia tej młodzieży przypadł zaszczyt budownictwa Nowej Huty. Dziś — to murarze i cieśle, a w końcu sześcioletniego planu wiele z nich stanie się wytapiaczami stali, kowalami, tokarzami, majstrami pierwszej kategorii polskiego giganta metalurgicznego, nowatorami produkcji. Kształtowanie charakteru, woli i całego ich świata psychicznego dokona się bezwarunkowo w miarę pokonywania trudności. Jakże inaczej? My, Związek Radziecki, zbudowaliśmy w ciągu stalinowskich pięciolatek tysiące nowych fabryk — wiemy, że to nie przychodzi darmo. Przyswojenie nowej techniki, wykształcenie dyscypliny, świadomości przodowników i kierowników produkcji — to wspaniały temat, jedna z głównych dróg rozwojowych nowej literatury polskiej.

Tu chyba jest miejsce i pora, przyjaciele, by poruszyć sprawę waszego niepokoju co do groźby schematyzmu. Niepokój całkowicie zrozumiały: schemat w sztuce jest podobny do straszliwego, suszącego wiatru, który wysysa żywe barwy i miąższ życia, obnażając ostre linie ścięgien i kości szkieletu.

Trudno sobie wyobrazić, by komukolwiek zależało na sławie schematysty W herezję schematyzmu utalentowany pisarz wpada niejako wbrew własnej woli. Schematyzm staje się wynikiem błędów twórczych, przerachowań, słabej obserwacji życia, a czasami pochodzi z całkowitego braku związku pisarza z życiem Ledwieś zapomniał o prawdzie psychologicznej motywującej postępki postaci; ledwieś zaczął rozwiązywać sprzeczności przy pomocy „jednego kiwnięcia palcem"; ledwieś osłabił uwagę zwróconą na zagadnienie wyrazistości; ledwieś przestał wsłuchiwać się w brzmienie języka w utworze, języka, który stał się monotonny i równy jak wystrugana deska; słowem, ledwieś zapomniał o prawdzie życia — i oto już zamiast szerokich uogólnień, zamiast ruchu i ciepła życia opowieść wpada w nieruchomy i bezpłodny schemat.

Jak się zdaje, sprawę należałoby postawić tak: zapytujemy — jak uniknąć schematu? Oto w wystąpieniach niektórych pisarzy polskich — obok zrozumiałego oburzenia na schematyzm — dało się czasami zauważyć pragnienie szukania przyczyn schematyzmu nie tam, gdzie należy. Słyszało się rozterzasania o tym, czy aby nie za bardzo ci i owi literaci dają się pochłonąć przez życie, czy aby nie za wiele zjawisk współczesnych starają się opisać, nie dając im ostygnąć spokojnie itp.

Dwadzieścia — trzydzieści lat temu formaliści pomawiali młodą prozę radziecką o schematyzm itd., by zamącić jak najwięcej umysłów, oddalając pisarzy od czynnego udziału twórczego w kipiącym nurcie rzeczywistości. Czy warto by młoda literatura polska napędzała sobie samej stracha liczmanem schematyzmu, gdy bez wątpienia pożyteczniej byłoby zacząć z innej beczki, a mianowicie: chodzi tu, przyjaciele, przecież o sprawy kunsztu. Nie chodzi o żadne „chwyty" czy „gierki", jak lubią to eksplikować formaliści. Chodzi o kunszt sprawnego opracowania materiału życiowego, o studium aktualnych zjawisk współczesności i ich odtworzenie za pomocą środków artystycznych. Rozpocznijcie żywą, konkretną dyskusję o tym, czy pisarz za pomocą swoich środków wyraża prawdę życia, charaktery bohaterów, czy i jak głęboko, wyraziście ujął sens obserwowanego przez siebie odcinka budownictwa i uwierzcie: ta robocza dyskusja o ideowo-artystycznej jakości utworu będzie znacznie bardziej pożyteczna, niż wszystkie abstrakcyjne klątwy miotane na schematyzm.

Nie należy się dziwić, gdy spotykamy się w sztuce polskiej z jawnie formalistycznymi wybrykami i błędami — zbyt długo i biernie akceptowano w przedwojennej Polsce sanacyjnej bezduszny import formalistyczny.

W Krakowie widziałam widowisko gogolowskie — komedię „Ożenek". Niektóre pomysły inscenizacyjne, charakter gry niektórych aktorów (służący Stiepan, kupiec, konkurent Anuczkin) wyglądają sztucznie, karykaturalnie i w widowisku są czymś obcym. Rzuca się to tym bardziej w oczy, że gra większości aktorów ma dobry, realistyczny poziom.

Okazało się, że reżyser Dąbrowski (który inscenizował „Trzy siostry" Czechowa na polskiej scenie) zamierzał ująć „Ożenek" jako... widowisko kukiełkowe, nadając osobom sztuki cechy ożywionych lalek. Stąd wszystkie wady. Ponieważ zbyt trudno było realistyczną klasykę wtłoczyć w ramki „widowiska kukiełkowego", a i utalentowani aktorzy krakowskiego teatru nie mogli, jak widać, podołać temu zadaniu, to widowisko w ogólnym wyniku stało się realistyczne. Osobista rozmowa z reżyserem Dąbrowskim przekonała mnie, że talent jego ma kierunek jak najbardziej realistyczny. Skądże te wybryki formalistyczne? Czy to aby nie haracz na rzecz dawnego przesądu, który da się dostrzec i w innych krajach Europy: jeżeli do realizmu reżyser nie domiesza szczypty formalizmu, to może, Boże broń, zyskać sobie miano prowincjała. Lecz żywotna siła realizmu (jak tego jeszcze raz dowiodło przedstawienie gogolowskie w Krakowie) kompromituje wszystkie daremne, jałowe sztuczki, obce prawdzie życia. Po przedstawieniu, w pustej już sali teatralnej mówiliśmy z reżyserem Dąbrowskim o tym, jak łatwo oddzielić od żywej tkaniny widowiska te obce dlań domieszki. Jeżeli się odrzuci to śmiecie, to dobre widowisko odegrane przez utalentowanych aktorów stanie się po prostu doskonałe.

Pamiętam, jak wiele lat temu, gdy poczynała się nasza literatura radziecka, słyszało się takie oto rozważania: Czy rzeczywiście należy przed pisarzem i w ogóle artystą w jakiejkolwiek dziedzinie sztuki stawiać tyle zagadnień twórczych o tak dużej wadze i jeszcze go niejako popędzać? Niechby pozostał „sam dla siebie", niechby się przyglądał spokojnie nowym zjawiskom życia, a potem z lekka i zwolna mógłby się wreszcie „nastroić" do stworzenia monumentalnego dzieła

Czas wykazał apologetom tego powolnego rozwoju literatury ich omyłkę. Przekonali się rychło, że życie nie czeka, że społeczność radziecka rośnie z takim samym natężeniem jak i nowe wartości materialno-duchowe, tworzone przez wolną, natchnioną pracę, że bohaterowie tej społeczności pragną w postaciach literackich zobaczyć siebie, uosobienie swoich czynów, marzeń, chcą zajrzeć w przyszłość.

Stojąc na gruncie naszych doświadczeń twórczych, zapytam: czyż nie to samo dzieje się w Polsce Każdy jej przyjaciel widzi ze szczerą radością, jak coraz szybciej goją się rany wojny i jak burzliwie rozrasta się budownictwo nowego życia, jak razem z nim rosną ludzie. Robotnice i robotnicy łódzkiej fabryki imienia W. Reymonta — to śmiali, pełni inicjatywy ludzie, którzy z zachłannością studiują i stosują w swej pracy wszystko, co nowe i postępowe; młody inżynier — budowniczy z biura projektów w Krakowie, pełen jest planów twórczych dotyczących przyszłości nowego miasta socjalistycznego — Nowej Huty; tysiące nowatorów — budowniczych nowej Warszawy — oto ci nowi czytelnicy, którzy chcą w postaciach literackich zobaczyć siebie, swój rozrost duchowy i zawodowy, swoje dążenia i myśli.

Przed współczesną literaturą polską historia postawiła szerokie i zaszczytne zadanie — odtworzenia bohaterskiej epoki tworzenia i rozwoju nowego, miłującego pokój państwa polskiego, budującego socjalizm. Nowe, świetne utwory nie powstaną jednak, jak to się mówi, z samych bebechów, dzięki czystemu talentowi, nie, utwory takie, wymagają wielu innych rzeczy. Treść życia, przyczyny konfliktów, podstawy charakterów, sens zjawisk, ich kierunek i przyszłe drogi, świat duchowy bohaterów — wszystko, czego się tylko tknąć, staje przed pisarzem otworem tylko w wyniku uważnego studiowania życia. A poznawać je, posługując się dawnymi miarkami — toć to powtórzenie starej przypowieści o młodym winie i starych, zużytych miechach.

Liczne pokolenia pisarzy rosyjskich wiązała z literaturą polską mocna przyjaźń. Wiele polskich znanych nazwisk literackich — to imiona bliskie i drogie także dla nas, ludzi rosyjskich. Wszystkie te dawne związki w epoce naszej wspólnej walki o pokój, demokrację i przyjaźń ludów pogłębiały się, stały się serdeczniejsze. Wierząc niezachwianie w piękną przyszłość literatury polskiej, każdy z nas, pisarzy radzieckich, stara się pomóc jej swoim doświadczeniem.

Na zebraniach literackich i w osobistych rozmowach w Warszawie, Łodzi i Krakowie wskazywano słusznie, że nie wyzyskaliśmy dotąd wszystkich możliwości, jakimi dysponujemy w celu zacieśnienia przyjaznych więzów literackich. Więź ta powinna znajdować wyraz nie tylko w odwiedzinach i spotkaniach. Istnieją inne możliwości dla, że tak powiem, roboczego kontaktu — o charakterze stałym; na przykład: bardziej operatywne traktowanie sprawy tłumaczeń, wprzęgnięcie większej liczby krytyków radzieckich do studiów nad literaturą polską, wymiana opinii konferencji czytelniczych, zapraszanie pisarzy różnych pokoleń na zebrania związków literackich, wspólne dyskusje itd.

Wszyscy bierzemy udział w tworzeniu nowej literatury światowej. Powstaje ona pod znakiem walki o pokój i przyjaźni ludów. Literatury Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowej wnoszą do tego dzieła wkład niewątpliwie największy. Pogłębiając nasze związki, poznając się i pomagając sobie na wzajem, nieustannie podnosząc ideową i artystyczną wartość utworów, nasi twórcy wolnej, prawdomównej literatury w pełnej mierze wezmą udział w ogromnym życiu duchowym ludzkości i jej wszechświatowej walce o pokój i wolność.

Przełożył **L. K.**

*) Artykuł znanej pisarki radzieckiej, zamieszczony w numerze 59 „Litieraturnej Gaziety" publikujemy z nieznacznymi skrótami.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Trzy brygady młodzieżowe

Nazywano to świetlicą. A to nawet trudno było z czystym sumieniem nazwać stołówką, choć dwa bufety oraz niemała ilość stołów i stołków zdawały się o tym bezspornie świadczyć. W tym celu w każdym razie użytkowano tę przestrzeń, równie prowizorycznie, byle jak urządzoną, jak wszystko na piętrowym podwyższeniu służącym za tymczasowy przytułek biurom technicznym, administracji, szatniom i łaźniom wydziału. Piece też były tymczasowe — poczwarne i popsute — a że luty mróz nie chciał odczekać wiosny, terminu uruchomienia hali trzeciej — wszyscy plaskali w dłonie, dreptali stopami, jak dorożkarze machali rękami. Kostnieli.

Przeciągał się początek narady — lecz do tych spóźnień wszyscy byli przyzwyczajeni, na wszelki wypadek schodzili się powoli, po terminie minut pięć, dziesięć, kwadrans i dłużej Brzęczały w powietrzu głosy gadających przyjaciół, żarty, okrzyki, pogróżki. Spora gromada pracowników narzędziowni — kilka setek ludzi — ginęła jakoś w dużej a nieprzytulnej przestrzeni. Podłużnie zestawione dwa prezydialne stoły nakryto czerwonym suknem. W środku — przed przewodniczącym — kołysał się lekko na srebrnym drążku biało-czerwony proporczyk przechodni ufundowany dla najlepszej brygady młodzieżowej wydziału przez Centralny Zarząd Przemysłu Motoryzacyjnego; centralny zarząd już dawno przemienił się w ministerstwo, ale proporczyk teraz dopiero miał być zwycięzcom wręczony po raz pierwszy. Ładnie wyglądać będzie nad stanowiskiem — konstatowali chłopcy, jedni z radością, inni z zazdrością.

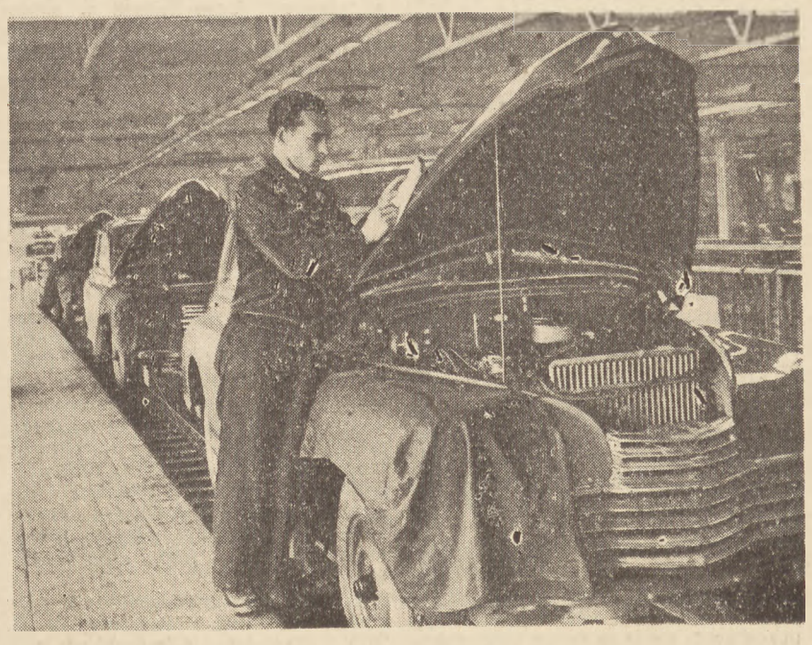

Foto CAF

Ogólny widok na halę montażu Fabryki Samochodów w Żeraniu.

Foto CAF

Przodownik pracy z brygady młodzieżowej przy montażu silnika.

Obok proporczyka leżała piramidka czerwonych książeczek PKO oraz plik dyplomów. Zanim jednak rozpocznie się wręczanie nagród — najprzyjemniejsza część narady — należy wysłuchać „pater noster". Kierownik Wróblewski recytuje sutą listę tych niesolidnych: bumelantów i wagarowiczów, wrogów roboty a przyjaciół nadmiernie świeżego powietrza. Różne padają nazwiska. Aż raptem...

— Zenon... tokarz...

Jak to? Za co? Miał usprawiedliwienie lekarskie! Za 163 proc. normy wykonanej w styczniu! Zenon nie pojmuje. Solidarni tokarze są wzburzeni. Taka krzywda! „On zawsze na nas taki cięty!" — któryś szeptem precyzuje zarzut stronniczego uprzedzenia.

Dyrektor naczelny mówi teraz długo i konkretnie:

„Minął styczeń, pierwszy miesiąc przełomowego roku Planu 6-letniego. Na podstawie wyników tego minionego miesiąca możemy zrobić bilans naszej pracy... Niektóre wydziały, jak na przykład Montaż Główny, osiągnęły już pewną rytmiczność, a inne wykonanie planu zawdzięczają jedynie zrywom w końcowych dniach miesiąca. Warunkiem systematycznego wykonania planu jest doprowadzenie go do poszczególnych stanowisk robotniczych, odpowiednie zaopatrzenie magazynu w części i materiały oraz umiejętność operatywnego rozplanowania pracy...".

— Słusznie! Tym łobuzom z planowania należy się łaźnia. — Wojtek z satysfakcją komentuje swemu brygadziście przemówienie dyrektorskie Ileż godzin muszą się nabiegać nim wydostaną dokumentację do dalszej roboty.

Dyrektor mówi dalej:

„Tymczasem na naszych wydziałach niedotrzymywanie terminów postawionych przed załogą w ramach planów ogólnozakładowych stało się zjawiskiem normalnym...".

Kierownik Wróblewski uśmiecha się pod wąsem. Siedzi za stołem prezydialnym, więc wszyscy ten uśmiech widzą. Towarzysz dyrektor pije do remontowego — oni leżą poniżej planu. Dla narzędziowni to już przeszłość — grzechy grudniowe można zapomnieć. Poważnie podwyższony plan styczniowy — przekroczyli, nie o wiele wprawdzie — 130 normogodzin tylko — ale przekroczyli. Zawiedli dorośli — dopisała młodzież zetempowska, której dodatkowe 9.757 normogodzin pomyślnie rozwiązało kłopoty kierownika Wróblewskiego.

Uśmiecha się kierownik Wróblewski wręczając dyplomy oraz czerwone książeczki nagród szlifierzom brygady im. Rutkowskiego. Cyfra ich zwycięstwa: 2173 normogodzin przepracowanych. Im to zarząd zakładowy ZMP postanowił zatwierdzić wybrane przez chłopców imię bohaterskiego syna klasy robotniczej, który wykonując wyrok na policyjnym prowokatorze, złożył swe młode życie w pięknej ofierze. Osiągnęli — 171 proc. normy. Wróblewski podając Marianowi okrągłą podstawkę proporczyka — uśmiecha się serdecznie, jakby porozumiewawczo, dziękuje za sukces.

„Dopiero w kwietniu"! — z żalem myśli Wojtek patrząc na Mariana odbierającego biało-czerwony trójkąt haftowanego jedwabiu — dopiero w kwietniu!" Dali się wziąć o te głupie 2 procent. Frezerzy: 169 proc. normy. „Cholera" — Karolek półgłosem komentuje nagrodę szlifierzy. Odbiorą go dopiero w kwietniu — teraz, na początek, proporzec wręczono szlifierzom jedynie za [illegible]nik styczniowy, ale odtąd już będzie przekazywany co kwartał. Wojtek wie, że mogliby go dostać już w marcu; w lutym przegonią szlifierzy — na pewno! „Zrobimy teraz dwieście procent" — półgłosem deklaruje Wojtek, tak by słyszano go dookoła. Lecz po zebraniu, naradziwszy się, brygada frezerska rozsądnie obniżyła obietnicę grupowego: podjęli się wykonać 180 proc.

Przed stołem prezydialnym pojawiają się teraz jeden po drugim: Marian z wysoką, sfalowaną czupryną, Janek o twarzy okrągłej, szczupły Olek, postawny Edek. Wywołani Wojtek, Irena i Karol każdy dostaje od towarzysza Nowaka dyplom uznania i 200 złotych w czerwonej książeczce PKO. Są szczęśliwi — ambicji stało się zadość. Po szlifierzach i frezerach wywołują tokarzy Wiesiek, Stefan, Mirek... „Ułaskawienie bumelantów" — między chłopakami ktoś parska krótkim śmiechem.

— Zenon... — wykrzykuje Wróblewski — 163 proc.

Janusz szepce Józkowi: „To był byczy pomysł, żeby Zenona wyznaczyć na grupowego. Józek uśmiecha się — nie wiadomo tylko, czy myśli o udanym posunięciu pedagogicznym czy o 300 procentach normy osiągniętej przez siebie.

Nikt nie podchodzi do czerwonego stołu. Nowak trzyma w powietrzu dyplom i książeczkę...

— Zenon... — powtarza. Na próżno. Tokarze rozglądają się po sobie. Był tu przecież przed sekundą. „Zaraz przyjdzie" — wołają uspakajająco.

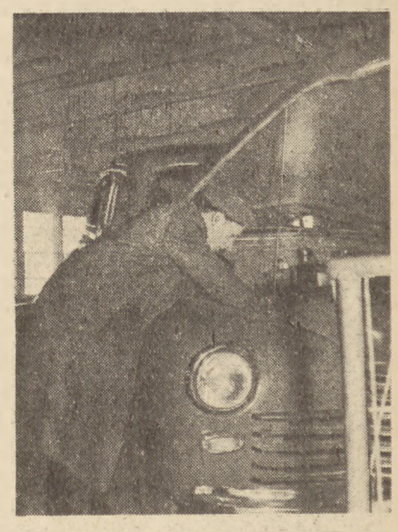

Foto CAF

Sprawdzanie silnika przed wyruszeniem na próbną jazdę.

— Zenon... — Nowak po raz trzeci powtarza nazwisko młodego tokarza. Chwilę jeszcze wyczekująco trzyma dyplom i książeczkę. Potem odkłada je na bok.

— Obraził się! — tokarze skwitowali ucieczkę swego grupowego, który najwidoczniej nie chciał odebrać nagrody otrzymawszy naganę.

Nazajutrz nad szlifierkami wisiał w szklanej gablotce czerwono biały proporczyk. Wszyscy wiedzieć powinni, że najlepszą brygada na narzędziowni jest brygada nosząca imię Henryka Rutkowskiego.

TRZECH MUSZKIETERÓW

Obraził się?

Kto go tam wie!? Nazajutrz, gdy Józef z rzadką elokwencją zaczął wyrzucać mu rejteradę z zebrania, Zenon usprawiedliwiał się burkli-

wie: żołądek, wiecie, musiałem wyjść wcześniej...

— Może i żołądek? A może się i obraził — konkludował Janusz i pienił się, gdyż taka obraza to przejaw ideowej słabości zetempowca.

Choroba żołądka minęła — ale ani po dwóch, ani po trzech dniach, ani nawet po tygodniu Zenon nie zgłosił się do kierownika Wróblewskiego po dyplom i książeczkę PKO. Gdy spotykanemu na hali chłopcu Wróblewski o tym przypominał — Zenon zapewniał kierownika, że zaraz do dniówce wpadnie do biura — i nie pojawiał się wcale. Ilekroć Wróblewski otwierał biurko — przypominał sobie, że trzeba nareszcie załatwić z tą książeczką. Lecz Zenon nie meldował się po nią.

Zenon był wściekły. Czyrak — miał świadectwo lekarskie — a tu od razu: bumelant! Przyczepiła się do niego ta nazwa, jak rzep ogona psiego. Klął plugawie. Nikt inaczej teraz na narzędziowni nie mówił, tak drukowali w tygodniku fabrycznym: aha! 165 proc. normy, on? to świetnie! były bumelant! Wszędzie dokoła: bumelant, bumelant...

Trudno było przeczyć, że mówiono bez podstaw.

Gdy w lecie, z Agnieszką, swą obecną żoną pojechał na osiem dni nad morze, na „polski urlop" — sąd skazał go na potrącenie 20 proc. zarobków w ciągu trzech miesięcy. Zlekceważył ten pierwszy wyrok. Drugi raz już tylko cztery dni wagarowali nad Wisłą — wrzesień był taki cudny! — ale skończyło się też w sądzie. I tak został bumelantem.

Między koleżkami nazwa ta nie miała nic hańbiącego. Czasem dekorował nią sam siebie jakiś zuch specjalny — jednak na zewnątrz fabryki żaden z nich nią się nie chlubił. W domu słowem jednym Zenon nie przyznał się do otrzymanych kar. Nie chciał ojcu dawać jeszcze jednego argumentu przeciwko swojej pracy fabrycznej. Przedwojenny magazynier, wojenny kupiec — przed samym powstaniem zafundował sobie ten domek w Miłośnie, gdzie teraz mieszkała cała rodzina — powojenny urzędnik w ministerstwie skarbu, żałował wprawdzie mocno handlowej ery swego życia, ale syna już pragnął widzieć wśród wolnych zawodów. Zenon jednak nie nadawał się do wygniatania krzeseł, obojętnie jakich: szkolnych, uniwersyteckich czy gabinetowych. A że jego pokolenie już w mniejszym, niż poprzednie, stopniu zarażone było snobizmem „pracy umysłowej" — jak zaczęło chłopca „nosić" poza szkołę, tak już w 1949 zaniosło go do prywatnego warsztatu naprawy samochodów, gdzie ślusarzował tak długo, aż w 1951 FSO otworzyło szeroko wrota przed młodymi robotnikami. Żerań magnesem budowy samochodów — któryż nie marzył o szoferce! — werbował chłopakow z całej Pragi i podstołecznych okolic prawej strony Wisły. Zenon został tokarzem — ślusarka to szmelcowaty fach! — mawiał o ręcznej obróbce — ku zgrozie ojca, obrzydzającego synowi przy każdej nowej okazji pracę fabryczną, z cichą nadzieją ostatecznego do niej zdegustowania.

Zenon nie pragnął dostarczyć ojcu argumentów do nowej zgryźliwości. Wstydził się natomiast Agnieszki. Nie, żeby niesolidność mogła mu mieć za złe z przyczyn ideowych — dobrali się pod tym względem. Zenon należał do ZMP raczej siłą rozpędu, niż z ugruntowanego, głębokiego przekonania. Ale słowo „bumelant" zawierało w sobie dozę i szyderstwa, i wstydu, i niemal jakiejś hańby. Czuł to on — czuli inni chłopcy. Można było chodzić poza fabrykę, można było zbierać kary — nie należało się bumelanctwem chlubić. Każdy już raczej chciał być przodownikiem — choć fason nie zawsze pozwalał o tym marzeniu mówić głośno; ambicja nakazuje lekceważyć to czego się nie umie osiągnąć.

Nazywano ich „trzema muszkieterami", gdyż było ich czterech niczym w powieści Dumasa: Wiesiek, Mirek, Stefan i Zenon. Razem penetrowali nadwiślańskie krzaki i znali nurty, którymi przepłynąć można było na Bielany, do Wieśka. Każdy miał już w papierach personalnych adnotację o karach za naruszenie dyscypliny pracy. Małe to na nich czyniło wrażenie — żaden chłopak nie lękał się usunięcia z fabryki. Nie znali obawy przed bezrobociem, przed tą najbardziej precyzyjnie działającą w ustroju kapitalistycznym maszyną dyscypliny pracy. Fakt wspólnej przynależności do brygady o szczytnej nazwie Rewolucji Październikowej — długi czas na postępowanie trzech muszkieterów nie miał najmniejszego wpływu.

Pierwszy zdradził ich Wiesiek. A stało się to wtedy, gdy w „Budujemy FSO" przeczytał pod autentyczną i własną fotografią zasadniczą uwagę, że „pan Wiesław... z zawodu frezer, z zamiłowania bumelant, pracę uważa za wymysł diabelski a człowieka za istotę stworzoną do celów wyższych niż toczenie. Cel wyższy dla pana Wiesława to..." Żadna dotychczasowa „Błyskawica" ręcznie pisana i wywieszana jedynie na narzędziowni tak nie podziałała, jak druk kolportowany w półtora tysiącach egzemplarzy, czytany w całej fabryce, przez wszystkie rodziny. Na oczach całej brygady frezerów, starych i młodych, Wiesiek skrupulatnie podarł pismo na równe ćwiartki, orzekł bardzo głośno iż „papier, a jakże, miękki, dobry" — dokoła buchnął aprobacyjny chichot — a w domu dopiero rozbeczał się do poduszki, jak mały szczeniak.

W końcu grudnia wywieszono na „Błyskawicy" kartkę: „Redakcja chwali kol. Wiesława, który przestał być bumelantem i wyrobił 145 proc. normy. Wzywamy innych bumelantów z brygady tokarzy, by poszli w jego ślady". Stefan i Zenon kpili z Wieśka na potęgę: „mamin synek".

Ale „bumelant" dokuczał. Data ślubu była już wyznaczona — a Zenon ciągle nie spraszał trzech muszkieterów, bał się, że któryś chlapnie tym „bumelantem". Wstydził się ich błagać o koleżeńską dyskrecję. Tak źle i tak niedobrze.

Wybór na grupowego wypadł mu w samą porę; już od kilku dni Zenon nie opuszczał ani godziny pracy. Nikt tego jeszcze nie spostrzegł — za krótko trwało — ale on sam jak szczęśliwą okazję podpisał dwustogodzinne zobowiązanie.

W nowym roku praca szła mu świetnie. Toczył wielkie ilości śrubek. Procenty wykonanej normy przyrastały poważnie. 17 stycznia zaprosił przyjaciół na ślub, już teraz mógł ich zobowiązać do milczenia; wszyscy toczyli solidnie. W poniedziałek 21 stycznia do pracy zjawił się punktualnie — aż kpili zeń dwuznacznie. Rezultat: 304 normogodziny. W przemianowanej z „Budujemy FSO" na „M-20 Warszawa" wydrukowali: „były bumelant..." Cholera! Były!

I znowu numeru nie mógł pokazać swej Agnieszce! Ale dyplomem na pewno będzie mógł się pochwalić, a za 200 złotych, podjęte z książeczki, kupi jej najcieńsze pończochy. Dyplom położy w jadalnym na stole. Niech zobaczy i ojciec. Nie gorzej jest synowi na Żeraniu, niż w doktorskim gabinecie.

A tu — wyraźnie słyszał i on, i wszyscy — znowu bumelant! Rzeczywiście podział gdzieś to świadectwo lekarskie w zamęcie przedślubnych przygotowań równoczesnych z przyjmowaniem wysokich zobowiązań. Ale normę tak świetnie wypracował. Nie chcieli mu darować, potępili, stare uprzedzenia.

Już go teraz nie umieszczą wśród przodowników. Nie położy w jadalnym dyplomu. Płynęły dyrektorskie słowa, a Zenon kuł w sobie gwałtownie postanowienie: jutro wymówi pracę. Warszawa szeroka. Zajęcie znajdzie wszędzie. Dobry tokarz kłopotu nie ma. A tam już nikt mu w oczy tym „bumelantem" nie będzie świecić. Tam...

Powtórnie usłyszał własne nazwisko. Wymienione razem z Wieśkiem i Stefanem. Wyróżnili jego pracę, ale po jakiej porcji poniżenia!

Jednak wyróżnili. Ustalona decyzja rozsypała się w proch. Zostanie — i pokaże im, jak potrafi pracować. „Bumelanta" wtłoczy im z powrotem do gardła. Ambicja topiła się w nim z pasją. On im już pokaże...

A tym dyplomem, dyplomem byłego bumelanta, niech się udławią!

NOCNY NAPAD

Jednak nie może się jeszcze uspokoić. Choć spokojnymi ruchami reguluje pracę maszyny — wewnątrz cały dygocze. Z nieuświadomionego lęku?

Zadecydowały milimetry. O milimetr trafniej uderzyłby tamten, a żelazne kulki „pierścionka" rozbiłyby nie skórę na policzku, ale oko.

Wojtek znał powód napadu. W ciemnej, skąpo z okien mieszkalnych oświetlonej praskiej uliczce zamajaczyło przed nim nagle, zaczepnie i nachalnie, trzech młodych ludzi. By ich wyminąć, przesunął się krok na lewo, wtedy usłyszał słowa bandyty: „z normami, sukinsynie, już kaput..."

Stanął — zaskoczony. Natychmiast poczuł na prawym policzku ostry ból — cios żelazem. Bez chwili zastanowienia, nagle przypominając sobie otrzymaną kiedyś radę — dwoma rozstawionymi palcami prawej dłoni wymierzył cios w oczy napastnika. Tamten ryknął z bólu — i potoczył się wstecz. Nie szkodzi! Wojtek skoczył całym ciałem do przodu, pięścią waląc w twarz drugiego bandytę, i jakimś przedziwnym wyrzutem nogi kopiąc go równocześnie w kolano. Trzeciego już zdążył uderzyć. Pędził jak oszalały przed siebie, byle dopaść pierwszej bramy, zakryć cel swych pleców. Lecz nie strzelali.

„...z normami kaput!" — to powtórzył Sieradzkiemu, przewodniczącemu żerańskiego ZMP, składając dziś rano sprawozdanie z napadu. Powodowany koleżeńską lojalnością przemilczał jednak, że usłyszany okrzyk bandyty natychmiast skojarzył mu się z zaczepkami starszych kolegów z narzędziowni, którzy to groźnie, to dobrotliwie tłumaczyli chłopcu, żeby pracował wolniej, gdyż wtedy od starszych mniej wymagają. „Jak się naoram — mawiał mu jeden mamut — brzucho mnie boli i spać nie mogę potem". Wiedzieli kogo straszyć. Złamia skrzydła przodującemu wśród młodzieży frezerowi, grupowego brygady im. Janka Krasickiego, zwiodą ze ścieżek współzawodnictwa — inni stracą ochotę. I bajorko będzie po staremu spokojne.

Wojtek odpowiadał im szyderczo, niegrzecznie, krótko, zbywał byle jak, nie umiał tłumaczyć starym rzemieślnikom tych wszystkich uroków pierwszeństwa — wyróżnień, nagród, pochwał, które pieściły ambicje osiemnastoletniego chłopaka, które sprawiały, że poczucie własnej wartości rozwijało się w nim szybko i harmonijnie. Odchodzili od jego frezarki podrażnieni w swej dorosłej ważności: smarkacz ich postponował.

Siedząc w pokoju Sieradzkiego przemilczał swe oskarżycielskie skojarzenie. Żadnego ze znajomych rzemieślników nie mógł posądzić przecież o inspirację napaści. Zrobił to niechybnie ktoś z fabryki — lecz wróg był bardziej skryty.

I wróg ten może zaatakować raz jeszcze — jakby odruchem strachu zatrzepotało Wojtkowe serce. Może należy spauzować? Spojrzał na nowy przyrząd — gwintowniki; czas przewidziany — 58 godzin. Może zrobić to w równe 58 godzin. Czy po to dał im taką nauczkę, żeby teraz cofnać się? Nie cofa się chłopak osiemnastoletni, jeśli jest ambitny.

Nie cofnął się jesienią 1950 roku, gdy w biurze personalnym fabryki samochodów urzędnik odpowiedział mu krótko: nie. Syn zmarłego podczas wojny piekarza, uczeń gimnazjum mechanicznego, za każdą cenę chciał się dostać do tej fabryki — ciągnęły go samochodowe konstrukcje, a matka nie miała pieniędzy na dalsze kształcenie. W tramwaju podsłuchał rozmowę dwóch młodych mężczyzn: przyjmują do FSO. A tu personalny mówi, nie! Lecz Wojtek był mędrszy od gryzipiórka. Jak najmniej oficjalnie przekroczył płot odgradzający teren przyszłej fabryki. Wśród gmatwaniny żelbetonowych słupów odnalazł jakiś ledwo wykończony fragment hali, gdzie dygotało kilkadziesiąt obrabiarek, wtedy jeszcze nie rozdzielonych na wydziały remontowy i narzędziowy. Niewiele myśląc wmeldował się między maszyny — i dotarł do inżyniera Burego. Nic o sobie dotąd nie wiedzieli — ale z miejsca przypadli wzajem do gustu. Dnia następnego Wojtek stał już przy ślusarskim imadle, a w kilka miesięcy później, w maju 1951, młody uczeń wzorcarski docierający pryzmy wyrobił aż 140 proc. normy. Lecz chłopca ciągnęły obrabiarki — obróbka mechaniczna, oto kunszt! Trzy razy kierownictwo narzędziowni odmawiało jego prośbie o przeniesienie. Za czwartym razem odwołał się do Rady Zakładowej, gwarantując iż po dwutygodniowej pracy na frezarkach osiągnie te same 140 proc. normy, które zdobywał jako wzorcarz. Był to gorący czas uruchomienia fabryki — frezerów potrzebowano. Po miesiącu pracy na frezarce — Wojtek osiągnął 160 proc. Wielokrotnie wyróżniany był za swą pracę. A gdyby się wtedy cofnął przed lenistwem urzędnika? Gdy w grudniu organizowali frezerską brygadę młodzieżową sam zaproponował jej nazwę: imienia Janka Krasickiego. Czy Janek Krasicki kiedykolwiek stchórzył! A Jemu przecież groziło gestapo, nie jacyś tam prascy chuligani. Czy mógł się cofnąć — on, wyróżniony przed trzema dniami uroczystą pochwałą zarządu zakładowego ZMP!

Roześmiał się półgłosem.

— Wesoło ci — od sąsiedniej frezarki chrząknął jeden z mamutów. Pewnie pomyślał: za lekko uderzyli.

Powoli, automatycznie przygotowywał gwintowniki do frezowania. Lecz myślami był poza tą pracą.

Raz odrzuciwszy lęk — prawem młodzieńczego kontrastu szukał demonstracji swej siły. Pokazać ją wszystkim! Zobowiązanie — złożone! Wykonać je świetnie — cóż z tego, kiedy rezultaty będą i tak ogłoszone najwcześniej za trzy tygodnie. Za późno. Chciał już, natychmiast, pokazać zamaskowanym draniom, że ich się nie uląkł. Śpieszył się! Przewidzianych 58 godzin! Skrócić te godziny. Ale jak, by efekt naprawdę był oszałamiający?

Dzień minął — i Wojtek nie zaczął pracy. Absolutny brak pomysłu. Noc spędzona nad kartką papieru — i ranne, wraz ze wschodzącym słońcem olśnienie.

Toż to było tak niewiarygodnie proste! Dwie, dwie piłki! A nikt na to nie wpadł! Gdy się je obie równolegle zamocuje — wtedy na obrotowym stole frezować można równocześnie kilka gwintowników, a nie, jak dotąd, każdą sztukę oddzielnie. Zysk czasu — siedmiokrotny!

Po ośmiu godzinach pracy, po jednej dniówce — sześć i pół raza prędzej niż przewidywano — oddał sfrezowane gwintowniki. Duma go rozpierała. „Oni" już się o tym dowiedzą.

Na pokratkowanej tablicy współzawodnictwa czerwony pasek Wojtka wydłużył się niepomiernie, wyprzedził wszystkie inne. Frezerzy utwierdzili się w pewności tego miesięcznego nad szliferzami zwycięstwa.

Kazimierz Koźniewski

(Dokończenie w następnym n-rze)

EWA FISZER

Na trasie Pokoju

Kiedy dwa tygodnie temu rozpoczął się w Warszawie Wyścig Pokoju — pola zbóż zaledwie się zielenniły. Dziś żyto wykłosiło się już, a blok na Muranowie, przy którego budowie pomagali kolarze Holendrzy podając polskim murarzom cegły — stoi pod dachem. W ciągu tych dwóch tygodni kolarze 17 narodów przebyli z przeciętną szybkością 39,5 kilometrów na godzinę trasę prowadzącą przez trzy kraje i liczącą 2.080 kilometrów.

A znaczenie Wyścigu Pokoju, jego uczuciowe napięcie rosło z dnia na dzień czerpiąc siły od milionów spotkanych na trasie ludzi, jak rzeka czerpie wody z miliona napotkanych strumyków.

Wyścig zaczął się w Warszawie dnia trzydziestego kwietnia. Ale pierwszym prawdziwym dniem Wyścigu był 1 Maja, była warszawska pierwszomajowa manifestacja, w której pierwszych szeregach przedefilowali przed Prezydentem Bierutem kolarze siedemnastu krajów.

A więc Anglicy — najlepsza ekipa wyścigu z przyszłym zwycięzcą Janem Steelem, stolarzem z Glasgow, który za to, że przyjechał do nas, aby — i dla Anglii przecież — odnosić triumfy w Wyścigu Pokoju — stracił posadę.

Finnowie, którzy jak sami od pierwszego dnia powtarzali, nie przyjechali po zwycięstwo. Wiedzieli, że są słabsi od innych drużyn. *„Ale chcieliśmy wziąć udział w wyścigu, aby zamanifestować wraz z innymi, że jesteśmy po stronie walczących o pokój"*. Fińska organizacja sportowa TUL, do której należą, utrudniała im wyjazd. Nie chciała dać pieniędzy na podróż, groziła dyskwalifikacją, powołała ich na przygotowawczy obóz olimpijski w dniu, w którym był przewidziany wyjazd do Polski. Kolarze fińscy przybyli jednak. Tak, byli jedną ze słabszych drużyn, ale nawet u nas wyróżniali się piękną, zespołową jazdą i braterską współpracą między kolarzami. Ani jeden zawodnik fiński nie został na trasie sam z defektem.

Austriacy: rewelacyjny Deutsch i dobry Cerkovnik, który na jednym z ostatnich etapów musiał zrezygnować z dalszej jazdy. I oni mieli wiele kłopotu z przyjazdem do Polski. Żaden ze związków kolarskich Austrii nie mógł zdecydować się na wysłanie swych reprezentantów. Trzeba było walczyć. W końcu wyjazd zgodził się firmować Oe RB i zaczęły się nowe kłopoty. Firmy, w których kolarze pracują, nie chciały im udzielić urlopów na *taki* wyścig. Na kilka dni przed wyjazdem nie mieli jeszcze urlopu Cerkovnik i Fischer. Cerkovnik dostał go w ostatniej chwili i przyjechał bez treningu, w słabej formie. Fischer musiał zrezygnować z Wyścigu.

Dalej, Triesteńczycy. Wśród nich dwóch bezrobotnych murarzy Zarzenon i Satti. Jak oni oglądają Warszawę! I oni mieli trudności z przyjazdem. Rząd włoski w ostatniej chwili odmówił im wiz i bilety samolotowe przepadły. Na zakup innych biletów nie było już pieniędzy. Rada w radę, sprzedano radio, nagrodę z zeszłorocznego Wyścigu Pokoju, i Triesteńczycy, choć późno, i choć zmęczeni 38-godzinną podróżą pociągiem — jednak przybyli.

Włosi, wśród nich najlepszy był Federici, który rozkręcił się dopiero na ostatnich etapach. Pierwsze etapy dopiero przywróciły mu formę, nie miał treningu — mówi kierownik drużyny włoskiej, senator Tarozzi. *„Federici jest wyrobnikiem rolnym, czy wiecie, jaka jest nędza wśród robotników rolnych w naszym kraju? Pracują na dniówki, dostają grosze, i żeby to chociaż mogli liczyć na stałą ilość dniówek, w każdym miesiącu! Federici z początku kwietnia po długim okresie bezrobocia otrzymał właśnie pracę. Musiał wybrać: jeść, albo trenować"*.

Albania: samotny zawodnik Anghelli — student z Warszawy. Rząd Tita odmówił Albańczykom wiz tranzytowych na przejazd do Polski. Pozostała więc droga morska, ale statek płynący do Polski wychodzi tylko raz w miesiącu, a podróż trwa bardzo długo. Anghelli wiedział, że nie jest w formie, że sam nie może sprostać zawodnikom wspomaganym przez całe drużyny, ale chciał, aby imię Albanii znalazło się wśród uczestników Wyścigu. Anghelli od siedmiu miesięcy studiuje na AWF. *„Wiecie, dlaczego studiuję tutaj?* — mówi nam. — *Bo w 1950 roku wraz z całą drużyną albańską brałem udział w Wyścigu Praga — Warszawa. I zeszłego roku, kiedy zdałem maturę, dołożyłem wszelkich starań, aby wyznaczono mnie właśnie do Warszawy"*.

Czesi: z uśmiechniętym Wesselym, który w ostatnią niedzielę pomagał startować polskim dzieciom w Alei Stalina. Szli Bułgarzy, Rumuni, Węgrzy, Duńczycy, Francuzi, Holendrzy i Belgowie. Szli Polacy z Francji. Szła drużyna polska, wśród której podczas Wyścigu wyróżnił się potem Królak, jadąc najambitniej i najofiarniej.

Wreszcie — drużyna niemiecka z jej bohaterem — Gaede. Gaede nie zajął wysoko punktowanego miejsca. Ale pamiętamy Gaedego jeszcze z zeszłego roku, kiedy po ciężkiej kontuzji na pierwszym etapie i dodatkowym zranieniu oka na czwartym, nie wycofał się jednak z Wyścigu, jadąc wyłącznie po to, aby pomagać kolegom. W tym roku Gaede rozszerzył swą pomoc nawet na inne drużyny. To on został z Bułgarem Kolewem, którego spotkał ciężki upadek, dopóki nie nadjechała pomoc lekarska. I on stał się bohaterem ostatniego etapu, oddając swój rower Jankowi Stablewskiemu z Polonii Francuskiej. Stablewski miał jeszcze szanse na pierwsze miejsce, Gaede był „jednym z tłumu". Jak wysokiego poczucia sportowego braterstwa musiała wymagać decyzja wyrzeczenia się walki o lepsze wyniki na korzyść kolarza z innej drużyny!

Norwegia nie brała udziału w Wyścigu, ale w Pochodzie Pierwszomajowym pod tabliczką z napisem „Norwegia" szło dwóch ludzi. Dziennikarz norweski i kolarz - obserwator. Związek norweskich kolarzy mimo nacisku postępowej części społeczeństwa nie udzielił zawodnikom zezwolenia na wyjazd, przeciwnie — surowo tego wyjazdu zakazał. Przyjechał więc tylko jeden kolarz, aby powiedzieć nam, że Norwegowie będą walczyć o uczestnictwo w przyszłym Wyścigu Pokoju. Powiedział więcej: *„A ja obiecuję, że pojadę nawet w tym wypadku, jeśli potem spotka mnie ze strony mego związku dyskwalifikacja. Niech żyje Pokój!"*

Pierwszego maja zawodnicy siedemnastu krajów po pochodzie wyruszyli w Wyścig Pokoju przez Berlin do Pragi.

Starterem honorowym w Warszawie był ambasador niemiecki w Polsce, starterem honorowym w Bautzen — kiedy rozpoczynał się pierwszy etap w NRD — ambasador czeski w NRD, na granicy niemiecko - czeskiej w Hrensku — ambasador polski.

Te trzy starty honorowe dzieliło po kilka dni i granice.

Wyścig toczył się w tak zawrotnym tempie, że wrażenia mieszają się teraz w pamięci i zlewają ze sobą, jak twarze ludzi ustawionych szpalerami wzdłuż trasy. A granice? Granice były, ale granice nie dzieliły. Tym samym uśmiechem witano kolarzy wszędzie, wszędzie tak samo kwitła wiosna i słońce, i wszędzie powiewały w rękach ludzi te same papierowe chrągiewki — siedemnastu krajów. Na 10 kilometrów przed Łodzią zawodnik belgijski, Van Houven, zaczął finiszować, sądząc po tłumach ludzi, że meta musi się znajdować tuż, tuż. Siedemnaścioro dzieci w Częstochowie witało Wyścig stojąc pod słomianą strzechą, na której siedział bocian, i powiewało chorągiewkami, każde inną. Dzieci koło Wirtemberg wyszły na drogę z tablicami szkolnymi, na których w wielu językach wykaligrafowały z pomocą nauczyciela: „Braterskie pozdrowienie wszystkim zawodnikom".

Huta „Pokój" w Katowicach, zakłady przemysłowe w Chemnitz, fabryki Mostu w Czechosłowacji wzmogły tempo produkcji na cześć Wyścigu i objęły patronaty nad poszczególnymi drużynami. Wszędzie tak samo stały kobiety z dziećmi na rękach i ufnością w oczach, wszędzie tak samo chłopcy fotografowali zbliżających się kolarzy; wszędzie tak samo dzieci wdrapywały się na kwitnące owocowe drzewa i jak zza muślinowych firanek przesyłały uśmiechy i całusy.

I tak samo we Wrocławiu jak w Berlinie, jak w Pilznie, na stadionie stały wózki, w których siedzieli inwalidzi wojenni. Ci, którzy już nigdy nie będą mogli chodzić, oklaskiwali tych, którzy są pierwsi na kolejnym etapie Wyścigu Pokoju.

Wrażenia migają przed oczami. Granica polsko - niemiecka. Tysiące młodzieży polskiej przechodzi ze Zgorzelca do Goerlitz przez most na Nysie (odbudowany przed Wyścigiem) aby wraz z młodzieżą FDJ wziąć udział w manifestacji przyjaźni polsko - niemieckiej, a potem razem witać kolarzy, którzy wystartowawszy w Polsce, z Wrocławia przybędą na metę w NRD, w Goerlitz.

Na rozdanie nagród przybywa prezydent Pieck. Najmłodszy z kolarzy polskich, Jarząbek, wręcza mu polską chustkę Wyścigu.

Start odbywa się w Berlinie, przed budynkiem Sporthalle w Alei Stalina, zbudowanym zeszłego roku na Festiwal Młodzieży.

Zebrali się tu murarze z Alei Stalina, przy której dziś nie ma jeszcze niemal domów i która ma być odbudowana całkowicie w ciągu roku. *„W warszawskim tempie"* — mówią robotnicy. Młodzież śpiewa piosenki po polsku i czesku. Kolarze ruszają przy wtórze okrzyków *„Warszawa, Warszawa"*. W autobusie przeglądam ostatni numer „Tägliche Rundschau". Tytuły: *„Stolica wita wysłanników Pokoju", „Granica Pokoju jest gwarancją pokoju", „Jeszcze 27 patriotów spośród 215 studentów, zaaresztowanych 1 maja w zachodnim sektorze Berlina, przebywa nadal w więzieniu"*.

Lipsk. Jest dzień 8 maja. Rocznica wyzwolenia Niemiec przez Armię Czerwoną od faszyzmu. Start odbywa się przed kościołem, w którym niegdyś grywał Jan Sebastian Bach. Nad głowami dzieci, śpiewających hymn FDJ, wielki portret Stalina. Sztandary NRD i sztandary czerwone.

Wieczorem ósmego maja kolarze są już w Chemnitz. Nagrody rozdziela Müller, pełnomocnik SED dla spraw wychowania fizycznego. Oprócz kolarzy otrzymują tu aparaty fotograficzne mechanicy drużyn, polskiej i niemieckiej, za najbardziej ofiarną pracę. Potem trzymając się za ręce wbiegają na salę dzieci w białych bluzkach i niebieskich chustkach. Okrążają naokoło stoły i ustawiają się na scenie. Zaczynają śpiewać. Prześliczne, czyste głosiki. Ale cóż to? Tak, *„Kukułeczka"*. Po polsku. Kiedy skończyli piosenkę, dyrygent, młody chłopiec z FDJ, odwrócił się w stronę sali: *„Niech żyje ZMP!"*. Kolarze polscy, którzy właśnie wchodzili z sąsiedniej sali, gdzie odbierali upominki od patronujących fabryk — wielkie lalki i wielkie pluszowe pieski, odpowiadają: *„Niech żyje FDJ!"*.

Granica niemiecko-czeska. Przybywa premier Grotewohl, przybywają tysiące młodzieży FDJ i młodzież czeska. Powtarza się ta sama manifestacja, którą widzieliśmy na granicy polsko - niemieckiej. Manifestacja przyjaźni. Po raz pierwszy w historii sąsiedzi stali się przyjaciółmi.

Równocześnie w Zachodnich Niemczech, w Essen, odbyła się inna manifestacja tej samej niemieckiej młodzieży. W obronie pokoju. Przeciw Układowi Ogólnemu. Przeciw wciąganiu narodu niemieckiego do nowej agresji. Na trasie Wyścigu młodzież FDJ wyciągała ku nam otwarte ręce i kwiaty. W odpowiedzi padały — uśmiechy. Tam podnosiły się do góry zaciśnięte pięści i padły w odwecie kule.

Przybyliśmy do Pragi. Przepiękne miasto, zwykle ciche i nieco senne, było tego dnia pełne życia i entuzjazmu. Witały nas po drodze napisy: *„Armia Pokoju pozdrawia kolumny pokoju"*. Myśleliśmy o Essen, o całej przebytej przez nas trasie. Dwa tysiące osiemdziesiąt kilometrów. Każde drzewo przybrane chorągiewkami. Chorągiewki wszystkich krajów. Portrety Stalina, Joliot - Curie, przywódców wszystkich walczących narodów. Słowo „pokój" we wszystkich językach. Biały gołąb na niebieskim tle we wszystkich oknach. Wszystkie twarze uśmiechnięte, wszystkie twarze pełne radości i zaufania. Walczymy o to, aby tak wyglądająca trasa mogła prowadzić wokoło całego świata.

Ewa Fiszer

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

OBORY POD WARSZAWĄ

Za panowania Sobieskiego Jana
Tutaj tak samo w zielonkawym stawie
Rechotem rozbrzmiewały chóry żabie,
Pachniała jodła, wiatrem kołysana,
Szumiały liście, śpiewał ptak, obłoki
Leniwe przepływały nad pałacem,
Po deszczu promień słońca w trawie mokrej
Świecił i dziecko biegło, jak po kładce,
Po cieniu drzewa. Ale naprzód poszedł
Czas: gdy w sąsiednim Pegeerze piosnka
Z towarzyszeniem harmonii zadźwięczy
I do pierwiosnków uśmiechnie się wioska,
Ujrzysz czas nowy, ujrzysz czas młodzieńczy
W chłopskiej piosence i w świeżych pierwiosnkach.

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO im. OSSOLIŃSKICH

WROCŁAW, PLAC SOLNY 11
EKSPOZYTURA — KRAKÓW, RYNEK KLEPARSKI 4

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOGRAFIA

Cena zł

Bibliografia utworów Joachima Lelewela. Opracowała Helena Hieb Koszańska i Maria Kotwiczówna, str. XVIII + 202 — 36.—

KAZIMIERZ BUDZYK: Bibliografia Konstytucji sejmowych XVII wieku w Polsce, str. LVI + 188 — 22.—

ZYGMUNT KLEMENSIEWICZ: Bibliografia ekslibrisu polskiego. Z przedmową Edwarda Chwalewika. Przejrzała i uzupełniła Helena Lipska, str. 154 — 55.—

STUDIA HISTORYCZNO-LITERACKIE

CELINA BOBIŃSKA: Szkice o ideologach polskiego Oświecenia (Kołłątaj i Staszic), str. 170 + 2 nlb. — 9.80

Z SERII PAMIĘTNIKARSKIEJ

LUDWIK ŁĘTOWSKI: Wspomnienia pamiętnikarskie. Przygotował do druku, opatrzył wstępem i przypisami Henryk Barycz, str. XXXVIII + 310 — 23.70

NASZA BIBLIOTEKA

KAROL DICKENS: Świerszcz za kominem. Opracował Zbigniew Żabicki, str. 124 — 3.90

JAN WOLFGANG GOETHE: Faust. Tragedii część pierwsza. (Wybór). Opracowali Marta Walińska i Mieczysław Urbanowicz, str. 78 + 2 nlb. — 2.—

LUDWIK KRZYWICKI: Wybór pism. Opracował Stefan Kałuski, str. 86 + 4 nlb. — 2.85

WACŁAW NAŁKOWSKI: Wybór pism. Opracował Stefan Kałuski, str. 92 + 2 nlb. — 2.95

JULIUSZ SŁOWACKI: Beniowski. Opracował Eugeniusz Sawrymowicz, str. 186 + 2 nlb. — 5.60

HENRYK SIENKIEWICZ: Humoreski z teki Worszyłły. Opracowała Alina Nofer, str. 154 + 2 nlb. — 4.90

PAWEŁ JASIENICA

Konflikty ludzkiej krwi

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się oglądać korytarzy szpitalnych wybudowanych równie niemądrze. Przywykło się, że w lecznicy powinno być dużo okien, ściany zaś muszą się nadawać do mycia gąbką. A tutaj... Ciemnawo. Chwilami nawet zdecydowanie ciemno. Przy klatce schodowej pary bliźniaczych kolumn o bujnych „korynckich" kapitelach. Narożniki zdobione ceglanym profilowaniem.

Stary gmach, ta Klinika Położnicza we Wrocławiu. Pamięta pewnie początek panowania cesarza Wilhelma II.

Kapitele i gzymsy, wypukłości i zagłębienia — wszystkie te naturalne zbiorniki kurzu aż błyszczą od czystości.

SYN ROBOTNICY Z BĘDZINA

W niewielkiej separatce jedna pacjentka. Młoda, trzydziestodwuletnia kobieta. Twarz blada, chude i wydelikacone ręce. Normalnie, jak u ludzi, którzy przeszli poważną operację chirurgiczną. Tylko wpatrzone w mojego przewodnika oczy tej kobiety są jakieś dziwne. Takich spojrzeń jeszcze dotąd nie widywałem.

Profesor siada sobie na krzesełku i wskazuje mi sąsiednie.

— No, pani Heleno — powiada dobrodusznie — proszę nam opowiedzieć swoją historię. To jest taki jeden redaktor z Warszawy, chciałby trochę posłuchać.

— Więc to się zaczęło w 1941 roku. Urodziłam wtedy w siódmym miesiącu ciąży. Dziecko żyło tylko godzinę i umarło na żółtaczkę. W rok później poroniłam w piątym miesiącu i jeszcze w rok później urodziłam w szóstym miesiącu. Ale dziecko żyło dwadzieścia minut...

Helena H. mówi szybko, nerwowo i trochę niewyraźnie. Znać od razu, że dzieje swojego nieszczęścia wielokrotnie zmierzyła pamięcią, że w przeciągu długich lat jedenastu aż nazbyt dobrze zżyła się z tym bolesnym filmem, który teraz w migawkowych skrótach przed nami rozwija.

Dalszy ciąg jej opowiadania zrekonstruowałem przy pomocy kartoteki klinicznej. Następstwo faktów przedstawiało się dokładnie tak:

W roku 1945 nastąpił czwarty poród. Po trzech dniach dziecko zmarło na żółtaczkę. W roku 1947 poród w ósmym miesiącu ciąży — dziecko żyło dwadzieścia godzin. W roku 1948 Helena H. poroniła bliźnięta. W roku 1949 poród o czasie — żółtaczka zabrała dziecko po trzech dniach. I jeszcze w roku 1950 poród przedwczesny, w siódmym miesiącu ciąży. Dziecko zmarło.

Trzydziestoletnia wtedy kobieta przeszła osiem ciąży zakończonych katastrofą.

— Czy tyle nieszczęść nie odstręczyło pani od myśli o posiadaniu dziecka? — zaryzykowałem pytanie, które już od dłuższego czasu nie dawało mi spokoju.

— Ale co pan znowu mówi? Jak to można bez dziecka? Co to za życie?

— A teraz dziecko pani, to dziewczynka czy chłopiec?

— Chłopiec! Chłopczyk! I taki duży! Cztery kilo dwadzieścia! A mój mąż to wcale nie chce wierzyć, że dziecko żyje. I wszystko, wszystko dzięki panu profesorowi. Pan profesor... i pan doktor Turczyński biegał tutaj jak oszalały... i inni.

Kobieta odwraca twarz do ściany. Już nie widać jej pałających oczu.

— Pani pochodzi z Sosnowca?

— Nie. Ja jestem z Będzina. To Ubezpieczalnia z Sosnowca skierowała mnie tutaj. Ja tam pracuję w fabryce włókienniczej. A teraz ja mam dziecko!

— Wszystko dobrze, pani Heleno — profesor podniósł się z krzesła, na którym siedział i wyciągnął do położnicy rękę. — Ale jak pani powróci do Będzina, to zobowiązuję panią: proszę nam do Zakładu przysłać swoje zdjęcie. Pocztówkowa fotografia pani i syna. Dobrze?

W tej chwili kobieta poderwała się gwałtownym ruchem i usiadła na łóżku. Oburącz chwyciła dłoń profesora i zaczęła ją gorączkowo, wielokrotnie całować.

— Dziecko... dziecko... nie trzeba— uczony mówił jakimś zdławionym głosem.

Poczułem w tej chwili, że i mnie coś gardło zaciska i pod powiekami piecze.

W ciemnawym korytarzu profesor zatrzymał się. Przez dłuższą chwilę milczał, wskazując palcem na drzwi separatki.

— Widział pan? Taka jedna pani H. to jest znacznie więcej niż wszystkie honory i zaszczyty razem wzięte.

RHESUS FACTOR

Uczony, któremu miałem zaszczyt towarzyszyć w wędrówce po wrocławskich Zakładach i Klinikach Akademii Medycznej, jest to prof. dr. Ludwik Hirszfeld, rzeczywisty członek Polskiej Akademii Nauk, laureat Państwowej Nagrody Naukowej. On właśnie, słynny badacz grup krwi, uratował życie syna Heleny H. oraz życie wielu, bardzo wielu innych dzieci.

Dwadzieścia sześć lat temu prof. Hirszfeld wystąpił z twierdzeniem, że patologia czyli schorzenia ciąży następują nie tylko wskutek działania bakterii chorobotwórczych, jak wtedy uważano, lecz że wywołują je przede wszystkim konflikty pomiędzy rozmaitymi grupami krwi ludzkiej.

— Tak mnie wtedy wszyscy zakrzyczeli, że aż sam się nastraszyłem — opowiadał mi profesor. — Myślałem, że widocznie nieprawda, skoro taki jednomyślny hałas...

Tymczasem w trzynaście lat później, czyli w roku 1939... Ale zanim przejdę do przypominania o wielkim odkryciu naukowym, niech mi będzie wolno opowiedzieć, jak wygląda ów konflikt krwi oglądany gołym okiem.

W Zakładzie Mikrobiologii Lekarskiej techniczna asystentka, Krystyna Stochowa, położyła przede mną na stole płytkę szklaną i umieściła na niej dwie krople takiej samej krwi ludzkiej. Zaraz potem każda z tych kropli otrzymała „zastrzyk" innej surowicy krwi, nabranej kolejno pipetką z dwu różnych próbówek.

— A teraz proszę się przyglądać, co będzie.

Kropla po prawej stronie nie zmieniała postaci. Za to ta po lewej zachowywała się dziwnie. Najpierw wytworzyło się w niej coś na kształt obłoczka czy mgiełki. A po chwili tak zaczęła wyglądać, jakby kto dosypał do niej drobniutkiego, jaskrawo czerwonego piasku. To krew grupy „A", potraktowana surowicą krwi grupy „B", zawierającą zabójczy dla pierwszej czynnik „alfa", uległa zjawisku a g l u t y n a c j i, czyli zlepieniu krwinek. To ze względu na wytwarzanie się owego rzekomego „piasku" nie wolno przetaczać krwi na ślepo, bez zbadania do jakiej grupy należy. Czerwony piasek — tak właśnie potrafi wyglądać śmierć.

Krew ludzka działa tak nie tylko na krwinki obcej grupy, ale także i na bakterie. Zmusza je do zlepiania się w większe, zbite ciała, z którymi już łatwiej sobie radzą elementy obronne organizmu. To jest wielka dodatnia rola zjawiska aglutynacji. O niebezpieczeństwach była mowa powyżej.

Wszystkim wiadomo, że istnieją cztery grupy krwi: A, B, AB i O. Jednakże jest to tylko zasadniczy podział. Nauka zna już cały szereg podgrup, których obecność uwzględnia się przy transfuzjach, by uniknąć możliwości konfliktu.

A teraz pora już powrócić do spraw roku 1939.

Owej jesieni prof. Hirszfeld utracił możność pracy naukowej, ponieważ jako Polak żydowskiego pochodzenia, zaliczony został do elementów „mniej wartościowych", „pasożytniczych" i „szkodliwych". W tym samym jednak czasie trzej inni uczeni, którzy uniknęli zetknięcia z dobrodziejstwami rasizmu, a mianowicie Landsteiner, Wiener i Levine, wykryli obecność nowego czynnika swoistego krwi ludzkiej zwanego Rh, R h e s u s f a c t o r.

Bywalcy ogrodów zoologicznych dobrze znają małą, rudą małpkę — Macacus rhesus. Krew jej wstrzyknięto świnkom morskim, uzyskując w ten sposób surowicę anty-Rhesus, którą z kolei zaczęto badać z krwinkami ludzkimi. Okazało się, że 85 proc. osobników wśród większości narodów europejskich reaguje na tę surowicę, a więc posiada czynnik Rh. Jest to grupa ludzi Rh+. Pozostali, ci, którzy na surowicę anty-Rh nie reagują, czyli 15 proc. ogólnej liczby, zaliczają się do grupy Rh— Różnicę tę bierze się pilnie pod uwagę przy transfuzjach. Ale to jeszcze bynajmniej nie wyczerpuje kwestii.

Zostało stwierdzone, że różnice w Rh stanowią najczęstszą przyczynę e r y t r o b l a s t o z y czyli choroby hemolitycznej noworodków. Objawy jej polegają na żółtaczce, ogólnym obrzęku, zaburzeniach czynności wątroby i jąder podstawy mózgu. Rezultatem zaś najczęściej jest śmierć. Dziecko, które ocaleje, często nie bywa zdrowe i pełnowartościowe. Konflikty, dotyczące grupy Rh mogą też powodować poronienia.

Co roku około 2000 noworodków ginie w Polsce z powodu erytroblastozy. Dwa tysiące! Niejedna wielka bitwa mniej kosztowała. Gdyby w jednym roku dwa tysiące osób umarło na jakąś chorobę — byłby krzyk o strasznej epidemii.

Prof. Hirszfeld jest pewien, że przy odpowiednich zabiegach i staraniach 3/4 tej liczby da się uratować.

Kliniczna karta znanej nam już Heleny H. zawiera następujące dane: grupa krwi u niej i u męża — AB; czynnika Rh: u męża +, u niej —! W łonie tej kobiety ośmiokrotnie zachodził proces, który nie mógł się nawet przyśnić największym tragikom greckim. Marzyła o dziecku, nosiła je pod sercem i jednocześnie jej własna krew dziecko to mordowała. Płód bowiem odziedziczył po ojcu cechę Rh+. I jako taki wywoływał we krwi odmienno-grupowej matki powstawanie przeciwciał, które przedostając się przez łożysko psuły, rujnowały jego krew. Następowało poronienie. Albo też dziecko przychodziło na świat po to, by po upływie kilkunastu godzin czy nawet minut umrzeć na żółtaczkę.

Helena H. dwukrotnie wychodziła zamąż. Umierały dzieci z obu małżeństw. Jasne — przecież człowiek Rh— posiada tylko 15 proc. możliwości natrafienia na osobnika o tym samym znaku.

W kwietniu 1952 roku dobiegała końca dziewiąta ciąża Heleny H. We krwi jej stwierdzono krążące przeciwciała (anty — Rh+). Dziewiąte z rzędu nieszczęście było tuż. 21 kwietnia dziecko wydobyte zostało cesarskim cięciem. Po to, by noworodka już ciężko chorego nie narażać na uszkodzenia porodowe. Natychmiast przystąpiono do transfuzji, a raczej do wymiany krwi przez pępowinę. Chłopak pozbył się 90 proc. krwi własnej i otrzymał taką samą ilość krwi dawcy z odpowiedniej grupy Rh. Pożyje sobie ze dwa miesiące „na kredyt", krwią cudzą, po czym wytworzy własną. Ale już zdrową, nie zepsutą.

Pierwszy u nas zabieg tego rodzaju odbył się w 1949 roku w Klinice Położniczej we Wrocławiu. Helena G., matka jednego dziecka żywego i ośmiu następnych, które umierały zaraz po urodzeniu, przeczytała w „Problemach" artykuł prof. Hirszfelda o tej tajemniczej chorobie i zgłosiła się sama do Wrocławia. 16 lipca 1949 r. wydobyto jej dziecko cesarskim cięciem. Dziecko płci żeńskiej imieniem Halina zostało uratowane dzięki transfuzji wymiennej i żyje. Od tej pory sieć ratownicza przeciwko erytroblastozie zaczęła się pomału rozciągać na cały kraj.

Nazajutrz znalazłem się znowu obok otwartych drzwi separatki Heleny H. Nad jej łóżkiem pochylały się dwie pielęgniarki w białych czepkach. Dolatywał stamtąd krzyk dziecka, wyposażonego widać w nie lada jaki organ głosu. Aż po korytarzu echo niosło.

— Pani H. karmi po raz pierwszy— uświadomił mnie dr Tadeusz Turczyński — Na dziesiąty dzień po wydobyciu dziecka. A wie pan, że wtedy ten chłopak tak piszczał, tak skrzeczał, że nawet mnie było przykro słuchać. Był skazany na śmierć. No a teraz sam pan słyszy. Prawie baryton.

Na ulicy, przed gmachem Kliniki, stał piękny, nowiutki samochód typu „Warszawa" Maszyna ta nie będzie służyć żadnej reprezentacji.

— Zdarza się — mówił dr Turczyński — że nam z prowincji zasygnalizują urodzenie dziecka z erytroblastozą. Ale zanim karetka obróci tam i spowrotem bywa za późno. Wobec tego my będziemy jeździć i dokonywać transfuzji na miejscu. Będzie szybciej.

— A jak z dawcami?

— Bardzo prosto. Konserwowana krew wszystkich grup.

Piękny przydział otrzymał jeden z pierwszych wytworów Żerania.

ZNAK CZERWONEGO „A"

Historia pierwszych ośmiu ciąży Heleny H. wygląda bardzo tragicznie. Ale zdarzają się wypadki gorsze. Oto np., co opowiada kartoteka o niejakiej Pelagii W. z Dzierżoniowa:

Ona i mąż liczą sobie po 32 lata. Grupa krwi u obojga „A", czynnik Rh również u obojga dodatni. Więc niby wszystko powinno być w porządku. Tymczasem... Tylko proszę nie uważać powtarzających się dat rocznych za omyłkę. To tak naprawdę było. Zdarzało się dwa razy do roku. A więc:

Rok 1942 — poronienie w 4 mies. ciąży (ona sama i otoczenie tłumaczyli, że to po ciężkiej pracy w polu).

Rok 1942 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1943 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1943 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1944 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1944 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1945 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1945 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1946 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1946 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Normalnie karta zawiera tylko dziesięć klatek w dwu nad sobą położonych szeregach. Ale w danym wypadku przyszło dolny szereg przekreślić poziomą linią na pół, by móc jeszcze zmieścić następujące dane:

Rok 1947 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1948 — poronienie w 3 mies. ciąży.

Rok 1948 — poronienie w 4 mies. ciąży.

Rok 1949 — poronienie w 4 mies. ciąży.

R a z e m — poronień c z t e r n a ś c i e.

W rubryce piętnastej widnieje uwaga, że badanie przeprowadzone dn. 20 maja 1950 r. nie stwierdziło przeciwciał Rh. W dalszych żółtych kartach kontrolnych odszukać można jeszcze jedną uwagę: „Dnia 5-XII-1950 roku poród dziecka zdrowego. Chłopiec. Grupa krwi „A", czynnik Rh+".

Karty opisujące wypadki erytroblastozy są różowe. Ale karta Pelagii W. — oraz wiele innych — jest koloru niebieskiego. W jej prawym górnym rogu znajduje się nakreślony czerwonym ołówkiem wielki znak „A".

Każdy z nas spotykał chyba ludzi cierpiących na t.zw. uczulenie, czyli, naukowo, alergię. Jegomość taki po spożyciu poziomek, truskawek, czernic, raków, gęsiego smalcu, czy też wielu innych rzeczy, albo powąchawszy prymulkę lub siano, zaczyna raptem nieprzystojnie kichać, drapać się, puchnie, dostaje wysypki, „pokrzywki" itp. (zdradzę tajemnicę, że prof. Hirszfeld reaguje na pierze; piszący zaś te słowa nie potrafi nawet wyliczyć swoich „uczuleń"). Zjawisko a l e r g i i tłumaczy nauka jako podrażnienie t.zw. narządów wstrząsowych. Występują przy nim: zwiększona przepuszczalność włośniczek, objawiająca się w postaci obrzęków i bąbli, oraz skurcze mięśniówki gładkiej. Ruchy mięśni gładkich, jak wiadomo, nie zależą od woli człowieka. Otóż mięśniem gładkim jest macica.

Prof. Hirszfeld jest autorem wspaniałej hipotezy, że poronienia nawykowe — oraz, być może, niepowściągliwe wymioty u kobiet ciężarnych — należą do zjawisk alergii. W danym wypadku płód działa jako „antygen", czynnik podrażniający, wywołujący przeciwciała w organizmie matki, które to przeciwciała nie krążą w jej krwi, tylko są doczepione do komórek macicy. Następuje jej skurcz — poronienie.

W takim jednak razie przy leczeniu należałoby zastosować środek, który się aplikuje ludziom cierpiącym na pokrzywkę lub katar sienny? Prof. Hirszfeld to właśnie uczynił. Środki te są znane, jako środki przeciwalergiczne np. antystyna. Czerwone „A" na niebieskiej karcie jest to pierwsza litera tego słowa. Pelagia W. poddana została kuracji przeciwalergicznej. Kobieta szczęśliwie przeszła swoją piętnastą ciążę i urodziła zdrowe dziecko dzięki antystynie. Dotychczasowe doświadczenia, dokonywane we wrocławskiej Klinice Położniczej, pod kierunkiem prof. Krzysztoporskiego i dra Turczyńskiego, przyniosły prawie w 80% wynik dodatni. W Klinice Położniczej w Łodzi wyniki leczenia tą metodą są również doskonałe. Wielu lekarzy już ją stosuje. Do Kliniki wrocławskiej przybywają obecnie w celu utrzymania ciąży kobiety z całej Polski, chorujące na poronienia nawykowe. Wypadki, których nie udało się wyleczyć, tłumaczą się albo zbyt późnym zwróceniem się do lekarzy, albo jakimś innym mechanizmem, również powodującym poronienia.

A wiedzieć jeszcze koniecznie musimy, że alergia w sprawach ciąży występuje bez porównania częściej niż erytroblastoza. Wiele i słusznie się pisze o zgubnym wpływie syfilisu na populację. Tymczasem zaś faktem jest, że erystoblastoza i poronienia powodują spustoszenia znacznie większe niż kiła. Tak więc mamy przed oczyma swoistą gradację: syfilis — straty duże, erytroblastoza — straty bardzo wielkie, zespół alergiczny — straty wręcz ogromne. Walka o życie i zdrowie dzieci jeszcze nie narodzonych toczy się zwycięsko na wszystkich szczeblach. W przeciągu kilku ostatnich lat ratunek dla ciężarnej kobiety zagrożonej konfliktem krwi stał się ogólnopolskim problemem.

Sala Zakładu Mikrobiologii, w której oglądałem zjawisko aglutynacji, pod pewnym względem różni się od wszystkich innych laboratoriów. Na dwu jej ścianach wiszą bowiem liczne fotografie. Pocztówkowe zdjęcia, w ramkach, pod szkłem. Wszystkie przedstawiają matki z niemowlętami lub też — rzadziej — same dzieci.

— Zaczynamy zwykle od tego — objaśniał profesor — że kobietę, która się do nas zgłasza, przyprowadzamy tutaj. „Proszę pani, mówimy jej, my pani nic na pewno nie obiecujemy. Nauka nigdy nie gwarantuje na 100 proc. Ale dajemy pani 80 proc., że urodzi pani zdrowe dziecko. Proszę spojrzeć, oto są pani poprzedniczki, którym skutecznie pomogliśmy"... I wie pan, niemal zawsze tak bywa, że kobieta stoi przed tymi fotografiami i płacze. Dodatnie oddziaływanie na ich psychikę jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. Trzeba dać nadzieję.

SKALA HISTORII

Przed wyjazdem do Wrocławia korespondowałem z profesorem. W liście jego znalazł się m. in. następujący zwrot: „Mam nadzieję, że reportaż pana odsłoni tę prostą prawdę, że nauka jest łatwa, zaś uczeni i specjaliści to ci, co nic innego nie umieją I w tej nadziei bardzo pana proszę o przybycie."

Nie czułem się na siłach do sprostania temu „zamówieniu". Dlatego, że sam do tezy profesora nie mogłem się w żaden sposób nakłonić. Zwierzyłem się mu z tych wątpliwości. Szliśmy wtedy pod bujnymi drzewami ulicą Chałubińskiego, przy której mieszczą się Kliniki i Zakłady Akademii Medycznej we Wrocławiu.

— Widzi pan — mówił profesor — naukę porównać można do płaskowzgórza. Cała trudność polega na tym, jak się tam na górę dostać. A skoro już człowiek raz tam stanie — oddech swobodny, powietrze czyste i tłoku nie ma. Byle tylko iść naprzód, szukać nowego a nie zajmować się przyczynkarstwem, wypatrywaniem dziur w tym, co inni powiedzieli.

Z bramy wysypała się gromada studentów. Śmiejąc się i hałasując pociągnęli w kierunku Placu Grunwaldzkiego. Profesor spojrzał za nimi.

— I jeszcze... nie należy się bać własnego ucznia.

— Jakto?

— A no, trzeba zżyć się z myślą, że uczeń przerośnie mistrza. Że tak jest dobrze i tak być powinno. Instynkt duchowego ojca powinien być mocniejszy niż instynkt posiadacza idei.

Skręciliśmy w szeroko otwartą bramę Zakładu Mikrobiologii. Dziwna to jest instytucja. Krótko w niej bawiłem i poprzysiągłem sobie, że jeszcze tu powrócę na dłużej. Profesor do swoich asystentów i pomocników mówi tutaj po imieniu, traktuje ich iście po ojcowsku. Wszyscy zaś razem przywitali reportera życzliwie, bez pozy i ceremonii. Dali biały płaszcz i zaraz gotowi byli wtajemniczać, oprowadzać, pokazywać. Tylko — trzeba nieco czasu, by się przekonać, czy naprawdę nauka jest taka łatwa.

— Proszę przyjechać na dłużej — mówił docent, dr Henryk Makower, kierownik tajemniczego dla mnie działu wirusów. — Otrzyma pan próbówkę i strzykawkę, zobaczy jak się samemu wstrzykuje wirusy w jajo kurze. Będzie materiał do pisania.

Za oknem widniały wyciągnięte już pod dach mury nowego skrzydła Zakładu. Najwyższe piętro starego gmachu jest też nowe. To powojenny dorobek. Laboratoria tutejsze świecą supersalonową czystością, a na korytarzach pełno śladów pracy murarskiej. Zakład rośnie. Jego obecne wyposażenie w stosunku do czasów przed 1945 rokiem wygląda co najmniej jak 3 × 1. Na korzyść Polski. Co najmniej — podkreślam. Bo w niektórych działach stosunek ten kształtuje się znacznie bardziej dodatnio. Prof. Hirszfeld mówi, że odkąd Polska istnieje jeszcze nigdy tyle się na naukę nie łożyło, co właśnie teraz.

Dziwny to jest Zakład. Badania tutaj dotyczą najbardziej subtelnych i skomplikowanych problemów naukowych — a żadnego muru odgradzającego to od życia ani śladu nie znajdziecie. Odwrotnie. Tutaj się stale myśli jak poczynione zdobycze wszystkim udostępnić, jak je skonkretyzować w zwyczajnym leczeniu cierpiących.

Główny problem społeczno-organizacyjny polega dziś na powstaniu we wszystkich miastach wojewódzkich takich central ratowniczych, jakie są obecnie we Wrocławiu lub w Łodzi.

Skutecznie ogarnąć siecią pomocy cały kraj! To jest rozgałęzione zagadnienie. Bo już i dziś działa się w skali ogólnopolskiej. Ale przecież są u nas wioski i miasteczka odległe o dziesiątki kilometrów od kolei, nawet od szosy. Trudno do nich dojechać zbawczej „Warszawie". Tam najpierw dotrzeć muszą robotnicy i inżynierowie, którzy drogi budują. Rewelacyjne odkrycia naukowe i pionierskie prace Planu Sześcioletniego stanowią jedną, nierozdzielną całość. One razem dopiero otworzą nowe perspektywy historii.

Bo jest prawdą jasną jak słońce, że odkrycia w dziedzinie grup krwi mierzyć należy skalą historii. Nie żadną mniejszą.

Mowa była o poronieniach, przedwczesnych porodach, gwałtownej a nieubłaganej śmierci noworodków. Przecież to są rzeczy, które w ubiegłych stuleciach — a czasem jeszcze i teraz — powodowały bezmiar poniżenia i hańby kobiety, rodziły najgrubszy zabobon, ciemną wiarę w czary, uroki, złe spojrzenia, klątwy. Zapalały płomienie stosów, zatruwały życie i szczęście pokoleń.

A oto wyjaśnienie prawdziwe — Rhesus factor i alergia.

— Nie we wszystkich, ale w przeważającej części wypadków — uściślił moje wywody profesor.

To, jeżeli chodzi o spojrzenie w przeszłość. Jednakże w tych czystych i jasnych salach można nie tylko przypuszczać, co dalej nastąpi w dziedzinie społecznej, ale nawet przewidywać to na pewno. Tu się dzieją rzeczy ważniejsze od Kongresu Wiedeńskiego z Wersalskim na dodatek.

Całkowite opanowanie erytroblastozy oraz zespołu alergicznego jedną tylko Polskę wzbogaci co roku o kilkanaście tysięcy dzieci. To będą pełnowartościowi ludzie, zdolni oczywiście do posiadania potomstwa. W tej chwili, kiedy w jednej tylko Polsce rok rocznie dwa tysiące dzieci ginie na erytroblastozę, a kilkanaście tysięcy poczętych płodów zostaje poronionych — mieszka na globie około dwóch i pół miliarda osób. Skutki ratownictwa matek przed konfliktami krwi przewidzieć łatwo. Trzeba sobie tylko przypomnieć jakie rezultaty dla zwiększenia liczebności rodzaju ludzkiego przyniosły odkrycia wielkiego Pasteura.

Teorie maltuzjańskie dawno już odrzuciliśmy na bok jak zgniłą i cuchnącą szmatę. Ale w takim razie planowa gospodarka w skali światowej stać się musi celem dążeń każdego, kto słów „ludzkość" i „naród" nie uważa za puste dźwięki. Ocalone pokolenia też zechcą jeść.

Dziwne miejsce ten wrocławski Zakład. Spełniają się tutaj i przygotowują rzeczy o których naprawdę nie śniło się bardzo wielu filozofom. Z wyjątkiem, rzecz jasna, takich filozofów, którzy uczą, że rozum ludzki może w pełni poznać rzeczywistość i zmieniać ją na pożytek społeczny.

Paweł Jasienica

ZOFIA NAŁKOWSKA

W ciemności

To prawda, że było zupełnie ciemno. Że ciemność trwała przez długie dni, które nie różniły się od nocy. Ciemność i całkowite milczenie. Trudno dziś powiedzieć na pewno, ale może to, co zaszło, było możliwe tylko w ciemności. Może stało się tylko dlatego, że było ciemno i że one nie mogły wytrzymać.

Pokój nie miał okna i to właśnie było dobrze. Kiedyś mówiono o nim: alkowa, ale teraz już nie. Jeść trzeba było po ciemku, nie widząc. Palcami wybierać po omacku kawałki krajanego chleba, resztki wędliny, rozłożone w papierze na stojącej pod ścianą pace i uważać, aby papier nie zaszeleścił. Wodę piły z jednego dzbanka. Siedziały na dwóch jedynych krzesłach, na drugiej niższej pace, na podłodze. *I musiały być zupełnie cicho.*

Szło o to, że od rana nie otworzyli wcale drzwi, na których z tamtej strony stała szafa. Ktoś obcy był w mieszkaniu, ktoś obcy czy niepewny. Może nawet *oni*. Usłyszały wszystkie znak umówiony. I zamilkły.

Już się to w ciągu tych dni dwukrotnie zdarzyło. Ale nigdy nie trwało tak długo. Było ciepło i duszno. Pełne wiadro, nakryte walizką, cuchnęło.

Było ich tam siedem, osiem z tą jedną dziewczynką, która nie rozumiała. Bała się także, ale nie chciała być cicho. Matka szeptała jej do ucha, że ją zgubi, żeby była mądra i grzeczna, że zgubi siebie i mamę, i te panie. Że zgubi tamtych ludzi zza drzwi, którzy im dali schronienie.

Z początku dziecko słuchało, przekonane kawałkiem cukru. Ale cukier się skończył, nawet wody w dzbanku już nie było. O jakiejś godzinie dziewczynka zaczęła krzyczeć.

Naprzód był to jeszcze zwykły dziecinny płacz. Później pojękiwanie ze strachu czy z bólu. A później już nie było sposobu: dziewczynka krzyczała.

Matka zatykała jej usta, owijała ją z głową jakimś płaszczem. Na próżno. Krzyczała jeszcze głośniej. W ciemności zupełnej widać było znowu tylko smużkę światła ponad drzwiami, za którymi stała szafa. Coś się tam działo. Dochodziły stamtąd szelesty i stuknięcia trudne do rozeznania. Jakieś głosy były, ale zamilkły, jakby się oddaliły. Słów nikt nie rozumiał.

Dziecko ucichło, płakało zupełnie cichutko. Matka głaskała je, przesuwała dłonią po jej cienkiej szyjce. Już nie mówiła: „bądź mądra i grzeczna". Zamknięte nie pozwalały sobie nawet na szept. Nasłuchiwały, co dzieje się za drzwiami i szafą. Czy jeszcze są? Czy w ogóle ktoś tam jest?

Rzecz działa się nie w tym najbliższym pokoju za szafą, ale dalej w mieszkaniu. Przesuwanie krzeseł, kroki, złe głosy.

Dziewczynka była za mała, żeby zrozumieć. Znowu krzyczała. To nie był płacz, tylko krzyk przerażenia. Teraz już i tamte zatykały jej usta, później nawet cokolwiek ściskały gardło. Gdy przycichła, matka trzymała dalej ręce na szyjce dziecka, lekko ją głaszcząc. Było cicho. W pokoju obok wyraźnie usłyszały powolne kroki. Znowu nastała cisza. Dziewczynka była za mała, żeby zrozumieć. Znowu krzyczała.

Dziewczynka krzyczała. Głaskały ją po głowie i po ramionach, przytulały do siebie, zatykały jej usta. Ale to nie pomagało. Matka poczuła cudze palce na szyi dziecka. Zrozumiała. Dziecko krzyczało. Ręce, niewidzialne w ciemności zacisnęły się mocno. Matka milczała. Czy sama pomogła w tym, co się stało?

Nie było innego wyjścia. Już kilka rąk o zakrzywionych palcach zaciskało się na małym gardle. Dziecko ucichło, chrapiąc, ale wyrywało się jeszcze, broniło rączkami. Trzymały mocno, ale ruszało się wciąż, szamotało. Nie było innego wyjścia. Ścisnęły gardło z całych sił i tak ściśnięte trzymały. Dziecko osłabło, opadło na czyjeś kolana. Nastała cisza. Za drzwiami nie było nic słychać.

Były ocalone.

Tę dawną notatkę z czasu zgrozy, przypadkiem znalezioną w papierach, podaję jako drobny przyczynek do wiedzy o losie, który gotuje dzieciom wojna.

Zofia Nałkowska

Zbliżają się wakacje... Tysiące dzieci w naszej Ojczyźnie pojadą na wczasy po śmiech i zdrowie... (z prasy)

Miałam wtedy trzynaście lat i byłam chudym, niefrasobliwym stworzeniem. Łucja, moja siostra, kończyła czternasty rok i we wspomnieniach rodzinnych z owych lat zachowała się jako blada, wysmukła, melancholijnie usposobiona dziewczynka.

Iza była kilkuletnim brzdącem i nie należy do tego opowiadania.

Obie z Łucją przerwałyśmy naszą edukację po szóstej klasie powszechnej. Nastąpiło to z powodu rozlicznych niedostatków, których wierny spis, poczynając od butów i książek, rozszerzyłby nadmiernie ramy opowieści. Faktem było, że zerwałyśmy z instytucją szkolną, a żadna oświatowa władza państwowa ani samorządowa nie zaniepokoiła się tym zdarzeniem.

Życie upływało nam w czynszowych kamienicach na przedmieściu. Od kilku lat skupiało się ono w jednoizbowym mieszkaniu przy ul. Orkana, na Olszy, w Krakowie.

Chorowity wygląd Łucji, nękająca ją anemia skłaniały matkę do rozpaczliwych wysiłków, aby wysłać nas na wieś, na wakacje. Gdy wszystkie podjęte starania zawodziły, matka zaczynała kołatać do filantropijnych towarzystw i rozmaitych bractw.

Owych bractw, jak pamiętam z doświadczeń mego dzieciństwa, było wówczas wiele. Zarejestrowany ubogi bywał przydzielany do jednej z dobroczynnych instytucji i jeśli np. otrzymał tenisówki od bractwa św. Józefa, tracił prawo do kaszy czy bonu na chleb od Stowarzyszenia Pań Sodalicji Mariańskiej.

Rygory te miały na celu zapobieżenie nadużycia, jakim było pobieranie wsparcia z kilku źródeł. Jak wiadomo, nędzarze jest to naród niezmiernie chciwy i łasy na kieszeń miłosierdzie czyniących...

Na skutek matczynych starań rodzinę naszą nawiedzały często inspekcje z dobroczynnych towarzystw.

Panowie z „ciała komisyjnego" bywali w większości wypadków szczupli, czarno ubrani, o żółtych cerach i wystających grdykach. Zachowywali się powściągliwie i znikali szybko.

Kobiety cechowała o wiele większa różnorodność. Były wybuchowe lub cedzące słówka, osowiałe i wściekłe, zamaszyste i wątłe jak dym z komina bezrobotnych. Zagorzałe zwolenniczki kazań Ojca Anioła, który mówił z ambony wierszykami, oraz balsamu kapucyńskiego na dolegliwości żołądka. Inne były wielbicielkami wody z Lourdes i spowiadały się tylko u jezuitów.

Obie z Łucją odnosiłyśmy się do jednych i do drugich z tajoną niechęcią i nadałyśmy im miano „zwiędłych glist".

„Zwiędła glista" nosiła szare pończochy i niemożliwego kształtu kapelusz. Siadywała na brzeżku krzesła i bystro wodziła wzrokiem po mieszkaniu, jak gdyby podejrzewając, że pod chudą kołdrą czy równie chudym siennikiem ukrywać się może pończocha grubo wypchana złotówkami.

Tymczasem matka opowiadała historię bezrobocia naszego ojczyma, daremnych starań o pracę, i przedstawiała obfitą chronologię chorób Łucji. Że zaś w odgrzewanie starej biedy kładła wiele żaru, opowiadanie stawało się — według naszej oceny — opowieścią pierwszą klasą, nadzwyczaj zajmującą. Słuchając jej, czułyśmy się wzruszone swym losem i litowałyśmy się nad sobą szczerze.

„Zwiędła glista" przyjmowała zwierzenia z bezwstydną obojętnością, po czym, zerkając na stojącą w oknie, „bezrobotną głowę domu" — wypuszczała niepokojące ją pytanie:

— Jak państwo śpicie w pięcioro w jednym pokoju?... Dziewczynki dorastają, pani mnie rozumie... zaś mąż pani jest, że tak powiem, mężczyzną... Właściwie to obcy dla nich człowiek, ojczym... Czy nie dałoby się przynajmniej przedzielić tego pokoju jakąś zasłoną?

Gdy padała wzmianka o zasłonie, wytrzeszczam oczy i wesoło trącałam Łucję łokciem. Łucja, która zdaje się rozumiała, o co gorliwej chodzi, przysłuchiwała się jej słowom z milczącą pogardą, pobladła z gniewu. Pewnego razu, gdy któraś z kolejnych komisji okazała szczególną natarczywość, Łucja oświadczyła matce, że jeśli ci ludzie nie przestaną nas nawiedzać, ona opuści dom...

Jednakże paniusie wpełzały nadal do naszego mieszkania, które od tych wizyt stawało się coraz bardziej obrzydliwe i duszne. Obiecywany wyjazd na wakacje zawodził. Nadchodziły upały. Twarz Łucji stawała się przezroczysta, a pod oczami rysowały się szare kręgi. Ciasny pokoik wciągał jak elektroluks gorący kurz z ulicy, gdzie wszystkie nierówności i kałuże zasypywano popiołem i śmieciem.

Wiadomość, że spędzimy wakacje w pałacu na wsi, przyjęłyśmy z niedowierzaniem. Historia, zachowując cały urok baśni, zaczęła się uprawdopodobniać z chwilą, gdy matka wprowadziła nas — drżące i przejęte — do jaśniepańskiej rezydencji, na jednej z bocznych ulic Krakowa.

Stałyśmy cicho, patrząc z zachwytem na dębowe boazerie, stare obrazy i złoconą harmonijkę grzbietów książek, rozciągniętą na półkach. Ponad hallem biegła w górę galeria zalana światłem dużych okien, pokolorowana barwnymi plamami reprodukcji wiszących na ścianach.

Przejęte tym widokiem, nie spostrzegłyśmy się, gdy stanęła przed nami czarno ubrana pani.

— A, więc jesteście...

Głos był donośny. Długa, pochylona sylwetka, zdająca się dziobać nosem powietrze nieomal że nas wystraszyła. Zaledwie zdobyłyśmy się na nieśmiałe:

— Dzień dobry pani...

— Przyprowadziłam moje dziewczynki... — oznajmiła matka, o oczy jej, przy tych słowach stały się niezwykle jasne, jak gdyby w takich trudnych dla matki chwilach skupiała się w nich jej wytężona, bezradna troska o nas.

— To starsza? — nie witając się z nami badała rzeczowo pani domu, przyglądając się Łucji. — Bardzo blada... A jak z jej płucami?...

Niejeden już raz z powodu tego pytania przepadał nam obiecywany wyjazd na wakacje. Pani domu miała dzieci i było zrozumiałą rzeczą, że strzegła je przed możliwą infekcją.

Na szczęście matka mogła odpowiedzieć szczerze:

— Ma anemię. Na świeżym powietrzu nabierze rumieńców...

— Niechże pani ubierze je na drogę ciepło. Ze stacji pojadą odkrytym powozem. Lepiej, żeby nie przywiozły kataru...

W ten sposób zdobyłyśmy pewność, że — mimo podejrzanej bladości Łucji — pani N., prezeska Akcji Katolickiej i żona profesora Uniwersytetu Krakowskiego, weźmie nas w ramach swej działalności filantropijnej na wieś, do pałacu, którego była właścicielką.

Wciśnięta w głąb powozu miałam z lewej strony bladą, wąską twarz panny Janiny, towarzyszki i „prawej ręki" pani N. — niezapomnianą dla mnie twarz o wąskich wargach, wąskim długim nosie i przymkniętych liliowych powiekach. Brązowy beret, wciśnięty głęboko na czoło i uszy, odbierał tej głowie wszelki światowy charakter. Z prawej strony, wyprostowana sztywno, siedziała pani N. Ciemne oczy, iskrzące się za wypukłymi szkłami, krótko przycięte szpakowate włosy, stanowczy wyraz twarzy, tchnęły energią i władczością. Na koźle, obok woźnicy, kuliła się od porannego chłodu Łucja w cienkim płaszczyku.

Nudna droga zdawała się ciągnąć w nieskończoność. W odpowiedzi na któreś z moich pytań, z wąskich warg panny Janiny padło jak kamyczek słowo: „tak", po czym usta zamknęły się nieodwołalnie aż do końca podróży.

Naraz konie wpadły w aleję i wszystko rozbłysło, pojaśniało, czyło. Na końcu alei promieniał biały pałac. Delikatny deseń liści palmowych kładł zielone plamy na rzeźbione kolumny. W ciemnych taflach podłużnych okien pływały słoneczne blaski. Na gazonie, w zroszonej trawie przed tarasem gorzały begonie.

Tu miałyśmy mieszkać my!.., my!...

— Gdy umyjecie ręce, zejdziecie na dół, do jadalni... Obiad będzie podany za pół godziny — rzekła panna Janina, pozostawiając nas w pokoju, w którym miałyśmy mieszkać przez dwa miesiące.

Rozglądałyśmy się po nim z uczuciem zawodu. Pokój był wielki i ponury, jak gdyby całe ciepło i blask słońca wchłonęły frontowe szyby, a wyparty stamtąd mrok skupił się tutaj, w ciemnofioletowych tapetach. Pod ścianami stały trzy potężne szafy, dwa łóżka przykryte szarymi kocami, marmurowa umywalka z wąskim lustrem i olbrzymi bilardowy stół. Jedno okno wychodziło na podwórze kuchenne, o parapet drugiego opierał konary stary, krzepki klon, a gdy kiwał łagodnie wierzchołkiem, przypominał nam konia, który nas przywiózł ze stacji; od tego widoku robiło się na sercu jakoś weselej.

Łucja przyjrzała się wszystkiemu, westchnęła i kładąc walizkę na podłodze rzekła:

— Pospiesz się. Nie możemy spóźnić się na obiad...

Dziś pamiętam, z jakim zapałem i troską o staranny wygląd szykowałyśmy się do pierwszego występu przy wspólnym stole... Miałyśmy zasiąść przy nim wraz z gospodarzami, ich dziećmi i panną Janiną, oficjalnie — sekretarką pana domu.

Gotowa do wyjścia stałam przy drzwiach, przynaglając czeszącą się przed lustrem Łucję.

W sercu czułam żądło zazdrości. Moja twarz, mimo wszystkich chytrych zabiegów (ślinienie rzęs i brwi, smarowanie policzków pastą do zębów), przypominała wesoły, różowy ziemniak zatknięty na patyk chudej szyi. Biała, okolona kasztanowymi włosami, szczupła twarz Łucji o wielkich, ciemnych oczach, promieniała dziewczęcym czarem. Spokojne czyste spojrzenie miało powagę i smutek przedwczesnej dojrzałości.

Lecz w tamtej chwili, gdy czekał nas obiad, gdzie miały być śnieżne obrusy, kwiaty, porcelana i zupa w wazie, Łucja jaśniała radością. Jeszcze przypięła aksamitkę do bluzeczki, chciała coś tam poprawić przy włosach, ale schwyciłam ją za rękę i zbiegłyśmy na dół.

Na pierwszym piętrze spotkałyśmy pannę Janinę śpieszącą wydać polecenia kucharce. Poszłyśmy za nią.

Nudna rozmowa na tematy gospodarskie pomiędzy panną Janiną a kucharką toczyła się w małym, parterowym pokoiku, przylegającym do spiżarni i kuchennego korytarza. Stał tu stolik nakryty zdartą ceratą, ogromna waga, stara szafa, wydzielająca stęchłą woń, oraz dwa wyplatane krzesła o dziurawych siedzeniach.

Gdy kucharka odeszła, panna Janina spuszczając oczy rzekła głosem zabarwionym subtelną pokorą:

— Pani domu, nie chcąc, abyście miały się krępować, postanowiła, że będziecie jadały tutaj...

Otwarłam usta, wytrzeszczyłam oczy. T u t a j?!... A urzekająca wizja chłodnej, przestronnej jadalni, białych obrusów, kwiatów na stole?...

Z oszołomienia wyrwał mnie głos Łucji. Z wypiekami na twarzy, składając sztywny ukłon, powiedziała dobitnie:

— Dziękujemy...

Panna Janina leciutko westchnęła, niżej opuściła głowę i wypłynęła z pokoju.

W czasie, gdy jadłyśmy przy stoliku obiad, zjawiła się kucharka, aby nam szorstko oznajmić, że posiłki z kuchni będziemy sobie przynosić same, ponieważ służba i bez tego ma dość roboty.

Po pierwszym obiedzie zeszłyśmy do parku i wydając okrzyki podziwu utonęłyśmy w nim w zachwycie.

Górą szumiał zielony żywioł konarów, gałęzi, liści, a w dole, pośród zielonej trawy, płynęły kolorowymi strugami mieczyki, bratki, róże, begonie. Jaskrawe słoneczniki potrząsały złotymi czapami. Pachnące krzewy tworzyły długie szpalery pełne plam słońca i cienia.

Lewa część parku, rozciągnięta na bagiennym gruncie, sprawiała posępne wrażenie. Stęchły mrok stał w chaszczach, gdzie nigdy chyba nie zaglądało słońce i nie docierał świeży powiew. Zdziczałe krzaki wypuszczały mnóstwo cienkich, ruchliwych jak żmijki witek, a opadłe liście zbiły się w cuchnący pleśnią kożuch. Grząski strumień sączył się leniwie tworząc jeziorka brunatnej wody, obrzeżonej rudą pianą. Rzadko odzywał się ptak i zaraz milkł, jakby przestraszony własnym głosem.

Uciekłyśmy.

Za parkiem ciągnął się sad. Zaczarowane królestwo granatowych śliwek, pękatych jabłek, szarych gruszek. Poprzez sztachety mrugały tysiącem czerwonych gwiazdek krzaki porzeczkowe.

Chciałam otworzyć furtkę, gdy na moim ramieniu spoczęła chłodna dłoń panny Janiny:

— Lepiej, Talu, żebyście nie zachodziły tutaj. Nasz ogrodnik jest niezwykle zacnym człowiekiem, ale nie lubi, gdy obcy przeszkadzają mu w pracy. Czy miałaś może ochotę na jakiś owoc? — dodała z dobrocią.

Zaczerwieniwszy się, potrząsnęłam przecząco głową.

Tej nocy, wstając po płaszcz — pod cienkimi przykryciami było dość chłodno — posłyszałam tłumiony płacz.

— Nie becz, głupia... — mruknęłam, domyślając się, co jest płaczu tego przyczyną. — Masz się czym przejmować. O, wa!...

Łucja usiadła na łóżku i poprzez szloch zawołała:

— To ty jesteś głupia!... Myślisz, że nie widzę, że one mają nas za nic?!... Za nic!... I czemu nas to spotyka? Za co?! — krzyknęła, upadając twarzą na poduszki.

Zrobiło mi się na sercu ciężko. Naciągnęłam koc na głowę i natychmiast zasnęłam.

Nazajutrz przyjechała matka pani domu, starsza jaśnie pani baronowa, jak nazywano ją w pałacu.

Właśnie zapadał wieczór. Służba z zapalonymi lampami wyległa na taras oświetlając z szacunkiem pani baronowej drogę. Domownicy otoczyli powóz. Z jego głębi wytoczył się najpierw puszysty, szczękający kłębek, a potem, wolno, opierając się na lasce, wysiadła zgarbiona, przysadzista postać, którą obstąpiła rodzina. Wreszcie cała grupa zniknęła w drzwiach pałacu.

Następnego ranka w naszym pokoju zjawiła się panna Janina.

— Jak się macie, dziewczynki?

— Dziękujemy, bardzo dobrze... — odparłam żywo, starając się odgadnąć w duchu, z czym panna Janina przychodzi do nas.

— Zapewne, wiecie już, że przyjechała starsza jaśnie pani baronowa — zaczęła nasza opiekunka łagodnym głosem — Jest to osoba o niezwykłym rozumie, pracowitości, energii. Niezmiernie przywiązana do tego miejsca, a przecież, biedaczka— panna Janina uśmiechnęła się smutnie — tak rzadko ma okazję korzystać tu z odpoczynku. Tym razem, wyjątkowo, przyjechała na dłużej, ponieważ lekarz zalecił jej wiejskie powietrze. Pani baronowa wie, że jesteście tutaj, i wyraziła życzenie, pani baronowa p r o s i — poprawiła ze słodyczą — abyście przez czas jej pobytu nie przebywały w parku. W miejscu, do którego od najwcześniejszych swych lat przylgnęła sercem, przykro jej widzieć teraz obcych.

Gdy ostatnie słowo padło, w pokoju nastała cisza.

Panna Janina czekała opuściwszy wzrok ku ziemi.

Wreszcie ja wykrztusiłam:

— Więc gdzie mamy się bawić?

— W lewej części parku. Możecie też chodzić do lasu... — odparła, ożywiając się, panna Janina.

Milczałyśmy. Panna Janina zawahała się, wreszcie skinęła nam głową i obrzuciwszy niezadowolonym spojrzeniem Łucję, patrzącą uparcie w okno, wyszła z pokoju.

Życie w pałacu potoczyło się dalej swym rytmem. Ożywionym i wartkim w okresach przejazdów gości i odwiedzin sąsiedzkich, pełnym wesołych okrzyków dzieci, donośnego głosu Pani N., wydającej służbie rozkazy, dreptania panny Janiny, postukiwania laską jaśnie pani baronowej, spacerującej po tarasie...

Życie to miało swoje rozrywki, święta, niespodzianki i przyjemności. W naszym pokoju, odgrodzonym niewidzialnym murem od tamtej części pałacu, jednakowo upływał czas. Radość pierwszych dni uleciała, odkąd wszechmocny zakaz wzbronił nam wstępu do parku. Żyłyśmy z lękliwym uczuciem, że oto — może zabraknąć dla nas miejsca. Najbezpieczniejsze czułyśmy się w naszym pokoju, gdzie wieczorami z fioletowych tapet sypał się mrok.

W dni pogodne szłyśmy do lasu, odległego o trzy kilometry. Gdy padał deszcz, skulone na łóżku, czytałyśmy wciąż te same numery „Tęczy" oraz „Życiorys Św. Wielkiej Teresy", jako że nic innego nie dostawałyśmy od panny Janiny.

Jakże długo wlokły się wieczory!... Ciszę przerywał tylko szelest obracanych kart. Wystygły ogromny pokój, posępne obicia, trzeszczące, ogromne graty—nieprzychylni świadkowie naszej samotności — zdawały się spiskować przeciwko nam. Stojąca na bilardowym stole lampa z zielonym kloszem rzucała niewielki krąg światła; za naszymi plecami stał zmierzch. Czasem, przybłąkał się do nas odgłos śmiechu, echo trzaśnięcia drzwiami, czyjś wesoły okrzyk. Odkładałyśmy lekturę i nasłuchiwałyśmy długo, pragnąc, ażeby dźwięk się powtórzył. Uczucie pustki i samotności ściskało nam serca.

Z czasem przyzwyczaiłyśmy się i do niego. Całymi chmarami odwiedzały nas — zwabione światłem lampy — ćmy i budzące nasz podziw zielonoskrzydłe owady podobne do ważek.

O, gorzkie lato!... Lato wzbronionych drzew i liści w sadzie, trawników i alei w parku. Trwożne, samotne wieczory, gdy — wylękłe — łowiłyśmy słuchem odgłosy tamtego, niedostępnego dla nas, życia. Jakże daleko ode mnie dziś jesteście... I jak druzgocącym okazał się wasz cień, gdy padł na moją siostrę Łucję...

Po jakimś czasie musiałyśmy zrezygnować ze spacerów do lasu. Droga do niego była kamienista, długa, wystawiona na żar słońca. Łucja po takim spacerze wracała półżywa, z kroplami potu na czole, i leżąc na łóżku chwytała ustami powietrze jak ryba.

Rzuciłam wtedy projekt, któremu Łucja poddała się apatycznie. Uporządkujemy jakiś zakątek w lewej części parku i tam będziemy przebywać w pogodne dni.

Odtąd całymi dniami mokłyśmy w strumieniu usuwając namuł i kamienie, ażeby nie tamowały prądu wody. Następnie zabrałyśmy się do zdzierania liściastej skorupy zalegającej brzeg. Oczyściłyśmy ziemię z chwastów zagrabiając wycięte poszycie na jedną stertę. Wreszcie z dolnej łachy nanosiłyśmy piasku i pokryłyśmy nim oczyszczony brzeg. W drugim tygodniu mozolnej pracy stanął pod dębem szałas, kryty daszkiem z świerkowych gałęzi, z wyplatanymi z gałązek ścianami i dwoma otworami na okna i drzwi.

Całość wyglądała imponująco: uwolniony strumień płynął lekko i rzeźko, a wyrównany brzeg jaśniał czystym piaskiem. Poprzecinane krzaki dopuszczały więcej słońca, pod dębem jak wielki, kosmaty grzyb zielony, sterczał świerkowy domek.

Byłyśmy pomęczone i szczęśliwe. Wydarłyśmy kawałek miejsca dla siebie. Zasłonięte parkiem przed oczami z pałacu, nie będziemy zawadzać tu nikomu.

Łucja wyłożyła mchem podłogę w szałasie i ustroiła go kiściami jarzębin.

Naszej pionierskiej pracy przyglądały się z oddalenia dzieci państwa N. — ośmioletni chłopczyk i młodsza od niego dziewczynka. Towarzyszył im dryblasowaty skaut, pełniący funkcję wakacyjnego opiekuna i towarzysza zabaw chłopczyka.

Ten skaut budził w nas szczególną niechęć. Nie było w nim nic z teoretycznych cnót harcerskich — ani uprzejmości, ni koleżeństwa. Nie kłaniał się nam nigdy, mijał nas z głupio pyszałkowatym uśmiechem lub zaczepiał zuchwałym spojrzeniem Łucję. Jego ironiczny uśmieszek był wstrętny, a chełpliwość, z jaką wobec nas zaznaczał swoją pozycję w pałacu, sprawiała, że na jego widok odwracałyśmy głowy.

Gdy leśny domek był ukończony, skaut zatrzymał mnie w parku i uśmiechając się protekcjonalnie oznajmił, że dzieci chciałyby mieć taki szałas. Czybyśmy więc nie odstąpiły im „tej budy"...

Odstąpiłam. W głowie miałam już plan innego, ładniejszego szałasu.

Następnego ranka zastałyśmy na brzegu strumienia ożywioną trójkę. Dziewczynka i chłopiec rozgrzebywali piasek, przyniesiony przez nas z takim trudem. Szałas wyglądał, jak gdyby przeszedł po nim huragan.

Skaut dostrzegł nas. Odwróciwszy się w naszą stronę plecami, położył rękę poufale na ramieniu chłopczyka. Żadne z nich nie odezwało się do nas.

To był i c h brzeg. My byłyśmy na nim niepotrzebne.

Odtąd zaniechałyśmy „urządzania się" w zapuszczonej części parku. Wracając stamtąd do naszego pokoju, po raz pierwszy na wakacjach, zapłakałam. Żal mi było straconego tak marnie świerkowego domku.

Nasza samotność skłoniła nas do zawarcia znajomości z córką kucharki, Marynką.

Marynka miała osiemnaście lat i trzy klasy gimnazjalne. Pod jej opieką była bielizna pościelowa i kredens. Marynka, jeśli nie prasowała lub nie cerowała bielizny, siedziała w oknie i pogryzając coś wyglądała na drogę. Twarz jej była szklista, o napiętej, niezdrowo błyszczącej cerze. Miało się wrażenie, że twarz ta wchłaniała krochmal bielizny, którą Marynka wciąż zwijała do magla, kropiła, prasowała i układała w szafach.

Marynka chętnie nas widywała. Z rozmów rychło wyszło na jaw, że żadna z nas nie była nigdy „na pokojach jaśnie państwa". I wtedy Marynka przestała się nami interesować.

Znajomość została zerwana.

Przelotne rozmowy nasze z Marynką nie uszły oka panny Janiny. Wezwała nas do siebie i tu, z wielkim zdumieniem usłyszałyśmy następujące słowa:

— Jesteście ubogie, ponieważ Pan Bóg nie dał wam majątku. Jednakże z łaski bożej jesteście inteligentne, matka wasza dała wam staranne wychowanie, nie powinnyście więc spoufalać się ze służbą...

Po tej przemowie, której Łucja wysłuchała z ironicznym uśmiechem, pozostało we mnie pyszałkowate uczucie zadowolenia. Oto dowiedziałam się, że jestem obdarzona inteligencją, aczkolwiek z woli bożej nie posiadam majątku...

Tego samego dnia, gdy bawiłam się w „klasy" na podwórzu, podeszła do mnie w nędzne chusty zawinięta dziewuszka, prosząc, ażebym kupiła garnuszek jagód za pięćdziesiąt groszy.

— Dziewczynko — rzekłam surowo — jesteś uboga, ponieważ Pan Bóg nie dał ci majątku. Ale nie

NATALIA ROLLECZEK

L I T

KRYSTYNA NOWAKOWSKA

Mały felieton o małych dzieciach

Czekanie na autobus czy tramwaj, kiedy człowiekowi bardzo się spieszy a upragniony środek lokomocji długo nie nadjeżdża — nie należy do przyjemności. Tę prawidłowość zjawiska „zakłócają" jednak od czasu do czasu mili interlokutorzy.

Taki wyjątkowy wypadek zdarzył mi się niedawno na przystanku „stoszesnastki". Litanię krytycznych uwag pod adresem MPK tym razem stłumił sześcioletni Wojtuś — który nie mogąc sam unieść ogromu swego zadowolenia podzielił go ze mną.

— Widzi pani tę czerwoną kokardę, co dostałem od pani doktor? Za to, że jestem przodownikiem zdrowia...

— Przodownik zdrowia? — zapytałam — co to znaczy?

— Oho, taka pani duża i nie słyszała. A w naszym przedszkolu „pół" dzieci ma kokardki przodowników zdrowia, bo my chodzimy do polikliniki dla dzieci leczyć zęby i dlatego.

Wstyd mi się trochę zrobiło, że nic nie wiem o tej placówce i zapytałam Wojtusia, gdzie się ta poliklinika znajduje, po czym, już bez cienia złości na warszawską komunikację wsiadłam do taksówki, by z półgodzinnym opóźnieniem stawić się przed oblicze niegroźnego zresztą szefa.

✣

Poliklinika dla Dzieci Oddziału Stomatologii Akademii Medycznej w Warszawie mieści się w nowowybudowanym gmachu, ale korytarze i sale przyjęć nie przypominają niczym znanych nam poczekalni i gabinetów lekarskich. Barwnie wymalowane na ścianach obrazki z ilustrowanych książek dla dzieci od razu każą zapomnieć młodemu pacjentowi, że przyszedł tu do lekarza, a licznie porozstawiane akwaria i terraria tak absorbują jego uwagę, że siadając na fotelu dentystycznym ciągle jeszcze śledzi wzrokiem za znajdującymi się w nich stworzonkami. Całe urządzenie służy jednemu celowi: zachęcić dziecko do poddania się oględzinom lekarskim, które w tej atmosferze stają się niejako sprawą drugoplanową.

Przyszedłszy bez uprzedniego porozumienia z kierowniczką tej pierwszej w Polsce placówki, spotykam przypadkowo grupę studentów specjalizujących się w pediatrii, którzy przychodzą tu na zajęcia praktyczne.

— Nie zależy nam bynajmniej na tym, aby u dziecka, które przyszło do nas po raz pierwszy od razu dokonać zabiegu lekarskiego — tłumaczy studentom doktor Jadwiga Polakowa. — Niechaj dziecko wpierw przyzwyczai się do nas, niech nabierze zaufania, niech polubi te mury i nas — personel lekarski i pielęgniarski, a wtedy pozyskujemy je nie tylko jako cierpliwych pacjentów, ale — co najważniejsze — dla przestrzegania higieny zębów od najmłodszych lat i usuwamy możliwość powstania urazu, który stał się u tylu dzieci, obsłużonych kiedyś przez dentystów niepedagogów przyczyną strachu przed gabinetem dentystycznym. Te pierwsze, „puste" jak je nazywamy wizyty, podczas których przeważnie rozmawiamy z dziećmi o interesujących ich sprawach, i jeśli chory ząb nie wymaga natychmiastowej interwencji, nie każemy im nawet usiąść w fotelu dentystycznym, ale na ławeczce, nie są bynajmniej stracone. Nasza dotychczasowa praktyka z dziećmi, które pozostają pod naszą stałą obserwacją, tezę tę wciąż potwierdza. A przyjmujemy przecież miesięcznie, bądź co bądź, tysiąc dwieście dzieci.

Matka pięcioletniej Irenki, która przyszła tu ze swoją pociechą na kolejną wizytę uważa, że w tym miejscu i ona powinna wyrazić swoje zdanie. Dziecko jej przeszło tutaj poważną przemianę.

— Moja Irenka z początku w żaden sposób nie chciała tu przyjść. Ale jak byłyśmy pierwszy raz, to potem nie mogła się doczekać, kiedy znów pójdzie do cioci doktor. Ma już prawie wszystkie ząbki wyleczone, a niech Pan Bóg zachowa, jeśli zabraknie mi jakiegoś dnia proszku do zębów. Łzom nie ma wtedy końca: przecież obiecała pani doktor, że co dzień będzie czyściła zęby.

Szczególnych cudów dokazuje kokardka przodownika zdrowia. Bohater wyróżniony taką kokardką uważałby sobie za wielki dyshonor najmniejszy grymas twarzy, po którym można by się było domyleć, że borowanie w zębie sprawia mu rzeczywiście duży ból. Pierwszego maja pacjenci polikliniki dla dzieci defilowali pod transparentem z napisem „przodownicy zdrowia". Jeszcze stoi zwinięty w kącie gabinetu.

✣

Nie przebrzmiały jeszcze echa przemówień delegatów sześćdziesięciu kilku krajów, którzy na kongresie w Wiedniu radzili nad tym, jak zapewnić dzieciom świata szczęśliwe warunki wzrostu i rozwoju; choć Korea, Viet-Nam i Malaje odległe są od nas o tysiące kilometrów, huk salw armatnich i wybuchy bomb, pod którym padają bezbronne dzieci ogłusza nas tak, jakbyśmy je słyszeli z niewielkiej odległości.

Ten przerażający w swej grozie nie mieszczący się często w możliwościach naszego pojmowania bezmiar okrucieństwa przywołujemy dziś w Dniu Międzynarodowego Dnia Dziecka przed oczy tych, którzy chociażby na maleńkim przykładzie dopiero co powstającej u nas i bardzo skromnej jeszcze sieci poliklinik dziecięcych zdają sobie sprawę, że — mówiąc słowami Wandy Wasilewskiej — „możemy zdobyć szczęście dzieci naszymi własnymi rękami, naszym własnym rozumem".

Krystyna Nowakowska

Ilustrowała DANUTA KONWICKA

O Ś Ć

masz prawa brać pięćdziesięciu groszy za taki mały garnuszek. Chcesz, dam ci za niego trzydzieści... pięć!!...

Dziewuszka uciekła z podwórza.

W tymże okresie student, tak pewnie czujący się przy dzieciach jaśniepaństwa, popełnił błąd. Zlekceważył nieugięte prawo hierarchii, rządzące w pałacu.

Jechaliśmy wtedy bryczką z poczty. Skaut nachylił się z kozła ku pannie Janinie i tonem poufałym spytał:

— Dobrze się jedzie, panno Jańciu, co?...

Twarz panny Janiny zesztywniała, wargi rozwarły się, aby wyrzec: „tak", po czym do końca jazdy nie padło już słowo.

W parę dni potem nielubiany przez nas harcerz wyjechał nagle. Nikt o nim nigdy nie wspominał w pałacu, dzieci pozbawione nadzoru opiekuna bawiły się wesoło.

Zagadką nie do rozwiązania była dla nas panna Janina. Dziwiło nas, że nasza opiekunka chodzi zawsze o krok w tyle za panią N., dziwił nas jej tchnący uległością głos, gdy odpowiadała tamtej. Żadnej z nas nie przyszło do głowy, że nieszczęsnym trafem obrazimy panią N. i ściągniemy na siebie niechęć całego pałacu.

Pewnego dnia zostałyśmy znowu wezwane do pokoju panny Janiny. Wyprostowana sztywno postać, czerwone plamy pokrywające policzki i pulsująca szybko tętnica na szyi uprzedziły nas o niezwykłym wzburzeniu naszej opiekunki.

Zaledwie — onieśmielone — stanęłyśmy przed nią, panna Janina, nie odpowiadając na nasze „dzień dobry", zaczęła gniewnym głosem:

— Pani N., litując się nad waszą matką i stanem waszego zdrowia, wzięła was tutaj, na wakacje. Od początku wszystkich nas niemile uderzyło, że zwracacie się do pani N. przez „pani profesorowa". Jednakże nie mówiłam wam nic, oczekując, że same naprawicie swój błąd. Tymczasem dzisiaj, idąc korytarzem usłyszałam, że w ten sam sposób odzywacie się o pani N. do służby, do Marynki i do gosposi...

— Pani chce, żebyśmy do pani profesorowej mówiły „proszę jaśnie pani"? — spytała Łucja sztywno.

Wyraz twarzy naszej opiekunki zmienił się nagle. Jak gdyby w tym zawsze tak tkliwym, pokornym obliczu napięła się twarda sprężyna. W oczach zapłonął zimny błysk.

— Zostałam przyjęta do tego domu wiele lat temu... — zaczęła szybkim, niskim głosem. — Pani N. opiekowała się mną jak najlepsza siostra... dopuszczono mnie do zażyłości z całą rodziną... a przecież ja — zabrakło jej nagle tchu — ja nigdy nie ośmieliłam się nazwać jej inaczej jak jaśnie panią... Aż dopiero na wyraźny zakaz, osobiste życzenie pani N. Gdy tymczasem wy... wy...

Po chwili, z wysiłkiem rzekła:

— Idźcie już...

Przelękłe, wybiegłyśmy z pokoju, unosząc w oczach obraz panny Janiny obejmującej obu dłońmi szyję, jak gdyby coś dusiło ją w gardle.

Łucja, rzucając się na łóżko w pokoju, krzyknęła z pasją:

— I pomyśleć, że ona ma skończony uniwersytet i nawet doktorat!... Biedna wariatka!

Po czym, marszcząc czoło, dodała z namysłem:

— Boże drogi, jak to się stało, że ona do tego doszła? Co z nią robili? Dlaczego się nie broniła? Powinna się była bronić!...

— Przed czym? — zapytałam z ciekawością.

Łucja nie odrzekła nic. Ona wiedziała.

I nigdy słowo: „jaśnie pani" nie pojawiło się na jej ustach. Co do mnie zaś...

Trzeba wyznać, że daleko mi było do nieugiętości chrakteru mej siostry.

Pewnego dnia towarzyszyłam pannie Janinie z koszykiem do ogrodu. Chcąc się jej przypodobać, użyłam kilka razy w rozmowie słów „jaśnie pani", dla lepszego efektu wykrzykując je głośno.

Zostałam obdarowana pięknym jabłkiem. Zjadłam je w tajemnicy przed Łucją.

Niedługo po tym zdarzeniu zaczęły padać deszcze. Niebo zamieniło się w płachtę dżdżu. Dni przechodziły szare, jednostajne od nisko ciągnących chmur. Deszcz bez ustanku bębnił o dach i dzwonił w rynnach. W pokojach było — jak i na dworze — ciemno, zimno, obco.

Zawinięte w koc, z brodą opartą o kolana, słuchałyśmy dzikich odgłosów wiatru. Łucja zaziębiła się, kaszlała. W pokoju panował chłód, dzwoniłyśmy zębami.

Długi okres ulewnych deszczów spowodował wylew Raby. Od przestraszonej, popłakującej po kątach służby dowiadywałyśmy się o rozmiarach klęski. Straty były olbrzymie. Wylew zmywając uprawne pola, niszcząc dobytek i chaty, uczynił setki ludzi nędzarzami, dziesiątki gospodarstw zniósł z powierzchni ziemi.

Gdy wreszcie pozwolono nam wyjść, błądziłyśmy po drogach przestraszone spustoszonym, zdziczałym światem.

Gdzie spojrzeć — zdarta ziemia, odsłonięte kawały gliny, pasma trawy zżółkłe i osypane piaskiem, połamane drzewa, kłęby zbutwiałych liści; w powietrzu wisiała woń surowizny i wilgoci.

Po obu brzegach Raby, gdzie dawniej ciągnęły się uprawne zagony, rozpościerało się martwe pole mułu, błota i kamieni. Gdzieniegdzie sterczały na nim mokre krzaki łoziny i pręty badyli. Po wodnym pogorzelisku snuły się przygarbione ludzkie sylwetki, odziane w worki chroniące od deszczu. Odgrzebywali spod błota i żwiru nędzne resztki, których nie zabrała woda. Pordzewiałe naczynia, mokre szmaty, spłukaną deskę, dziurawą miednicę...

Do dworu ciągnęły rzesze powodzian. Prosili o coś ciepłego do zjedzenia, o snop słomy, o trochę siana dla ocalałej krowy. Panna Janina wydawała torebki z oszczędnymi racjami kaszy. Pewnego dnia służba otrzymała rozkaz niedopuszczania do pałacu ludności.

Wylew Raby nadszarpnął stan majątku. Dwór orzekł, że nie ma z czego pomagać. Gromady nędzarzy zniknęły sprzed bram pałacu.

W tymże czasie uwagę dworu zaprzątnął rychły przyjazd biskupa, który miał odprawić nabożeństwo w pałacowej kaplicy. Służba domowa, nastrojona uroczyście, śpiewała po całych dniach pobożne pieśni. Girlandami kwiatów strojono przydrożne kapliczki i krzyże.

Proboszcz nakazywał surowo z ambony oczyścić rowy i przydrożne krzaki z flaszek po wódce...

Gdy nadszedł uroczysty dzień, kucharka otwarłszy drzwi do śpiżarni pokazała nam z w y k ł ą babkę domową, którą miano podać do podwieczorku. Żadnych frykasów — tylko kurczęta, sałata i z w y k ł a

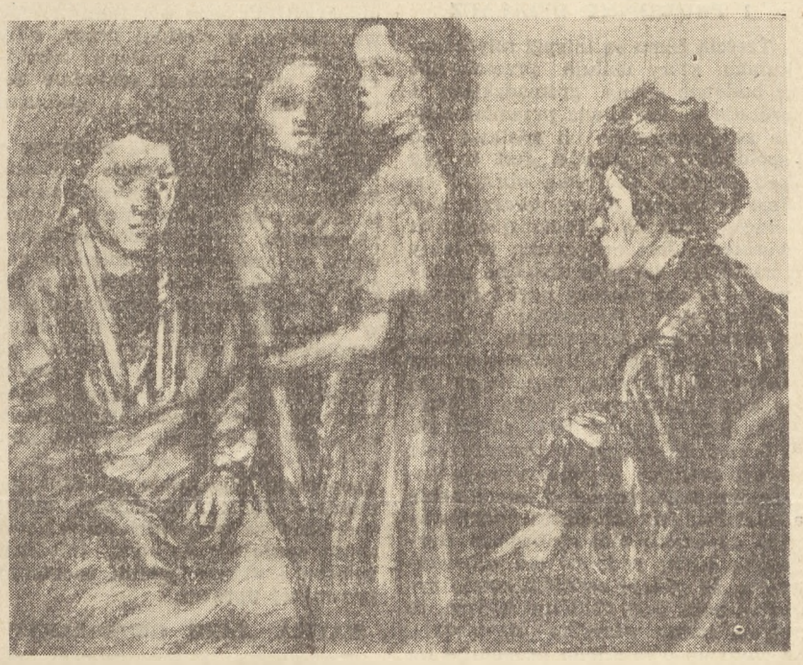

babka do kawy. Panna Janina oznajmiła nam, że ze względu na klęskę, jaka dotknęła okolicę, pani N. z właściwym jej rozumem i przenikliwością, zrezygnowała z wystawnego przyjęcia na cześć Jego Eminencji...

Uroczystości przyjazdu dostojnego gościa nie widziałam. Szczęśliwa, że starsza jaśnie pani dostała grypy i nie opuszcza pokoju, pobiegłam do parku. Był piękny, słoneczny dzień. Trawa błyszczała po deszczu i parowała wilgocią.

Po piętnastu minutach leżenia na kocu poczułam ból pod lewą łopatką. Niedługo potem znalazłam się w łóżku. Wywiązało się ropne zapalenie lewego płuca.

Gdy po trzech tygodniach, osłabiona chorobą, wstałam z łóżka, w wąskich ustach panny Janiny i chłodnym spojrzeniu wyczytałam naganę. Prawdopodobnie moją chorobę uważała za zesłaną przez Boga karę, ponieważ ośmieliłam się wtargnąć do parku.

O wizycie biskupa dowiedziałam się tyle, że udzielił swego błogosławieństwa powodzianom zgromadzonym pod pałacową bramą, i wygłosił kilka budujących zdań o miłosierdziu bożym, które doświadcza ludzkie charaktery. Rozdawszy dzieciom obrazki, odjechał do sąsiedniej parafii.

W czasie mej rekonwalescencji przyszła jesień. Chłodna, z porywistymi wiatrami. Liście czerwieniły się, trzepotały na drzewach i opadały na zżółkłe trawniki. Niskie mgły wisiały nad łąkami, z których wznosiły się pastusze dymy.

Zbliżał się czas naszego wyjazdu. Panna Janina okazywała nam żywsze drgnienia serca. Częściej zabierała nas do swego pokoju, opowiadała o swych szkolnych czasach. Coś w niej ścierało się, kruszyło, jak gdyby nasz widok przypominał jej własne przeżycia. Patrzała na nas zamyślonym wzrokiem i nie mówiąc nic ściskała moją dłoń lub Łucji.

Jakoś wtedy okazało się, że panna Janina jest jeszcze całkiem młoda. I że ma piękne duże oczy: I że prócz żywotów świętych zna liryczne wiersze Tetmajera i Staffa. Gdy mówiła je dźwięcznym głosem, nie była wcale podobna do panny Janiny kroczącej z pochyloną głową, w tyle za panią N.

Od jakiegoś czasu na naszym stoliku pojawiał się talerzyk z owocami, postawiony tam przez dyskretną dłoń...

Wreszcie panna Janina zaczęła wypytywać nas o nasze plany na przyszłość.

I wtedy Łucja, przełamując chorobliwą nieśmiałość i dławiąc się od wzruszenia, wyznała szeptem, że jej marzeniem jest iść do gimnazjum. Ale że na opłatę czesnego mamusia nie ma pieniędzy. Na domiar złego, kilka pań z komitetu parafialnego, który wspomaga nas bonami na chleb, chce, żeby ona, Łucja, poszła do szkoły kucharskiej. Przyrzekły wyrobić jej bezpłatne miejsce. Ale ona nie chce być kucharką. Chce iść do gimnazjum.

Panna Janina wysłuchała uważnie i przyrzekła, że powtórzy to wszystko pani N.

Nastało kilka dni pełnych napięcia. Łucja, pogrążona w marzeniach, chodziła z pojaśniałą twarzą, promiennymi oczyma, obojętna na otoczenie. Z uśmiechniętego milczenia panny Janiny, jej znaczących, ciepłych spojrzeń rzucanych na nas, wyczuwałyśmy, że w niedostępnej dla nas części pałacu ważą się nasze losy.

I Łucja uwierzyła. Uwierzyła w cud. Nigdy o swym pragnieniu nikomu nie mówiła. Ale tu ratunek był tak blisko, tak blisko...

Pewnego wieczoru panna Janina zawołała nas do siebie.

Łucja przestąpiła próg z sercem tłukącym się w gardle, blednąc i czerwieniejąc na przemian. Zanim weszła do pokoju chwyciła mnie za rękę i szepnęła:

— Wiesz, boję się...

Wytrzeszczyłam oczy:

— Czego?!

— No, gimnazjum... Pani profesorowa pośle mnie tam, a ja przecież nic nie umiem...

Gdy znalazłyśmy się w pokoju, panna Janina skinęła nam głową i kazała usiąść. W łagodnych słowach wyłożyła decyzję pani N. Ja miałam skończyć szkołę powszechną i na ten cel pani profesorowa asygnowała pewną kwotę, ażeby zaopatrzyć mnie w buciki zimowe i książki. Co zaś do Łucji...

Panna Janina zwróciła nieprzeniknione w tej chwili spojrzenie na blednącą ze wzruszenia Łucję.

— Łucja powinna iść do szkoły kucharskiej, skoro trafiają się zacni ludzie, którzy chcą jej w tym pomóc.

Po czym mówiła rzeczy, których właściwie żadna z nas już nie słuchała. Że Łucja, mając ukończoną szkołę kucharską, łatwo znajdzie pracę w pensjonacie, hotelu czy we dworze... Pani N. posiada wiele znajomości i z jej poleceniem każdy dwór weźmie chętnie uczciwą, inteligentną zarządzającą domem czy gosposię... Łucja będzie mogła pomóc matce, której życie jest tak bardzo ciężkie... Niechże więc Łucja pomyśli o tym, a znajdzie w pracy zadowolenie.

Głos panny Janiny był znużony. Wyglądała na zmęczoną i starą.

Wróciłyśmy do siebie na górę.

Łucja, wbrew temu, czego oczekiwałam, nie szlochała, nie rozpaczała. Zmarszczywszy brwi, siedziała przy stole z głową wspartą o pięść i dumała nad czymś głęboko. Kręciłam się po pokoju zerkając na nią ukradkiem. Po chwili ujrzałam, że pisze coś na kartce wyrwanej z zeszytu.

Późno wieczorem zabrałyśmy się do pakowania. Nazajutrz rano miał nastąpić nasz wyjazd.

Gdy rankiem wstałam, Łucja jeszcze spała. Na jej policzkach widniał ślad łez. Zbierając zapomniane drobiazgi znalazłam na stole kartkę, na której wyraźnym, pochyłym pismem Łucji było napisane:

Jest litość, co jak drwina boli, że od tej łaskawej litości nienawiść wolisz.

W tej chwili Łucja otworzyła oczy, wyskoczyła z łóżka i wyrwała mi kartkę. Jej usta boleśnie i gniewnie drżały.

Zraniona, że wdzieram się w jej tajemnicę, krzyknęła odpychając mnie:

— Idź! Idź!... Ty i tak tego nie zrozumiesz!

Tak istotnie było. Nie zrozumiałam wcale, o co Łucji chodzi i co miał znaczyć napis na kartce, której powierzyła ból zawiedzionego serca.

Odjechałyśmy powozem do Krakowa.

Pani N. dotrzymała słowa. Dostałam buciki zimowe i książki, dzięki czemu skończyłam szkołę powszechną. Łucja poszła do szkoły kucharskiej.

Jeszcze dwa razy litość miłosierdzie czyniących zabierała nas na wakacje. A każde z nich zostawiały po sobie coraz okrutniejsze wspomnienia.

Po kilku latach Łucja znalazła schronienie w białym, rozległym domu, gdzie tak samo, jak na wakacjach, palmy ocieniały portal, a na gazonie przed tarasem kwitły czerwone begonie...

Okna owego pałacu były zakratowane gęsto zelaznymi sztabami.

Naczelny lekarz Kobierzyna, przenosząc wzrok z nieprzytomnej, gryzącej spalone wargi, wychudłej dziewczyny na naszą matkę, mówił z gniewną niechęcią:

— Dlaczegoście do tego dopuścili?! Trzeba ją było dobrze odżywiać, dać jej ludzkie warunki życia, kulturalne otoczenie, odpoczynek... Wówczas uniknęłoby się nieszczęścia.

Za każdym słowem lekarza głowa matki chyliła się coraz niżej, coraz bardziej bladła twarz. Osłupiałe, zeszklone oczy patrzyły w pustkę, w przeszłość.

Co w niej widziała?

Łucję zgarbioną nad drewnianą ramą, o której gwoździe raniła sobie palce, zarabiając na tkaniu szalików 75 groszy dziennie. Łucję, gdy niańczyła dzieci w dorobkiewiczowskim domu, gdzie za jej plecami naradzano się: „Posadzić ją do stołu? Nie!! Jej ojczym jest woźnym w Akademii Górniczej! Podwieczorki i drugie śniadania będzie dostawać w kuchni..." Gdy znużona wracała z miasta, jej oczy, ogromne w pochudłej twarzy, wyrażały rosnący obłęd wobec grozy życia, która dusiła przymierające w bezrobociu przedmieścia.

„L u d z k i e w a r u n k i ż y c i a"...

Gdyby naczelny lekarz wiedział to wszystko, może by zamilkł i nie targał ran matki.

W białym pałacu chrześcijańskiej pychy, gdzie po raz pierwszy spożywałyśmy gorzkie owoce filantropii, istnieje dziś Instytut Gospodarstwa Wiejskiego. Zdarto fioletowe tapety. Mrok i trzeszczące graty nie straszą już.

W tym samym pokoju, gdzie blada, melancholijna dziewczynka opłakiwała gorzko klęskę swych nadziei, gwarzą dziś nad pulpitami jasne i ciemne głowy. Może dziewuszka z garnuszkiem jagód, przed którą wydawałam lekcję ubogich, zasłyszaną od panny Janiny, otrzymała już dyplom Instytutu... Duch starszej jaśnie pani baronowej nie wypłasza z parku bosonogich dzieciaków. Granatowe śliwki i pękate gruszki dojrzewają w sadzie dla nich.

Mnie jeszcze raz dosięgły upiory martwej już przeszłości.

Miałam swój pierwszy wieczór autorski w Związku Literatów, w Krakowie. Na chwilę przed jego rozpoczęciem weszła na salę panna Janina.

— Przyszłam, Talu, posłuchać, co napisałaś... — rzekła cichym głosem.

Patrzałam na nią osłupiała, jak na żywą marę, która — ukazawszy się — postawiła mi przed oczy całą niedolę biednych lat naszego dzieciństwa. Była moją dobrodziejką. Otrzymane — dzięki jej wstawiennictwu u pani N. — książki i buty, pozwoliły mi skończyć szkołę powszechną, a stamtąd inni już ludzie skierowali mnie do gimnazjum. Zawsze w dyskretny sposób przenosiła mnie nad Łucję. Łucja była tak pełna osobistej godności i milczącej pogardy dla filantropii... i była taka ładna...

— Pozwolisz, że zostanę i posłucham — rzekła z uśmiechem, biorąc krzesło.

Miałam przygotowane na wieczór wspomnienia z tych wakacji, które tu opisałam. Przeszyła mnie myśl, że panna Janina nie zrozumie tego. Nie pojmie, ponieważ ona sama — nic się nie zmieniła.

Widać to było po wyrazie jej twarzy, rysach...

Nie tylko posiadane przez nią wykształcenie, ale jej duch, myśli, stosunek do ludzi były dziełem filantropii pałacowej, która — wymodelowawszy światopogląd panny Janiny — odebrała naszej dawnej opiekunce nawet zdolność zrozumienia krzywdy, jaką jej wyrządziła. I dlatego ona nie odczuje niemiłosierdzia zakazu, który nas wypędził z parku, ani nie pojmie okrucieństwa naszego odosobnienia i samotności w pałacu. Dla niej, pani N. była zapewne nowoczesną świętą, ograbioną z majątku przez złych ludzi, a ja — złą dziewczyną, która za okazaną litość odpłaciła judaszową monetą.

Stchórzyłam. Powiedziałam pannie Janinie, iż proszę, aby opuściła zebranie. Że będę czytała wspomnienia z mych pierwszych wakacji, lecz że tego ona nie potrafi zrozumieć.

I panna Janina w pomieszaniu wyszła. Lecz cała moja radość z pierwszego wieczoru autorskiego przepadła. Dobroczynność jeszcze raz dopadła mnie i zubożyła o chwilę, która mogła być piękna.

Zapłaciłam za otrzymane niegdyś buty i książki. Ale tym razem swojej klęsce byłam winna tylko ja sama. Tylko ja.

Bo należało pannie Janinie kazać zostać.

A ja stchórzyłam.

Natalia Rolleczek

ARTYŚCI MEKSYKAŃSCY GOŚĆMI ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

W dniu 23 maja Związek Literatów Polskich gościł w swojej siedzibie bawiącą w Polsce na zaproszenie Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą — ośmioosobową delegację pisarzy, artystów i działaczy kulturalnych Meksyku. W skład delegacji wchodzili: wybitny meksykański artysta grafik Leopoldo Mendez, sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Meksykańskiej José Mancisidor, przewodnicząca meksykańskiego ruchu kobiecego, publicystka Adelina Zendejas, pisarz i redaktor dziennika „Cultura Sovietica" Luis Cordova, działacz związków zawodowych, senator Elisondo, lekarka, profesor uniwersytetu Ester Chapa i działacz kulturalny Fausto Pomar.

Ze strony polskiej w spotkaniu wzięła udział liczna grupa pisarzy i plastyków. Obecni byli m. in. Zofia Nałkowska, Władysław Broniewski, Antoni Słonimski i Tadeusz Kulisiewicz.

Gości zza oceanu powitali w serdecznych słowach Władysław Broniewski i Antoni Słonimski. Podkreślili oni szczególną rolę, jaką na kontynencie amerykańskim odgrywa dzisiaj Meksyk, kraj najbardziej zagrożony przez imperializm Stanów Zjednoczonych i zarazem najbardziej w stosunku do niego odporny. Meksyk a nie potężny kolos — Stany Zjednoczone — stwierdził m. in. Słonimski — reprezentuje dziś w Ameryce najstarsze tradycje i najwyższe osiągnięcia w dziedzinie kultury. W Meksyku znajdują gościnę i opiekę prześladowani postępowi pisarze i artyści krajów ogarniętych przez faszyzm.

Zabierający głos w imieniu delegacji meksykańskiej Adelina Zendejas, José Mancisidor, Efraim Huerta i Leopoldo Mendez, w gorących i serdecznych słowach mówili o głębokim wrażeniu, jakie wywarł na nich obraz ruin Warszawy i tempo jej odbudowy, podkreślili też głębokie zainteresowanie, jakim — mimo odległości — cieszy się polska literatura i sztuka w Meksyku.

Artyści meksykańscy w rozmowie z literatami polskimi: od lewej: poeta Efraim Huerta, Sekretarz Tow. Przyjaźni Meksykańsko - Radzieckiej Fausto Pomar, Seweryn Pollak, Władysław Broniewski

SESJA JĘZYKOZNAWCZA NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM

Dwudniowa sesja naukowa, zorganizowana w połowie maja przez katedry Fonetyki i Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego, była pierwszą w kraju publiczną dyskusją językoznawców, przebiegającą pod znakiem wyciągnięcia wniosków metodologicznych z prac Stalina o językoznawstwie. Sesja ta zgromadziła oprócz naukowców także sporą ilość studentów. Jednak z wyjątkiem Łodzi reprezentowany był wyłącznie ośrodek warszawski, co ograniczyło znacznie gamę ścierających się w dyskusji poglądów, zmniejszając tym samym wagę sesji.

Podstawę obrad stanowiły zasadnicze referaty ogólnojęzykoznawcze W. Doroszewskiego, H. Koneczney, J. Tokarskiego i S. Skorupki, oraz ich rozwinięcie w zastosowaniu do konkretnych badań z dziedziny dialektologii, słowotwórstwa, semantyki w kilkunastu referatach pracowników obu katedr i starszych studentów. Tworząc względnie jednolitą całość, referaty te dały obraz dużego wysiłku teoretycznego i badawczego, szerokiego kręgu zainteresowań zespołu językoznawczego katedr polonistycznych U. W. Zarazem jednak ukazały pewną jednostronność założeń wyjściowych i opartych na nich badań. Słusznie odrzucając ciążące na językoznawstwie polskim dziedzictwo psychologizmu i silne jeszcze u nas (choć nie reprezentowane na sesji) idealistyczne koncepcje strukturalistów, prof. Doroszewski i wychowany w atmosferze jego twórczej myśli zespół szuka ujęć materialistycznych. Mocno podkreślając związek języka i myślenia, widzi w języku przede wszystkim narzędzie poznania, nie uwzględniając jednak dostatecznie jego funkcji komunikatywnej, czyli ściślej społecznej. W koncepcji tej główny nacisk położony jest na stronę fizjologiczną zjawisk językowych. Powoduje to przecenianie indywidualnych różnic, podkreślanie „rozchwiania" i „rozrzutu" sposobu mówienia. Natomiast zatracają się kategorie języka narodowego, dialektu itp. jako względnie trwałe, historycznie powstałe wspólnoty językowe. Znalazło to między innymi wyraz w tematyce referatów sesji, które, z wyjątkiem interesującego wystąpienia H. Kurkowskiej, słusznie ustawiającego język pisarza w stosunku do języka ogólnego epoki, w ogóle problemów języka narodowego, języka literackiego itp. nie poruszały.

Wszystkie te momenty zostały podniesione w dyskusji. Przypominano, że analogiczne koncecpje wysuwali już młodogramatycy, którzy, jak wiadomo, uważali języki narodowe i języki plemienne za fikcję wymyśloną przez uczonych, uznając jedynie istnienie języków jednostkowych. Podnoszono również, że przecenianie zmienności i zróżnicowania języka oraz umniejszanie roli systemu językowego nie da się pogodzić z tezami Stalina o trwałości budowy gramatycznej i podstwowego zasobu słów, o zasadniczej jedności języka, wspólnego dla całego społeczeństwa, dla całego narodu.

Sam charakter i przebieg dyskusji, w której kilkakrotnie zabierali głos Z. Stieber, Z. Rysiewicz, Z. Libera, H. Lewicka, S. Strelcyn oraz referenci, jest rzeczą nową i pozytywną na naszym gruncie. Była to par excellence dyskusja ideologiczna. Wykazała ona poważną ewolucję niektórych uczonych w kierunku ujęć marksistowskich, dała dowód coraz szerszego dojrzewania świadomości, że jedyną postawą naukową jest postawa materializmu dialektycznego. Dzięki temu obrady przebiegały w atmosferze rzetelnej krytyki, a z drugiej strony zawierały elementy samokrytyki obok nieprzezwyciężonej jeszcze do końca niechęci do otwartej dyskusji.

Inną pozytywną na naszym gruncie rzeczą było poświęcenie ostatniego popołudnia obrad sprawie metodyki nauczania języka polskiego w szkole, powiązanie nauki uniwersyteckiej z zagadnieniami praktyki, podkreślenie roli nauczania języka ojczystego, który jest „narzędziem walki i rozwoju" (Stalin). B. Wieczorkiewicz poruszył przy tym sprawę postępowych tradycji pedagogiki polskiej.

Nie mówiono natomiast prawie na sesji o tradycjach polskiego językoznawstwa, o domagającym się oceny wkładzie wielkich uczonych polskich Baudoina de Courtenay i Rozwadowskiego. Jedynym akcentem, nawiązującym do postępowej myśli językoznawczej był piękny referat A. Obrębskiej-Jabłońskiej o S. Jaszuńskim, wybitnym działaczu komunistycznym a zarazem niezwykle zdolnym językoznawcy, który w bojowych, prekursorskich pracach, pisanych często w więzieniu, próbował wydobyć społeczną istotę języka. Jaszuński szukał związków zmiennej części słownictwa z rozwojem społecznym, mocno podkreślał funkcję komunikatywną języka i jego rolę jako narzędzia postępu. Przeciwstawił się oddzielaniu lingwistyki „zewnętrznej" od „wewnętrznej", diachronii od synchronii.

W sumie sesja, mimo niedociągnięć, mimo wielu jeszcze mętnych i eklektycznych sformułowań w poszczególnych wystąpieniach, może być uważana za bardzo pożyteczną inicjatywę. Dyskusję kontynuować należy w szerszym gronie (np. łącznie z krytykami literackimi i literatami) i przy aktywniejszym udziale młodzieży.

(l.-s.)

CZESŁAW PETELSKI

O nowe kadry filmowe

Kadry naszych twórców filmowych są więcej niż szczupłe. W filmie fabularnym mamy jedynie 10-ciu samodzielnych reżyserów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że okres realizacji filmu trwa u nas przeciętnie 2 lata (łącznie z dokumentacją tematu, pisaniem scenariusza itd.) i że do większej częstotliwości nie można twórcy zmuszać, jeżeli nie chcemy rzetelnej twórczości zamieniać na rzemieślnicze wykonawstwo zadanego tematu, przekonamy się, że obecna kadra jest w stanie realizować nie więcej jak 5 filmów rocznie. W tej sytuacji szkolenie, wychowywanie i aktywizowanie młodych kadr staje się centralnym, kluczowym zagadnieniem naszej kinematografii.

POLSKIE SZKOLNICTWO FILMOWE

Młode kadry to przede wszystkim szkolnictwo. Przed wojną nie było żadnej szkoły filmowej, o młodzież filmową nikt nie dbał, nikomu nie była ona potrzebna. Powstanie w latach 1946 — 1947 uczelni filmowej, było widomym znakiem przewrotu, który dokonał się w naszej kinematografii, było wymownym dowodem postawy Ludowego Rządu, który docenia znaczenie „najważniejszej ze sztuk" i perspektywy jej rozwoju wiąże ze sprawą wychowania nowych kadr filmowych. Szkoła zaczęła dawać młodzieży rzetelne podstawy wiedzy filmowej.

Jak więc się stało, że zarówno na warszawskiej naradzie, jak i uprzednio w prasie (patrz „Poprostu" nr 7/52), zaczęto bić na alarm, że sytuacja Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej jest katastrofalna, że sprawa młodych kadr znalazła się niejako w ślepym zaułku?

Wydaje mi się, że przyczyn tego stanu rzeczy należy szukać w samouspokojeniu, które nastąpiło po roku 1949, kiedy to szkoła była „oczkiem w głowie" zarówno władz zwierzchnich naszej kinematografii, jak i Ministerstwa Kultury i Sztuki, kiedy wytworzyła się sugestia, że szkole niczego nie brakuje, że jest to już wzorowa uczelnia marksistowska. W rzeczywistości była ona pozbawiona szerszych perspektyw rozwojowych, przede wszystkim ze względu na niezupełnie odpowiedni program wykładów, brak wykładowców jak również ze względu na brak własnego atelier filmowego, brak dostatecznej ilości sprzętu technicznego, brak warsztatu, który umożliwiałby studentom wykonywanie prac praktycznych. Jeżeli mówimy dzisiaj, że w naszym filmie panowało dotąd chałupnictwo produkcyjne, to w wyw ypadku szkoły mieliśmy do czynienia z chałupnictwem podniesionym do kwadratu, z prawie zupełnym prymitywizmem warunków, w jakich studenci musieli realizować swoje pierwsze filmy. A przecież właśnie młodzież powinna uczyć się posługiwania najbardziej nowoczesnym sprzętem, poznawać najbardziej wzorowe, przodujące metody pracy.

Konsekwencją tego stanu rzeczy było przekreślenie możliwości praktycznego szkolenia kadr dla filmu fabularnego. Ze względu na brak atelier studenci realizowali prawie wyłącznie filmy dokumentarne i oświatowe, przeważnie plenerowe. W tych też dwóch dziedzinach szkoła może poszczycić się pewnymi osiągnięciami, a absolwenci w większości wypadków mieli dostateczne przygotowanie, by rozpocząć samodzielną pracę w produkcji. Wytworzyła się jednak pewnego rodzaju jednokierunkowość szkolenia z zupełnym albo prawie zupełnym pominięciem potrzeb filmu fabularnego.

Nic dziwnego, że w tej sytuacji wielu młodych entuzjastów filmu zaczęło szukać innych dróg dostania się do produkcji. I oto obok nurtu szkolenia w PWSF powstał drugi, przez nikogo nie kontrolowany nurt samouctwa i terminatorstwa, będący anachronizmem w naszych warunkach. Wydaje mi się, że wszyscy młodzi, zasługujący na to ze względu na swoje uzdolnienia, winni znaleźć opiekę i odpowiednie warunki szkolenia w PWSF, że PWSF winna stać się jedyną, szeroko otwartą drogą umożliwiającą młodym rozpoczęcie samodzielnej pracy twórczej.

Wyposażenie szkoły w dostateczną ilość sprzętu technicznego, stworzenie atelier szkolnego, umożliwienie studentom realizacji pierwszych filmów w normalnych, atelierowych warunkach to niezbędna przesłanka uzdrowienia naszego szkolnictwa filmowego i postawienia go na właściwym poziomie. Nie jest to wprawdzie jedyna bolączka szkoły, domaga się również swego rozwiązania sprawa kadr pedagogicznych, które w tej chwili są niewystarczające, palącym zagadnieniem jest postulowane na naradzie utworzenie wydziału scenariopisarskiego, scenograficznego i aktorskiego, trzeba usunąć cały szereg braków i niedociągnięć organizacyjnych i programowych utrudniających normalne funkcjonowanie uczelni, ale wszystkie te reformy zawisną w próżni, jeżeli studenci nie będą mieli możliwości wykonywania swoich prac praktycznych. Tak jak nie można sobie wyobrazić konserwatorium bez instrumentów muzycznych, a politechniki bez laboratoriów i pracowni naukowych, tak bez bazy technicznej, bez atelier nie może istnieć i rozwijać się szkoła filmowa.

Zagadnienie wychowania i wyszkolenia młodych kadr, poza konieczną reformą szkolnictwa filmowego, mieści w sobie również sprawę właściwego ustawienia absolwentów PWSF w produkcji. Nie chodzi tutaj o mechaniczne ustalenie odpowiedniej liczby etatów, ale o kontynuację szkolenia w ramach wytwórni, o otoczenie młodych opieką pedagogiczną, oraz zapewnienie im możliwości rozpoczęcia samodzielnej pracy twórczej. W obecnej bowiem sytuacji absolwenci są pozostawieni samym sobie, a w olbrzymiej większości nie mają warunków dla wykonania prac absolutoryjnych, nie mówiąc już o dyplomowych i odbywają niejako „wieczną asystenturę" w wytwórniach.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Nonsensem byłoby stawianie dezyderatu, aby szkoła czy też wytwórnia każdemu absolwentowi powierzała od razu do realizacji pełnometrażowy film fabularny. Wydaje mi się, że jednym z rozwiązań może być w tym wypadku kolektywna realizacja filmów, oraz produkcja małych form filmu fabularnego.

KOLEKTYWNA REALIZACJA FILMÓW

O tym, że każdy film jest dziełem olbrzymiego kolektywu twórczego i produkcyjnego wie każdy. Coraz bardziej powszechnym zjawiskiem staje się również kolektywne opracowywanie scenariuszy. Natomiast utarło się twierdzenie, że kolektywna reżyseria i kolektywna praca operatorska jest niemożliwa. Argumentem najcięższego kalibru, popierającym tę tezę, ma być fakt, że nigdy i nigdzie dotąd tej metody pracy w filmie nie stosowano.

Czy ma to jednak rzeczywiście oznaczać, że inne rozwiązanie jest niemożliwe?

Kolektywne formy pracy przyjmują się dziś w tych dziedzinach, w których dawniej nie było mowy o pracy zespołowej. Czy było kiedykolwiek do pomyślenia, aby zupełnie młodym aktorom, którzy utworzyli zespół, oddać do dyspozycji teatr, tak jak to się stało u nas w wypadku Teatru Nowego w Łodzi? A czy doświadczenia radzieckiej rzeźby i malarstwa nie rewolucjonizują metod twórczości artystycznej, czyż nie są zdumiewające osiągnięcia Brygady E. Wuczeticza i Brygady N. Tomskiego, albo zespołu malarzy pod kierownictwem B. Johansona, którzy za kompozycję „Lenin na Zjeździe Komsomołu" otrzymali Nagrodę Stalinowską? Okazało się, że twórczość kolektywna wcale nie musi oznaczać kawałkowania dzieła, przekreślać jednolitość kompozycji i stylu.

Nowe, kolektywne metody pracy, nowe, kolektywne metody twórczości to prawo i zdobycz nowego człowieka budującego socjalizm. Czy rzeczywiście jedynie film ma być spod tego prawa wyłączony? Czy rzeczywiście osławioną „specyfiką filmu" można tu wszystko wytłumaczyć?

Wydaje mi się, że najlepszą odpowiedź dają pierwsze eksperymenty zastosowania metody kolektywnej realizacji. Mam tu na myśli przede wszystkim film produkcji „Defy" pt. „Bracia Benthin" i nasze „Dwie brygady". Jak wiadomo film „Bracia Benthin" został zrealizowany przez kolektyw młodych reżyserów pod kierownictwem Slatana Dudowa i Kurta Maetziga. „Dwie brygady" zrealizował kolektyw studentów PWSF pod kierownictwem Eugeniusza Cękalskiego i Adolfa Forberta.

Doświadczenia „Dwóch brygad" są nam szczególnie bliskie i dużo nam mogą powiedzieć, przede wszystkim jednak przekreślają mit o konieczności jednostkowej reżyserii i operatorki. Oto pod kierownictwem profesorów i wychowawców młodzież zrealizowała film stosując zupełnie nowe, kolektywne metody pracy na planie i podczas całego procesu twórczego, film, który mimo licznych błędów i niedociągnięć nie był bynajmniej gorszy od innych realizowanych w tym czasie, a wręcz odwrotnie, odznaczał się świeżością tematyczną i niemałymi walorami ideowo - artystycznymi. O wartości tego eksperymentu najlepiej świadczy fakt, że „Dwie brygady" zostały odznaczone Nagrodą Państwową, oraz zdobyły zaszczytne wyróżnienie na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlovych Varach.

Doświadczenia „Dwóch brygad" nie minęły bez echa. Ten pierwszy w dziejach naszej kinematografii precedens, kiedy młodemu zespołowi zapewniono pełne możliwości produkcyjne i otoczono go troskliwą opieką pedagogiczną, stał się dla studentów PWSF bodźcem do pracy, zachęcił do kolektywnego wysiłku. Nic też dziwnego, że w rok później powstał nowy kolektyw, który przez długi okres czasu pracował nad adaptacją sztuki J. Warmińskiego „Zwycięstwo". Niestety — do realizacji filmu nie doszło. Podobnie zakończyła się próba utworzonego w bieżącym roku zespołu, który pracował nad scenariuszem o tematyce młodzieżowej pt. „Nasze miasto".

Te dwa fakty wykazują konieczność zwrócenia baczniejszej uwagi na zagadnienie metody kolektywnej realizacji filmów. Wydaje mi się, że doświadczenia „Dwóch brygad" nie powinny i nie mogą pójść na marne. Nie należy podrywać wiary młodzieży w słuszność i celowość zbiorowego, kolektywnego wysiłku, tym bardziej że obok małych form, jest to jedyna droga szkolenia i aktywizacji młodych kadr, zapewnia im możliwość samodzielnej pracy twórczej po opieką doświadczonych pedagogów.

MAŁE FORMY FILMU FABULARNEGO

Niemniejszą rolę w dziele szkolenia i usamodzielniania się młodzieży filmowej mogą i powinny odegrać małe formy. Typ krótko i średniometrażowego filmu fabularnego był szeroko stosowany w praktyce Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej. Niestety — brak atelierowych warunków realizacji prawie zupełnie zahamował rozwój tego bardzo odpowiedniego dla szkoły gatunku filmowego. Jeszcze gorzej wygląda ta sprawa w Wytwórni Filmów Fabularnych, gdzie całkowicie zarzucono produkcję małych form.

A przecież w pierwszych latach po wojnie właśnie na małych formach uczyli się sztuki filmowej tacy nasi twórcy jak Jerzy Zarzycki, czy Jan Rybkowski, przecież jest to bodajże konieczny etap na drodze do samodzielności twórczej. W literaturze nowela nie jest bynajmniej gatunkiem ani gorszym, ani mniej ważnym, ani mniej popularnym niż powieść. Jedynie w filmie trzeba od razu pisać wyłącznie wielkie powieści, malować wielkie kompozycje. Wydaje mi się, że jeżeli sprawa młodych kadr ma ruszyć z martwego punktu, nie można zagadnienia małych form pozostawić bez rozwiązania.

Słuszność tego postulatu potwierdza stanowisko filmowców radzieckich, którzy podjęli ostatnio kampanię zmierzającą do rozszerzenia produkcji małych form, widząc w tym słuszną drogę szkolenia i usamodzielniania się młodych kadr. Wyniki obrad zjazdu młodych twórców filmowych Związku Radzieckiego i artykuł A. Filimonowa w „Sowietskoje Iskustwo" mówią wyraźnie o olbrzymiej roli i znaczeniu tego zaniedbanego u nas gatunku filmowego.

Nie mają racji sceptycy, którzy twierdzą, że publiczność nie jest przyzwyczajona i nie zechce oglądać tego rodzaju filmów. Małe formy, bądź jako samodzielne całości, bądź jako części składowe pełnego metrażu już od dawna zyskały sobie prawo obywatelstwa na ekranach całego świata. Aby się o tym przekonać, wystarczy przypomnieć takie filmy jak „Niedźwiedź" wg Czechowa, jak radziecka składanka „Trzy spotkania", jak włoska „Paisa", angielski „Kwartet", czy ostatnio wyświetlana u nas składanka francuska „Jednodniowi milionerzy". Tak jak chętnie bierzemy do ręki zbiór dobrych nowel, tak samo chętnie oglądamy program filmowy złożony z kilku krótkich opowiadań.

MŁODZIEŻOWE ZESPOŁY TWÓRCZE

Zarówno kolektywna realizacja filmów, jak i szeroko rozwinięta produkcja małych form mogą i powinny w zupełności zapewnić młodym możliwości dalszego szkolenia się, doskonalenia i rozpoczęcia samodzielnej pracy twórczej. Niemniej w obecnej sytuacji nasuwa się jeszcze konieczność utworzenia młodzieżowych zespołów twórczych.

Warszawska narada filmowa wysuwając postulat twórczości zespołowej jasno i zdecydowanie określiła stanowisko naszych twórców, którzy w takiej organizacji kadr widzą „jeden z podstawowych elementów słusznej polityki artystycznej". Jak wynika z deklaracji SPATiF-u we wszystkich zespołach twórczych znajdzie się miejsce dla młodych, zostanie stworzona platforma dla ich aktywizacji i usamodzielnienia się. Fakt ten nie przekreśla jednak postulatu, aby analogicznie do innych dziedzin życia, powstały i rozwijały się zespoły twórcze młodych filmowców. Należycie zorganizowane, otoczone opieką doświadczonych realizatorów i władz zwierzchnich kinematografii stałyby się one główną bazą walki o metodę kolektywnej realizacji filmów i o postawienie na właściwym poziomie produkcji małych form filmu fabularnego.

Ostatnio na terenie PWSF powstały dwa tego rodzaju zespoły złożone ze studentów IV roku przygotowujących się do realizacji filmów absolutoryjnych. Kierownictwo i opiekę pedagogiczną nad jednym z nich objął Antoni Bohdziewicz i Bohdan Czeszko, nad drugim Wadim Berestowski i Aleksander Jackiewicz. Oba te zespoły postawiły sobie za cel zrealizowanie filmów złożonych z krótkich nowel-opowiadań, a jednocześnie pełne wykorzystanie doświadczeń „Dwóch brygad". Wydaje mi się, że te pierwsze zaczątki młodzieżowych zespołów filmowych zasługują na specjalną uwagę, że zdrowa inicjatywa młodzieży nie powinna pozostać jedynie w sferze eksperymentów.

O NOWE KADRY TRZEBA SIĘ BIĆ

Dobrze się stało, że warszawska narada filmowa postawiła zagadnienie nowych kadr na ostrzu noża. Najpiękniejsze jednak deklaracje, sformułowania, dezyderaty i uchwały nie na wiele się zdadzą, jeżeli pozostaną jedynie na papierze. O nowe kadry filmowe, tak jak i o każde zadanie naszego wielkiego planu 6-letniego, trzeba się bić.

Najbliższym, konkretnym przejawem tej walki niech się stanie jasne, zdecydowane ustosunkowanie się CUK-u do zagadnienia młodzieżowych zespołów twórczych, do zagadnienia metody kolektywnej realizacji filmów i produkcji małych form, niech będzie zapewnienie młodzieży normalnych, atelierowych warunków produkcji.

Najbliższym, konkretnym przejawem tej walki niech się stanie czynne zainteresowanie się naszych twórców filmowych pracą młodzieży, otoczenie jej troskliwą opieką pedagogiczną, wyciągnięcie wszystkich wniosków i konsekwencji z istniejącego obecnie stanu rzeczy.

Najbliższym, konkretnym przejawem tej walki niech się stanie bojowa, ofensywna postawa młodzieży filmowej, jej wzmożony wysiłek w opanowaniu wiedzy fachowej i pogłębieniu marksistowskiego światopoglądu, *samokrytyczny stosunek do własnych braków i błędów*, głęboka wiara w słuszność zbiorowego, kolektywnego wysiłku.

Czesław Petelski

Scena zbiorowa z filmu „Gromada". Po lewej — „typowy" kułak.

ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI

Ohydny młynarz i promienny działacz

Zarys konfliktu, na którym opiera się akcja filmu, zaczerpnęli autorzy wprost z życia" — czytamy w drukowanym programie „Gromady". Mimo tego dumnego stwierdzenia, nowy nasz film uznać można za przykład uproszczenia artystycznego, które pod nazwą „schematyzmu" zyskało ostatnio rozgłos w dyskusjach literackich.

OHYDNY MŁYNARZ I PROMIENNY DZIAŁACZ

Treścią filmu są intrygi młynarza-kułaka, który usiłuje przeszkodzić w budowie młyna gromadzkiego i próbuje uniemożliwić przemiał zboża przeznaczonego na odstawę do spółdzielni w mieście. Jest to typ pod każdym względem obrzydliwy. Jest gruby, ma nalaną twarz o złośliwych oczach i pretensjonalnych wąsikach. Jest ordynarny, brutalny i zuchwały, zaś jego ulubiona postawa — to rozkraczone nogi i ręce w kieszeniach, w połączeniu z miną nieżyczliwą i wyzywającą. Odznacza się lubieżnością i pragnie uwieść bohaterkę Maryśkę, napastując ją w kącie magazynu z mąką. Głównym jego zajęciem jest pijaństwo, któremu się oddaje w towarzystwie swego szwagra — nieuczciwego sekretarza sądu, oraz podobnych sobie kułaków. Jest nieludzki: doprowadza do samobójstwa ubogiego Bartosika, który podpisał mu zobowiązanie, że oddaje za długi swoje żyto na pniu. Jest obłudny: widząc, że chłopi mimo wszystko zwyciężają, z chytrym uśmiechem proponuje im pożyczenie swojej żniwiarki do pomocy w zbiorach gromadzkich. A jednak ten perfidny nikczemnik, po którym spodziewamy się przebiegłości godnej wielkiego drania, popełnia błąd nieuzasadniony niczym w jego dotychczas znanym charakterze: nocą, w ataku wściekłości, zaoruje drogę wiodącą do młyna spółdzielczego i za tę samowolę dostaje się w ręce milicji.

Absolutnym jego przeciwieństwem jest Paweł, budowniczy nowego młyna, piękny młodzieniec o falujących blond włosach, orlim profilu i spojrzeniu życzliwym, choć stanowczym. Paweł kocha uczciwie Maryśkę i poślubi ją w końcu filmu. Nie pije on ani nie pali, co najwyżej gryzie słomkę, zasmucony intrygami młynarza. Nie unosi się nigdy, nawet gdy ojciec jego wybrancej obrzuca go niezasłużonymi obelgami. Głównym jego zajęciem jest podtrzymywanie na duchu kolegów z gromady, w momentach sporów z kułakami.

ANI Z ŻYCIA, ANI Z CELULOIDU, LECZ Z PAPIERU

Gdy więc autorowie piszą w przedmowie, że w filmie swoim przedstawili wypadki, o jakich „często czytamy w gazetach", twierdzenie to wypadnie uzupełnić, że dzieło ich nie pochodzi z życia odbijającego się w prasie, lecz z papieru, na jakim jest ona wydrukowana. Dotyczy to wszystkich postaci: oto Wojciech, który, ponieważ jest średniakiem, nie może się początkowo zdecydować — tu pomaga w Samopomocy Chłopskiej, tam znów słucha podszeptów młynarza — aż wreszcie triumf gromady przekonuje go i zbliża do niej; oto łącznik z miastem — ten tęgi i barczysty mężczyzna zakazuje chłopaczkom rzucać kamieniami w kułaków, perswadując im paluszkiem, niby dobrze wychowana ciocia: „Nie wolno!" — osiągając mimo woli efekt potężnego komizmu. Wszyscy tu zachowują się, jak zachować się *powinni*, mają stałą świadomość, że patrzymy na nich, liczymy ich zasługi i pochwalimy ich na uroczystej akademii. Nie wierzymy w grozę wrogów młyna — ot, udają tylko, robiąc do nas perskie oko, niby ci krowoderscy statyści w „Kościuszce pod Racławicami", którym trzeba było płacić podwójne stawki, bo inaczej nikt nie chciał grać pobitych Moskali, mimo że do ról kosynierów dość było chętnych za darmo.

Podobnie papierowy jest konflikt, niezdolny nas wzruszyć, skoro od pierwszej minuty wiadomo, że młynarz nie ma żadnych szans zwycięstwa; równie niepodobny do życia jest język przypominający prezentacje w starych melodramatach: „A ja jestem piękna i przewrotna lady Pembrok, właścicielka tego pałacu" — tak samo bohaterowie „Gromady" przedstawiają się nam jako „biedniacy", określając Wojciecha jako „średniaka", młynarza zaś jako „kułaka" — słownictwo, którego w potocznych rozmowach chłopi nie używają, nawet gdy znaczenie tych zwrotów mają na myśli. Podobnie nieprawdziwy jest ów tłum kobiet, wracających z ciężkiej pracy, niby na pocztówce — z miłymi uśmiechami, chusteczkami schludnie zawiązanymi pod brodą i grabiami sztorcem na ramionach.

Na dodatek, w filmie złożonym z szablonów przeniesionych z afisza, wielka scena finałowa, która brzmieć powinna pełnym dźwiękiem fanfar, przypomina raczej zmoczony fajerwerk, ze smutnym psyknięciem gasnący w kałuży; samochody ze zmieloną wreszcie mąką opuszczają wieś w kierunku niejasno określonej „spółdzielni", której w filmie na oczy nie oglądamy, i bohaterowie pozostają na drodze z rękami opuszczonymi i niepewnym uśmieszkiem na ustach. Jest to źle wybrane *unaocznienie*, symbol wizualny nowej gospodarki. Eisenstein w „Linii generalnej" daje inny obraz: armią traktorów ze wszystkich stron horyzontu *nadjeżdża do wsi*, miażdżąc żałosne i ubogie opłotki zacofanej, prywatnej uprawy.

NAUKA „LINII GENERALNEJ"

Porównanie z arcydziełem radzieckiego reżysera uświadamia nam błędy „Gromady" jako filmu o kolektywizacji wsi. Właśnie w związku z „Linią generalną" formułuje Eisenstein swój pogląd na piękno. Pogląd ten przypomina ową scenę ze „Snu", noweli Prusa o studencie, któremu się marzyło, że znajduje się na drugim świecie: widział tam królów w atłasach wyglądających jak stare ścierki, w koronach przypominających zardzewiałą blachę; tymczasem kaftanik ubogiej Żydówki-śledziarki, która co dzień dawała kawałek ryby biedakowi, — błyszczał jak płaszcz gronostajowy. Podobnie w filmach Eisensteina wytworne towarzystwo panów we frakach i dam w sukniach balowych wygląda jak tłum martwych, nieciekawych kukieł obwieszonych materią, pod którą nie czujemy ciała ani krwi; gdy natomiast zjawią się na ekranie twarze chłopów, zniszczone pracą, wyglądają one jak wspaniałe „pejzaże ludzkie", od których oczu oderwać nie możemy, urzeczeni ich patosem i pięknem — gdzie byle jaki łachman drapuje się jak kostium renesansowy, prosta bluza bolszewika błyszczy zaś jak zbroja na pomniku, piękna, bogata i ciekawa.

Nie trzeba więc było bohatera „Gromady" wybierać spośród najładniejszych chłopców z Podgórza, by obudzić w nas entuzjazm dla nowej wsi, ani młynarza robić aż tak odrażającym, by uzyskał nasze niewątpliwe potępienie. U Eisensteina widzimy, jak czterech zaledwie chłopów z wielkiej wsi — spośród setki — podejmuje się gospodarki spółdzielczej, i nie są to bynajmniej młodzieńcy lśniący urodą. Widzimy wieś ogarniętą histerią religijną w wielkiej procesji, domagającej się na próżno deszczu z niebios, widzimy chłopów przerażonych, a następnie zachwyconych cudowną maszyną — centryfugą, sprowadzoną przez spółdzielnię. Widzimy ich wściekłość, lęk i fanatyzm, nad którymi zwolna dopiero triumfuje rozsądek i poczucie chłopskiego interesu. Nie od razu jesteśmy pewni, jak obrócone zostaną namiętności wstrząsające tym społeczeństwem, i niebezpieczeństwo jest tu prawdziwe — przez co triumf jest tym większy. *)

Grzechem głównym „Gromady" jest więc sztampa charakterów zwężająca temat: automatyczne połączenie ładnego z dobrem.

Realizatorzy filmu mogliby na swe usprawiedliwienie powiedzieć, że istnieją gatunki, w których schematyzm nie tylko nie razi, błędem artystycznym nie jest, ale przeciwnie, decyduje o uroku dzieła sztuki, wynika z jego założenia: tak jest w ludowych melodramatach sentymentalnych, w egzotycznych „podróżach", w powieściach „z przygodami", gdzie jakiś „Winnetou-czerwonoskóry dżentelmen" jest najładniejszy, ma najlepszego konia i najcelniej strzela, a to dlatego że broni sprawiedliwości — jego doskonałość pod każdym względem wynika z moralnej aprobaty i entuzjazmu dla idei, którą on reprezentuje. Stąd może młodzieńcza świeżość klimatu „Gromady" kaptująca — mimo wszystko — naszą sympatię. Tonacja ta wszakże łączy się z atmosferą zabawy, stoi na granicy baśni, przenosi nas w klimat nierzeczywistej ballady kowbojskiej.

AUTENTYCZNA WIEŚ KRAKOWSKA

Młodzi reżyserowie „Gromady" mieli przecież inne ambicje, pragnęli pokazać wybrany moment historyczny w całej jego powadze, w miejscu prawdziwym i ściśle oznaczonym. Najbliżsi sukcesu są oni tam właśnie, gdzie obiektywu swego nie przesłonili papierem. Jest tu więc autentyczny klimat wsi podkrakowskiej, z jej łagodnymi pagórkami, z chatami o niskich kwadratowych oknach, jej mszą niedzielną, bryczkami zaprzężonymi w konika, z charakterystycznymi typami chłopskimi w kapeluszach filcowych, podgiętych do tyłu. Jest atmosfera lat przemiany, na zgiełkliwym zebraniu Samopomocy, na budowie nowego młyna o białych ścianach, na roztopie, w którym grzęzną wozy z mąką i łamią się szprychy kół. Jest wreszcie kreacja Mariana Lupy, chłopa-amatora, który gra wahającego się „średniaka" Wojciecha: ten stary rolnik podgórski, o twarzy zawziętej, walczący z sobą samym, przemawiający tonem twardym, niechętnie wypowiadający słowo czułe, a przecież wrażliwy — daje nam raz po raz uczuć żywe ciało i d schematem tekstu, jaki scenarzyści dla niego ułożyli. Bo temat „Gromady" — wielka polemika o wieś współczesną — jest zbyt żywotny by dał się zdusić całymi nawet tonami papieru i pudami sztampy.

Zygmunt Kałużyński

*) To założenie by pokazać całość zagadnienia w pełnym jego patosie, doprowadziło Eisensteina do symbolicznych uproszczeń, które słusznie wytknięto „Linii generalnej" (np. sen kołchoźnicy o krowie większej niż niebo zalewającej wieś swym mlekiem).

SUBSKRYPCJA

SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

J. Karłowicza, A. Kryńskiego, W. Niedźwieckiego

Osiem tomów, format 25x17 cm, około 7200 stron, w trwałej oprawie płóciennej

Przedruk metodą fotoofsetową pierwszego wyd. z lat 1900 — 1927.

Wydawca: Państwowy Instytut Wydawniczy w Warszawie.

Pierwszy tom ukazał się w maju br.
Ostatni wyjdzie z druku w czerwcu 1953

CENA JEDNEGO TOMU ZŁ 125.

Słownik będzie sprzedawany wyłącznie drogą subskrypcji, która trwać będzie do dn. 30 czerwca br.

We wszystkich księgarniach Domu Książki żądajcie prospektów ze szczegółami i blankietów PKO dla zgłoszenia subskrypcji pocztą.

DOM KSIĄŻKI

Zgłoszenia osobiste przyjmują większe księgarnie Domu Książki
Zgłoszenia pocztowe — Centralna Księgarnia Wysyłkowa, Warszawa, Pl. Dąbrowskiego 8.

W obronie Wiecha – przeciw Wiechowi

Przeczytałem w „Nowej Kulturze“ artykuł Błońskiego o Wiechu — i zdziwiłem się. Przeczytałem artykuł Wiecha o Błońskim — i zdziwiłem się jeszcze bardziej. Błoński twierdzi, że p. Piecyk jest głupi, zwiotczały moralnie, bez respektu dla życia rodzinnego i — co tu dużo gadać — były „szmalcownik“. Ma nawet pretensje do autora o brak „rzetelnego potępienia moralnego“ dla swego bohatera. Wiech przeciwnie twierdzi, że p. Piecyk ma piękną kartę okupacyjną, sprzedawał nawet podobno — za jedną „stówę“ — fałszywe ausweisy i broń. Błoński przewiduje, że p. Piecyk w najbliższej przyszłości ulegnie rozwarstwieniu klasowemu: częściowo przeniesie się z Targówka na MDM, gdzie spożytywnieje do reszty i zachowa z dawnych pięknych czasów co najwyżej parę nalotów gwarowych; częściowo zaś stanie się otwartym wrogiem, wobec czego przeniesie się również z Targówka. Tą perspektywą rozwojową p. Piecyka Wiech się już na szczęście nie zajmuje; mówię „na szczęście“, gdyż jest chyba jasne, że p. Piecyk — całkowicie pozytywny lub całkowicie negatywny — nadaje się być może do powieści o odbudowie lub do kroniki sądowej, ale w każdym razie tematem dla humorysty być przestaje. A szkoda!

Co mnie jednak dziwi, to to, że Wiech zgodził się na wyznaczony sobie przez Błońskiego teren pojedynku. Obaj mianowicie zdają się przyjmować założenie, że p. Piecyk powinien być albo pozytywny albo negatywny, czarny lub biały. Założenie to nie wydaje mi się jednak słuszne. Dlaczego — spróbuję wyjaśnić.

Wielcy humoryści przeszłości nie traktowali swych postaci komicznych ani z entuzjazmem, ani też z „rzetelnym potępieniem moralnym“; nie czynili z nich ani wzorców do naśladowania, ani też nie stawiali ich pod pręgierz; odnosili się do nich po prostu z humorem. Nie znaczy to bynajmniej, jakoby Szekspir czy Dickens, Gogol czy Mickiewicz byli czymś w rodzaju „duchowych rentierów“, którzy — wzniesieni ponad sprzeczności tego świata — patrzą nań z pobłażliwego dystansu i „ozłacają go swym pogodnym uśmiechem“. Nie, i humorysta jest po swojemu zaangażowany; teoria, która chce zeń zrobić neutralnego obserwatora, jest nie tyle błędna, co skierowana pod fałszywym adresem.

W istocie najcelniejsze postaci humorystyczne literatury, taki Falstaff, Pickwick, Zagłoba, Iwan Nikiforowicz i in., to przeważnie ludzie w pewnym już wieku, po trosze wycofani z obiegu, którzy rzadko skupiają na sobie główne zainteresowania dramatyczne, a jeśli nawet skupiają, to mają najczęściej przy boku młodzieńczą parę, reprezentującą istotny nurt utworu. Postaci te są zazwyczaj zbudowane na zasadzie kontrastu: mimo pewnych cech odstraszających (np. powierzchowności) posiadają np. „złote serce“. Jeżeli autor ma nawet z nimi jakieś porachunki do załatwienia, to są one albo przebrzmiałe już i niegroźne, albo drugorzędne i — jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — nieantagonistyczne. Słowem, postać humorystyczna to — albo człowiek przedwczorajszy, z którym się już nie walczy, którego należy nawet zrehabilitować i ocenić ze stanowiska pojednawczej syntezy; albo też ktoś, kto posiada co prawda pewne wady, ale wady niegroźne i warte co najwyżej uśmiechu (np. opilstwo i tchórzostwo Falstaffa czy Zagłoby). Tam jednak, gdzie zaczyna się ostry konflikt, tam kończy się dziedzina humoru. Krytycy zatem, którzy zarzucają Wiechowi drugorzędność i nieistotność opisywanych przezeń konfliktów, nie spostrzegli się nawet, iż właściwie zarzucają mu to, że jest humorystą.

Dla społeczeństwa burżuazyjnego, w którym narodziła się humoreska Wiecha, groźny był bandyta, groźny był — z innej strony — rewolucjonista: obu karało ono wieloletnim kryminałem i „rzetelnym moralnym potępieniem“; ale sprawcy drobnych ulicznych awantur zasługiwali — w jego opinii — co najwyżej na parotygodniowy areszt i na — niewykluczającą pobłażliwości czy nawet sympatii — lekką naganę moralną w „Czerwoniaku“.

Czy w obecnych warunkach humoreska Wiecha może się ostać czy też musi się przerodzić w „chłoszczącą satyrę“? Pytanie to — szczególnie naglące wobec pesymistycznych zapowiedzi krytyków, wieszczących bliski koniec p. Piecyka — zdaje się dotyczyć nie tylko jego osobiście, ale w ogóle losów humoru w państwie budującym socjalizm. Czy w tym okresie zaostrzania się sprzeczności pozostało jeszcze miejsce dla nieantagonistycznych, drugorzędnych konfliktów, a więc dla pobłażliwości i uśmiechu? Sądzę, że tak. Nie moją jest oczywiście rzeczą podsuwanie tematów Wiechowi, który okazuje w tym względzie niewyczerpaną wynalazczość. Tak np. źle napisana lub wystawiona sztuka nie jest zapewne obiektem, godnym „rzetelnego potępienia moralnego“, a zasługuje co najwyżej na taką recenzję, jaką o niej wygłosił p. Piecyk. Tematów takich rzeczywistość nasza dostarcza i będzie dostarczać Wiechowi pod dostatkiem. Niech mi tedy pozwolą krytycy, abym — mimo ich melancholijnych proroctw — był jak najlepszej myśli co do przyszłych losów i perspektyw rozwojowych p. Piecyka.

Artur Sandauer

WŚRÓD KSIĄŻEK

NOWY DEBIUT

Julian Dawidowicz: „Ucieczka“. KiW. Warszawa 1952.

„Ucieczka“ jest pierwszą książką Juliana Dawidowicza. Tym już budzi naturalne zainteresowanie. Intrygę „Ucieczki“ wyznaczają perypetie Jana, wywiezionego na przymusowe roboty w okolice Kassel. W tym miejscu do rangi sprawy zasadniczej urasta problem pisarskiego spojrzenia na niemiecką wieś. Dawidowicz dostrzegł w niej ludzi przeciwnych faszyzmowi. Więcej, trafnie zaobserwował siły społeczne, z których rekrutują się powątpiewający w prawdomówność przywódców NSDAP i w słuszność norymberskich ustaw. Portrety Hitlera wzniecają entuzjazm w kułakach, powodują wzruszenie drobnomieszczan. Nie wywołają jednak emocji wśród bezrolnych, nie wprowadzą w entuzjazm Paukego. Dawidowicz wie, na kim opierał się faszyzm w Frohnhausen, skąd brali się adoratorzy trzeciej Rzeszy i członkowie partii narodowo-socjalistycznej. Jego wiedza w tej materii formuje najlepsze, najbardziej realistyczne karty powieści. W nich to zamknięto panoramę niemieckiej wsi, nakreśloną wprawdzie szkicowo, na marginesie rozwoju zasadniczych wątków fabularnych, pokazującą jednak, kto popierał mit o germańskim imperium i komu mit ów służył. Naprzeciw moralności ludzi broniących imperializmu i przez imperializm wychowanych, naprzeciw moralności Tucha, Tosmana i gestapowca Muellera staje w „Ucieczce“ moralność ludzi socjalizmu. Jej dokładnemu i możliwie jak najbardziej ścisłemu opisowi poświęcona jest postać Tani.

Czy opis ten jest trafny, czy diagnoza w nim sformułowana wymaga jakichś bardzo poważnych, bardzo istotnych uzupełnień? Wydaje nam się, że nie. Etyka człowieka radzieckiego, ukształtowana poprzez inny układ stosunków społecznych niżeli ten, w którym żył Jan i w którym żyje Pauke, przedstawiona została w sposób wierny. Uchwycono jej najbardziej charakterystyczne rysy, nadając tym samym szczególną siłę przeciwstawieniu zbudowanemu na prawach kontrastu. Tu jednak kończy się „przejrzystość“ powieści. Wkraczamy obecnie w dziedzinę autorskich tajemnic. Od razu napotykamy tu postać Jana. Niewątpliwie najbardziej zagadkowy to bohater w powieści Dawidowicza. Nie orientujemy się, kim był przed wojną, nie znamy jego przekonań, domyślamy się ich raczej, biorąc za podstawę naszych przypuszczeń emfatyczne i niejasne deklaracje Jana. Ta aura niedomówień otaczająca głównego bohatera dzieła nie pozwala nam zorientować się, kogo prozaik mianował centralną postacią swej książki. Realizm „Ucieczki“ ulega tutaj załamaniu. A załamanie to powoduje tym żywsze pretensje krytyka, iż konsekwencją wytrwałego milczenia Dawidowicza o przeszłości postaci stać się może przekonanie, iż mamy tu do czynienia z dziejami jakiegoś anonimowego i abstrakcyjnego „człowieka“.

Ostatnie zdania powieści informują o pożegnaniu Jana, Tatiany i Mietka wyjeżdżających z Niemiec do swych krajów. Pauke krzyczy wówczas do nich: „Nasz związek już wkrótce ogarnie ludzki ród“. Świadczy to o przekształceniach ideologicznych, jakim podległ ów dobrotliwy pracownik poczty. Metamorfozy jego skłaniają do licznych powątpiewań, jeśli nie do całkiem usprawiedliwionej nieufności. Przemiany Paukego dokonywają się bowiem gdzieś w ukryciu. Widzimy tylko ich efekty. Nie wyobrażamy sobie nawet motywów determinujących ewolucję Paula. Dawidowicz pragnął widocznie sprawić nią niespodziankę czytelnikom.

Grozi tu widmo schematu, żądającego, by każdy człowiek o „dobrym sercu“ zajął przynajmniej w finale utworu słuszne pozycje polityczne, schematu podważającego wiarygodność autorskiej relacji i osłabiającego wymowę powieści. Chciałoby się wierzyć, iż jest to jedynie mankament debiutu, że w następnych swych książkach Dawidowicz szczęśliwie uniknie przełomów „ułatwionych“ i pozbawionych beletrystycznego uzasadnienia.

Lech Budrecki

KSIĄŻKA O LATACH MIĘDZYWOJENNYCH

Marcelina Grabowska: Antoni Mroczek poznaje świat. PIW, 1952. str. 259 + 1 nlb.

Powieść Grabowskiej obejmuje lata mniej więcej 1920 — 27. Jest to okres powojennego kryzysu, spadającego swoim ciężarem na barki mas pracujących, gwałtownego wznoszenia się fali walki klasowej, dywersyjnej, oszukańczej polityki PPS, faszystowskiego zamachu Piłsudskiego. A jednocześnie okres coraz większego rozszerzania się wpływów KPP, objęcia przez nią kierownictwa walki klasowej proletariatu miejskiego i wiejskiego.

Na jakie zjawiska skierowana jest uwaga autorki? Na indywidualną tragedię uczciwych, ale oszukanych robotników, sprowadzoną do wewnętrznych rozterek i refleksji, nie wpływających jednak na działalność bohaterów, nie zbliżających ich do prawdziwego hegemona proletariatu polskiego, do KPP. A tak działała przecież logika walki klasowej. Podobny do tych ludzi, jakich pokazała nam Grabowska, ludzi, którzy nie czynią kroku ani naprzód, ani w tył, tylko tkwią w miejscu, przeżuwając wciąż gorzkie refleksje, był raczej liczny zastęp inteligentów. Prędzej czy później i oni jednak musieli się angażować po tej lub po tamtej stronie. Tak przebiegał proces typowy i ukazanie go było zasadniczym zadaniem pisarki.

Antoni, w intencji autorki, ma być postacią centralną, łączyć wszystkie konflikty powieści, pokazywać wreszcie drogę, której nie widzieli przed sobą jego starsi towarzysze. Jest jednak postacią zupełnie przez autorkę nieuprawdopodobnioną. Chłopiec nie posiada żadnej konkretnej wiedzy o świecie — jego życie na wsi jest czymś tak umownym i nie mającym żadnego wpływu na jego dalsze losy, że można by założyć, iż urodził się od razu 12-letnim chłopcem na jednej z ulic Warszawy. Przy tym to dziecko, tak ciężko doświadczone przez życie, niepiśmienne, rozumuje jak dorosły inteligent, mówi i myśli nieznośnie refleksyjnym, inteligenckim językiem. O dojrzewaniu Antoniego tylko się mówi — nigdzie się go nie pokazuje. Autorka ogranicza się do krótkich relacji tego np. typu, że Antoni całe noce włóczył się po mieście. Jakiż był sens i plon tych wędrówek?

Postacie książki są monotonnie jednakowe. Odgranicza je tylko etykietka przypięta przez autorkę: PPS-owiec, KPP-owiec, dyrektor, nauczyciel. Wszystkie mówią tym samym językiem, tym samym inteligenckim, bladym, kiepsko-publicystycznym stylem. Wszystkie są tak nieznośnie posłuszne autorce, że zatraciły całkowicie swą indywidualność, swoje życie, swój związek z rzeczywistością. Tworzy się je motodą powielania; można by je wyżąć z wody i np. wszystkich PPS-owców zlepić z powodzeniem w jedną postać i to nie zanadto bogatą. Wszystkie bowiem powtarzają jeden i ten sam problem, tę samą sytuację życiową. Autorka ilustruje nimi tragedię zawiedzionych przez górę partyjną mas PPS-owskich. Wszyscy oni są uczciwi, a oszukani, wszyscy doskonale zdają sobie sprawę ze zdradzieckiej polityki PPS, tylko żaden nie wyciąga z tego wniosków, żaden **nie myśli**. Przy tym autorka nie pokazuje żadnej drogi wyjścia — Paweł umiera, Karwasz ginie od przypadkowej kuli w czasie zamachu majowego, Darowski w ogóle gubi się przy końcu powieści. Przytym w kreśleniu tych postaci autorka popada w sprzeczności. Weźmy dla przykładu Pawła. Początkowo autorka sugeruje, że nie był nawet w PPS-ie, że dał się zagarnąć żywiołowo przez ruch robotniczy, że przyczyną jego dalszej bierności, obcości były jakieś metafizyczne cechy jego charakteru. Dalej jednak okazuje się, że Pawła odsunęła od ruchu robotniczego obłudna postawa władz PPS, że rozumie on i wyczuwa fałsz klasowy w działalności PPS.

W założeniu autorki przeciwstawieniem PPS-owców jest rodzina Bieńków, aktywistów KPP-owskich. Przeciwstawienie to jest zbudowane jednak na zasadzie wyłącznie deklaratywnych wypowiedzi obojga Bieńków (nawet 13-letni Staszek Bieniek rezonuje jak stary działacz). Uogólnienia dokonuje autorka wyłącznie w komentarzu własnym, a nie w ramach obrazu artystycznego. Powierzchowne przyswojenie sobie problemu ideologicznego sprawiło, że autorkę nie stać na podbudowanie komentarza materiałem życiowym, który jest jej zupełnie obcy. Z tych samych źródeł wywodzą się inne błędy książki. Autorka nie widzi jasno swego podstawowego założenia, więc nie umie podporządkować materiału logice ideowo-artystycznej powieści za pomocą odpowiedniej selekcji. Szereg partii książki nie spełnia żadnej funkcji, niczym nie usprawiedliwia swojej obecności w powieści. Np. cała „tragedia“ domowa dyrektora Garnera, nadmiernie rozbudowana, przeraźliwie banalna i nudna historia o bogatym dyrektorze, który jest kobieciarzem, więc zaniedbuje dzieci, skłania żonę do opuszczenia domu, w końcu rozchodzi się z nią dla sprytnej sekretarki Anny.

Mówiłam już o braku obrazu artystycznego w książce. Ujawnia się to w przerzuceniu najważniejszego, ideowego sensu książki na komentarz autorski i w całkowitym niemal braku realistycznego opisu. Akcja książki toczy się w Warszawie, tymczasem nie wiemy o niej nic poza nazwami ulic. Wszystko odbywa się w próżni. Oto charakterystyczny fragment: „Po raz pierwszy znalazł się w typowym robotniczym mieszkaniu. Jego odrębność odczuł zaraz w pierwszej chwili. Nie dano mu jednak czasu na obserwacje“. Autorka dosyć pomysłowo wykręca się od trudu pokazania, jak wyglądało to mieszkanie i na czym polegała jego odrębność. Takich przykładów są dziesiątki.

Przy tak istotnych błędach książka Grabowskiej nie może spełnić swego zadania. Troska o głębsze poznanie praw i realiów przedstawianej rzeczywistości, o lepsze władanie sztuką obrazowania literackiego — powinny być wytyczną w dalszej pracy pisarskiej autorki.

Hanna Kirchner

TU CHODZI O ZESPÓŁ...

Adam Bahdaj: „Ich pierwszy start“. Str. 314. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Warszawa 1951.

„Ich pierwszy start“ jest historią powstania i rozwoju Ludowego Zespołu Sportowego we wsi podkarpackiej.

„Wyjściowym“ bohaterem jest wielokrotny mistrz Polski w skokach narciarskich, góral, Jędrek Łyszczarz. Doświadczony zawodnik, mający przed sobą wiele innych możliwości, wybiera pracę wśród młodzieży góralskiej, a więc powraca do środowiska, z którego wyszedł, które zna. Ale jak już zaznaczyłam, sam Łyszczarz jest tylko bohaterem wyjściowym, pochłonięty pracą trenerską i wychowawczą zespołu, stworzy nierozerwalną z nim całość. Bohaterem będzie młody zespół chłopców i dziewcząt, których upartą wolą i entuzjazmem powstał LZS — Łopuszna. Będą musieli przełamać niezliczone trudności nim staną się przodującym zespołem okręgu i zdobędą swoje pierwsze mistrzostwa.

„Sport to komunistyczna propaganda“, „odrywają młodzież od pracy“, „chcą „zabrać“ do ZMP“ — tak przyjęli kułacy pierwsze poczynania zespołu. Za propagandą słowną poszły czyny. Młodzieży zabroniono „sportować się“. Gdy to nie pomagało, nie dawano miejsca na boisko, gdy wreszcie młodzież zdołała urządzić sobie boisko, to je w nocy zaorano, trenera obrzucano kamieniami i groźbami, szatnię, która była dumą zespołu, owocem wielu starań i pracy — spalono. Takie były przejawy walki klasowej, jakie wywołało pojawienie się sportu na wsi. W walce i pokonywaniu trudności rósł zdrowy, mocny kolektyw dziewcząt i chłopców Łopusznej. Sport zwyciężył i zmienił nie tylko życie młodzieży, ale i oblicze wsi. Gdy zespół urządzał zawody, przychodziła cała wieś. Początkowo z niechętną ciekawością, później z entuzjazmem. Każde zwycięstwo zespołu było dla wsi przeżyciem — przecież to ich, łopuszniańskie dzieci!...

Bahdaj nie idealizuje warunków, w jakich rósł zespół, śmiało pokazuje trudności. Oprócz ostrej walki klasowej, która wywiązała się wokół LZS, mamy silne tarcia w samym zespole. Zespół przechodzi kryzys, grozi mu rozpadnięcie się, jednak trzon kolektywu jest już tak silny, że i tym razem zwycięża. Odpadają elementy kułackie i chociaż byli to dotąd najlepsi zawodnicy, zespół po ich odejściu staje się jeszcze bardziej zwarty, a miejsce dawnych mistrzów zajmują nowi.

Bahdaj pokazuje nowy typ zespołu w niczym już nie przypominający zakopiańskich „klubów“ i nowy typ zawodnika, u którego zdrowa rywalizacja zastępuje ambicje osobiste, dla którego pierwszą troską i dumą jest własny zespół, kolektyw bliskich mu ludzi. Jędrek, dawny parobek od kułaków Krętych, do zwycięstwa na mistrzostwach juniorów dochodzi olbrzymim nakładem pracy i wielką siłą woli, która nie pozwala mu załamać się i każe walczyć do ostatnich sił. Jędrek jeśli się wybija, to właśnie dzięki zespołowi i dla zespołu.

„Ich pierwszy start“ pokazuje jedną z dróg przemian społecznych na wsi. Młodzi z Łopusznej wciągnięci do życia w kolektywie zaczynają odczuwać potrzebę pracy kolektywnej, zaczynają sami dochodzić do uznania jej słuszności. Dobrze prowadzony zespół sportowy, wyrabiając poczucie kolektywu, przygotowuje w psychice młodzieży grunt dla sprawy spółdzielczości produkcyjnej.

Książkę czyta się z przyjemnością i zainteresowaniem, napisana jest swobodnie, żywo i z pewnym humorem.

A. Bukowska

Kilka słów wyjaśnienia

Głos St. Lema nie wpłynął na zmianę mego stanowiska wyrażonego w art. pt. „Nieco abstrakcyjny spór o „Astronautów“, zabieram jednak jeszcze raz głos w dyskusji, ponieważ zależy mi na wyjaśnieniu nieporozumień w sporze z autorem.

Mój pierwszy i zasadniczy zarzut, że oparł on całą konstrukcję swojej powieści na ogólnikowych i mętnych pojęciach, że mianowicie stosuje kryterium abstrakcyjnej moralności, Lem zbija następującym rozumowaniem: „Działanie ludzi w konflikcie z inną planetą wyprowadza się ze słów uczonego“ (45 str.), „My, ludzie, nie uważamy się za lepszych, ani za gorszych od wszystkich innych mieszkańców wszechświata“. — „Środki, którymi rozporządzamy są tak potężne, że pod względem technicznym jesteśmy zupełni wolni, to znaczy, że wybór naszego postępowania wobec nieznanych istot nie jest skrępowany warunkami materialnymi i dlatego przenosi się do dziedziny ocen moralnych“. — Definicja „postępowania należącego do dziedziny ocen moralnych, jako nieskrępowanego warunkami materialnymi“, jest określeniem wyraźnie idealistycznym. Na podstawie tak wyprowadzonych norm moralnych ludzie przyszłości w książce Lema podejmują uchwałę. Nie mam za złe bohaterom powieści Lema, że przeprowadzają swoje uchwały większością głosów. Nikt z wyjątkiem autora nie może ich zmusić, żeby podejmowali logiczne czy nielogiczne decyzje. Ale do autora można mieć pretensje o to, że sprawę obrony ludzkości przed inwazją nieznanych stworzeń sprowadza do oderwanych zagadnień moralnych, ze szkodą dla prawdopodobieństwa akcji.

To samo tyczy i sprawy Wenusjan: zarzucam Lemowi, że giną oni dlatego, że napadli na Ziemię, a nie dlatego, że żyją w określonym antagonistycznym społeczeństwie. Lem w swojej wypowiedzi stwierdza, że „być może nie udało mu się“ przedstawić struktury społeczeństwa na Wenus. Istotnie nic mogło się udać, gdyż nie ma ani jednej próby ukazania sprzeczności, które targały wenusowym społeczeństwem. Wenusjanie żyją myślą o zagładzie Ziemi (str. 329). Nie czytamy o nich nic więcej ponad to, że spierają się o Ziemię. I z powodu tego swojego „opętania Ziemią“ Wenusjanie giną.

Toteż Lem, nie ja, dowodzi, że zginęli oni z powodu swojej „niezdrowej pasji“ do naszej planety; a nie z powodu wewnętrznych sprzeczności społecznej struktury. (W książce Lema — wyrażenia „niezdrowa pasja“ ani „opętanie Ziemią“ nie jest użyte. Posługuję się nimi, bo trudno mi powtarzać całe strony (str. 329 — 334) książki).

Również w książce Lema nie były użyte słowa „rozgardiasz“ i „nieporządek“ (nie podawałam ich zresztą jako cytatów, gdyż wówczas musiałabym podać ich strony. Cudzysłów nie zawsze oznacza przytoczenie cudzych słów. Nieraz znaczy po prostu, że słowa użyte w danym tekście są obce człowiekowi, który musi się nimi posługiwać). Słowa „nieporządek“ i „rozgardiasz“ malują plastycznie stosunek do przeszłości bohaterów Lema: np. Sześcioletni chłopiec pyta ojca co to jest „łamistrajk“ i „milioner“ (str. 110). „Ojciec zaczął mówić do matki gniewnie... „nie chcę, żeby mi truł chłopca tymi czarnymi wspomnieniami“ — zawołał“.

Lem przytacza jako dowód właściwego stosunku swoich bohaterów do przeszłości, następującą scenę: młodzież (14 lat liczy najmłodszy) w szkole nauczyła się wprawdzie coś niecoś o naszej epoce walki i heroizmu, ale dopiero przypadkowo spotkany profesor musi im tłumaczyć, że w epoce tej nie wszyscy byli głupi i dzicy. Nie wymienia zresztą ani jednego konkretnego bohatera. Ożywia się za to, kiedy stawia za przykład chłopcom swojego nauczyciela.

Nie, tradycja marksizmu nie jest dla tych humanitarnych uczonych żywa.

Bohaterowie Lema posługują się fałszywą logiką, a należą do elity umysłowej społeczeństwa.

Wszystkie te zarzuty świadczą o jednym — o braku dostatecznie mocnej podbudowy ideologicznej „Astronautów“. Wydaje mi się, że to jest zarzut naczelny, z którego wypływają inne. Wydaje mi się także wytykanie ideologicznych i artystycznych braków, to nie jest mówienie o tym, „czego w książce nie ma“.

Chociaż w swojej wypowiedzi Lem twierdzi, że nie wartościował moralnie postępowania istot, które użyły broni atomowej, książka jego ma jednak inną wymowę. Lem postępowanie Wenusjan wartościuje dlatego, że symbolizują oni w jego utworze imperialistycznych zbrodniarzy. Lem chciał swoją alegorią przysłużyć się bez wątpienia sprawie pokoju.

Dlatego omówieniu tej powieści przeznaczono tyle miejsca. Książka służy dobremu celowi i jeżeli nie spełnia swojego zadania w 100%, powodem tego jest brak w przeprowadzeniu głównej myśli.

Jeżeli przekonanie, że książką swoją Lem włącza się do wielkiego ruchu obrońców pokoju nie zostało wypowiedziane wprost w recenzji, stało się to dlatego, że uważam to przekonanie, tkwiące u podstaw moich nad „Astronautami“ rozważań, za rzecz tak oczywistą, że wypowiedzenie go expressis verbis uznałam za zbędne.

Zofia Woźnicka

O PARTYZANTCE BEZ FAŁSZYWEJ STYLIZACJI

Anna Lanota „Droga przez Las“ — wyd. MON, W-wa 1951, red. K. Żywulska.

Zbiór opowiadań Anny Lanoty należy do trudnego, mimo pozorów, rodzaju — są to bowiem opowiadania partyzanckie. Na autora czyha tu pseudo-romantyczność „leśnych chłopców“, niejeden doświadczony pisarz zbaczał na fałszywe drogi, gdy dał się pociągnąć temu tematowi.

Tym większa zasługa młodej autorki, że oparła się łatwiźnie, nie spłyciła swojej partyzantki — jednym słowem znalazła prostą drogę przez las.

Autorka prawdziwie oddaje realia partyzanckiego życia, świadczy to o dobrej znajomości tematu. Oddział leśny, który opisuje Lanota, ma wyraźne oblicze polityczne, nawet bez wymieniania nazwy wie się dobrze, że to Armia Ludowa. Do najlepszych należą opowiadania: „Sąd“ i „Rekwizycja“, w których akcja polityczna wysuwa się na pierwszy plan. Jednak poziom opowiadań, zamieszczonych w zbiorku, jest nierówny. Nieraz autorka zadowala się powierzchownym obrazkiem tam, gdzie temat wymaga bardziej ambitnego opracowania, na które przecież ją stać, o czym świadczy np. wspomniany już „Sąd“. W „Moście“, „Pierwszym Zrzucie“, „Przybyszu“ autorka w ogóle nie nawiązuje fabuły, nie stara się charakteryzować bohaterów. Przez to właśnie zbiór opowiadań zostaje tylko zbiorem opowiadań, nie staje się zaś, choć było to prawdopodobnie zamierzone sądząc z identyczności nazwisk i logiki w układzie chronologicznym — cyklem, w którym plastycznie i wielostronnie, choć w luźnych epizodach, miał być przedstawiony los jednego oddziału.

Ten zamiar się nie udał, mimo, że niektóre postaci (przede wszystkim Świerk) są żywe i nadawałyby się do rozwinięcia. Nieśmiałość nie wyszła na zdrowie także opowiadaniu pt. „Zasadzka“, została tu wprawdzie nawiązana ciekawa akcja, zarysowuje się konflikt: młoda, bardzo naiwna dziewczyna, wysłana na zwiady, nie ma odwagi ani wykonać poruczonego jej zadania, ani wrócić do oddziału i przyznać się do tchórzostwa. Wobec tego podaje dowództwu nieprawdziwe, zmyślone dane o siłach nieprzyjaciela, ale gdy już jest za późno, by wrócić, postanawia przyznać się do swego czynu dowódcy. Jak został osądzony postępek Marysi, jak na nią wpłynęły tego czynu konsekwencje — te wszystkie pytania autorka zostawiła bez odpowiedzi. Nie wiemy nawet, czy przyznała się dowódcy: w momencie decydującym po prostu opuszczamy bohaterkę, opowiadanie kończy się opisem potyczki, dosyć banalnym.

Anna Lanota jest debiutantką, debiut jej spełnia wiele, więcej obiecuje. Może wróci jeszcze do „leśnych ludzi“ i da żywą wizję ich życia.

Z. W.

Ukazał się 1 (3) numer

„MYŚLI FILOZOFICZNEJ“

W NUMERZE:

Stefan Jędrychowski — Podstawowe cechy charakterystyczne Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.
Stefan Rozmaryn — O współczesnych konstytucjach imperialistycznych.

W SPRAWIE METODY BADAŃ SPOŁECZNYCH
Zenon Tomaszewski — Z badań terenowych Instytutu Ekonomiki Rolnej.

Z POSTĘPOWYCH TRADYCJI MYŚLI SPOŁECZNEJ W POLSCE
Historia polskiej postępowej myśli społecznej i filozoficznej XIX w. (do 1864).
Bogdan Suchodolski — Filozofia polska w dobie rozkładu feudalizmu.
A. D. Aleksandrow — O idealizmie w matematyce.

KRYTYKA I POLEMIKA: Adam Schaff — Poglądy filozoficzne Kazimierza Ajdukiewicza. **Tadeusz Kotarbiński** — Humanistyka bez hipostaz.

IDEOLOGICZNE OBLICZE IMPERIALIZMU
Jan Jarosławski — Ideologia WRN — Ideologia agentury imperializmu USA.

BIBLIOGRAFIA: Emil Adler — Książka o Hercenie. **Jan Strzelecki** — Drogi i bezdroża polskiej inteligencji. **Tadeusz Kroński** — Świat w klamrach ontologii. **Stanisław Skowron** — Naukowe odkrycia i antynaukowe koncepcje.

Posiedzenie Rady Redakcyjnej **Myśli Filozoficznej**. Konferencja informacyjna socjologów i historyków myśli społecznej. Konferencja poświęcona nauce Pawłowa. Dyskusja nad pracą G. Missalowej: Wpływ francuskiego socjalizmu utopijnego na polską postępową myśl pierwszej połowy XIX w. Nadanie doktoratu honorowego UW Franciszkowi Fiedlerowi.

Tematyka prac dysertacyjnych z materializmu dialektycznego i historycznego w IKKN przy KC PZPR.

Do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI“. Cena 10 zł.

ZWYCIĘSKA BATALIA

(Dokończenie ze str. 1-ej)

naszej codziennej walki i pracy, stworzyć tak przekonywające, głęboko ludzkie postacie jak Carter i Malley, a w oświetleniu negatywnym Lewis w „Zwykłej sprawie", jak Stefan i sekretarz partii w „Tysiącu walecznych", jak Pietrzakowa w „Zwycięstwie" zespołu Łódzkich Zakładów im. Stalina, Domagała w „Trzeba było iskry" zespołu Wojewódzkiego Domu Kultury w Krakowie, Ojciec w sztuce Aleksandra Maliszewskiego pt. „Wczoraj i przedwczoraj" granej przez zespół Domu Górnika w Krośnie... Można by długo jeszcze wyliczać.

Innym przykładem twórczych talentów, którym należy pomóc w ich rozwoju, są dwie sztuki samorodne: „Wiejskie Kino" i „Śmiały pomysł". „Wiejskie Kino" — to dwuaktowa komedia muzyczna napisana i reżyserowana przez Jana Tonowicza, pracownika Okręgowego Zarządu Kin w Poznaniu. Wdzięk i dowcip idzie w niej o lepsze z żarliwością ideową. Oryginalne pomysły komediowe w sposób celny i lekki przekazują zdrową tendencję wychowawczą. Na tle naszego ubogiego dorobku komediowego utwór ten, mimo pewnych nieporadności, może zająć pozycję zupełnie wyjątkową. Druga sztuka samorodna pt. „Śmiały pomysł" jest dziełem racjonalizatora Józefa Nowaka, który niedawno otrzymał premię za pomysł racjonalizatorski, polegający na skon-

Rys. E. Ałaszewski

Danuta Baduszkowa — reżyser „Zwykłej sprawy", sztuki w wykonaniu zespołu kolejarzy z Czechowic (I nagroda dla reżysera).

struowaniu aparatu chroniącego pociągi od katastrofy. Obecnie nagrodzono jego debiut literacki, który świadczy o talencie zasługującym na pieczołowitą opiekę.

Osiągnięcia te, nie są — rzecz jasna — wynikiem jakiejś żywiołowości, ale wszechstronnej pracy samokształceniowej, studiów pomocniczych, dyskusji i ciągłego pogłębiania świadomości politycznej. Im lepiej zorganizowana była praca samokształceniowa, tym lepsze osiągnięto rezultaty artystyczne. Płyną stąd dalsze wskazania, z których na plan pierwszy wysuwa się poważne zagadnienie kadr instruktorskich oraz realnej pomocy i przyjacielskiej współpracy teatrów zawodowych z ruchem amatorskim W tym zakresie fastiwal wykazał największe braki. Od pracy instruktora teatralnego zależy właściwie wszystko: świadomość i wiedza zespołu, styl jego pracy samokształceniowej, poziom przedstawienia. Na podstawie materiału zebranego w festiwalu można stwierdzić, że praca dobrych instruktorów dała ciekawsze i lepsze wyniki, niż praca aktorów zawodowych. Oczywiście, i tu można było zanotować pomyłki i błędy, wynikające z braku odpowiednich kwalifikacji czy zdolności, niekiedy zaś z naśladowania złego zawodowstwa. Zdarzało się, że w eliminacjach centralnych były dwie i trzy prace reżyserskie tego samego instruktora, podczas gdy trudno wymagać nawet od najlepszego reżysera, aby równocześnie opracowywał kilka sztuk. Można było zauważyć innego typu objaw pseudozawodowych ambicji w wypadkach, gdy zespół był dla instruktora pretekstem dla pokazania siebie jako aktora w popisowej roli. W takich wypadkach praca instruktora teatralnego mijała się z celem.

Sukces reżysersko-pedagogiczny Danuty Baduszkowej był przejawem wybitnego talentu i przemyślanej metody; jeśli dorzucimy tu dwie następne nagrodzone pozycje — H. Winowicz za „Tysiąc walecznych" i W Łęckiego za „Wczoraj i przedwczoraj" — oraz wyłowimy jeszcze dwie lub trzy z pozostałych, będziemy mieli niemal że całość wzorowych osiągnięć, na których można oprzeć wnioski, dotyczące szkolenia kadr instruktorskich.

Niemniej ważnym czynnikiem który winien kształtować oblicze ruchu amatorskiego, i to w obopólnym interesie, jest stała i realna współpraca teatru zawodowego z fabryką i świetlicą. W obecnym stanie rzeczy jest ona niewystarczająca i zbudowana na zupełnie fałszywych przesłankach.

Warto zastanowić się nad przyczynami takiego stanu, rozpatrując je w aspekcie korzyści, jakie przyniesie teatrowi zawodowemu zacieśnienie więzów przyjaźni z ruchem amatorskim. Za mało mówi się u nas o przyczynach niepowodzenia sztuki, a nawet jeśli się je zna, nie wyciąga się z tego konsekwencji. Poważną odpowiedzialność za ten stan ponosi krytyka, która nie wydobywa w sposób dość precyzyjny tego właśnie momentu, nie umiejąc jeszcze patrzyć na spektakl analitycznie, od strony zespołu elementów, składających się na dzieło sztuki teatralnej. Stąd częste sprzeczności w ocenie, stąd niesprawiedliwe częstokroć sądy, na których cierpi zarówno autor, reżyser jak aktor, zarówno teatr jak literatura. A także publiczność.

Kilkanaście zaledwie przedstawień sztuki Leona Pasternaka na scenie teatru „Kameralnego" w Warszawie i jej olbrzymie powodzenie na scenach teatrów świetlicowych — to problem domagający się wyjaśnienia.

Zastanówmy się tylko nad jedną z wielu zawrotnych cyfr festiwalu, w którym wzięło udział około 1.200 zespołów. Wiele z nich wystawiło po dwie, trzy i cztery sztuki polskich pisarzy. „Trzeba było iskry" należała do bardziej popularnych. Aż trzy inscenizacje tej sztuki doszły do eliminacji centralnych. Przedstawienia festiwalowe obejrzało ponad pięć milionów widzów. O czym świadczą te cyfry? Mówią one, że teatr zawodowy ciągle jeszcze bazuje na mieszczańskim odbiorcy, że ciągle nie umie znaleźć kontaktu z nowym, robotniczym widzem.

Wiemy jak wzrosły nakłady książek i gazet, ale wiemy też, że książka i prasa umiały trafić do nowego czytelnika w teatrze również wiele się pod tym względem zmieniło, zwłaszcza w porównaniu z okresem przedwojennym. Mimo to trudno powiedzieć, że teatr posiadł wiedzę werbowania widzów. Ci, których zjednał, przyszli sami lub za pośrednictwem związków zawodowych. Tymczasem teatr nie może czekać na widza, ale musi do niego pójść i sprowadzić go do siebie.

Popularyzacja sztuki wymaga wysiłku, który winien stać się obowiązkiem społecznym każdego artysty. Teatr musi zachęcić nowego widza, zainteresować go swoją twórczością, informować o swoich planach artystycznych, osiągnięciach i trudnościach. System taki obu stronom przyniesie ogromne korzyści.

A tymczasem do zespołów robotniczych — poprzez które wiedzie najprostsza droga do robotniczego widza — wysyła się przeważnie takich aktorów, dla których trudno znaleźć zajęcie w teatrze. Powinni do nich pójść właśnie najwybitniejsi artyści — z recytacjami, fragmentami sztuk, prelekcjami. Popularyzacja repertuaru, wspólne dyskutowanie planów i zamierzeń artystycznych, spotkania i konferencje z widzami — to również jedna z dróg wyjścia z kryzysów programowych A także cenna i potrzebna forma pomocy dla ruchu amatorskiego.

rys. E. Ałaszewski

Emanuel Mendel jako Lewis w „Zwykłej sprawie".

Ruch amatorski stał się siłą, której nie można protekcjonalnie poklepywać po ramieniu To pełne dynamiki i prężności zaplecze teatru. Festiwal wykazał, że nie każdy aktor może pracować z amatorami, nie każdy potrafi im przekazać wiedzę teatralną i właściwie pokierować surowym artystycznie zespołem Stąd wniosek, że do teatru świetlicowego może pójść tylko aktor odpowiednio przygotowany W tym celu należałoby przemyśleć i opracować zagadnienie metod pracy w zespołach amatorskich, opierając się zwłaszcza na bogatych doświadczeniach radzieckich.

Kilka słów o repertuarze. Festiwal dowiódł, że słusznie orientuje się zespoły na sztuki pełnospektaklowe. Potwierdził też słuszność tezy, że nie ma żadnych różnic między repertuarem teatrów zawodowych i świetlicowych, z wyjątkiem różnicy powodzenia, jakim cieszą się sztuki o aktualnej problematyce współczesnej u robotniczego widza. Nie ma w tym nic dziwnego, że aktor-robotnik świetnie reaguje na polityczną treść konfliktów, zaś widz robotniczy znakomicie je odbiera. W zetknięciu ze sztuką współczesną załamała się większość konwencji starego teatru, dlatego tam, gdzie nie są one potrzebne, znajdujemy trafne odczucie prawdy środowiska i konfliktów. Widać to było nawet w sztukach odrzuconych przez teatry zawodowe, w takich jak np. „Górnicy" Anatola Sterna w inscenizacji zespołu Domu Górnika „Wirek" w województwie katowickim.

Wielką ilość „Wodewilów warszawskich" w festiwalu należy natomiast uznać za objaw niepokojący, ze względu na niski przeważnie poziom przedstawień tej komedii, która większość zespołów sprowadziła na manowce teatralnej sztampy i „amatorszczyzny". Wyjątek stanowiła inscenizacja Barbary Fijewskiej w zespole Wytwórni Filmów Dokumentarnych w Warszawie, ale zdaje się, że był to wyjątek potwierdzający regułę. Przedstawienia „Wodewilu warszawskiego" raz jeszcze zasygnalizowały problem niedorozwoju naszej komedii współczesnej.

Sporo zastrzeżeń budziły również przedstawienia adaptacji „Fircyka w zalotach" Zabłockiego, jedynej pozycji klasycznej w obecnym festiwalu, nawiązującej do postępowych tradycji polskiego Oświecenia. Trzeba jak najszerzej udostępnić ludziom pracy wybitne dzieła dramatu i komedii klasycznej, ale należy zacząć od pozycji, nie wymagających rozwiązywania tak zawiłych problemów artystycznych jak w wypadku „Fircyka". Nie na tym przecież polega twórczość teatralna, aby odbębnić wyuczony na pamięć tekst, albo żeby go podać w byle jakiej interpretacji. Zbyt wiele było złych przedstawień „Fircyka w zalotach", prawie tyle samo co „Wodewilów warszawskich". I tu też jeden tylko zespół Związku Zawodowego Kolejarzy w Krakowie zdobył się na dość poprawną, choć bardzo daleką od ideału, inscenizację tej komedii. Ruch amatorski nie może oddziaływać i nie oddziaływuje samą tylko ilością. Trzeba zatem zwrócić staranną uwagę na odpowiedni dobór i opracowanie pozycji z repertuaru klasycznego i oddawać je na warsztat zespołom bardziej zaawansowanym i posiadającym dobrego instruktora lub pieczołowitą opiekę teatru zawodowego.

Festiwal wniósł tyle nowych wartości ideologicznych i artystycznych, uwypuklił taką ilość zagadnień związanych z procesami rozwojowymi kultury narodowej, że usystematyzowanie ich będzie wymagało jeszcze wielu dyskusji. Nie kusiłem się więc na przeprowadzenie syntetycznej oceny tej wielkiej imprezy, będącej jaskrawym przejawem rewolucji kulturalnej, która ogarnia dziś większość narodu, docierając do najdalszych wiosek i osiedli. Starałem się natomiast wskazać te punkty, które wysunęły się na pierwszy plan podczas przeglądu zespołów w eliminacjach centralnych i znalazły się na linii najpilniejszych, doraźnych celów, stojących przed ruchem amatorskim. Zwłaszcza w obliczu nowych, rosnących z każdym dniem zadań i przygotowań do następnej, niedalekiej już batalii, jaką będzie ponowny Festiwal Sztuk Radzieckich, organizowany dla uczczenia 35 Rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Bogdan Butryńczuk

FRANCIS CREMIEUX

POLICJA W TEATRZE

W tych dniach, propaganda amerykańska organizuje w Paryżu znacznym nakładem dolarowym kosztowny festiwal pod nazwą: „Festiwal XX wieku". Festiwal ten znajduje się pod patronatem głównych przedstawicieli reakcyjnych ideologii w sztuce: Koestlera, Burhama, Malraux, Dawida Rousseta. Wystawy obrazów, koncerty, konferencje następują jedne po drugich — a odpowiedzialnym organizatorem tej całej imprezy nie jest właściwie nikt inny jak *nieznany kompozytor*, a znany szpieg amerykański — Nabukow, mianowany ostatnio kierownikiem audycji „Głosu Ameryki" w języku rosyjskim.

Intelektualiści francuscy zareagowali żywo przeciwko tej prowokacji ukrytej pod hasłem „wolności kultury". Rysownik Mittelberg po mistrzowsku wyraził jej intencję w rysunku opublikowanym w „Humanité": widać na nim malarza amerykańskiego, który ustawił swoje sztalugi w lasku, obok drzewa, na którym powieszony jest Murzyn. Malarz kończy spokojnie martwą naturę przedstawiającą owoce. Rysunek Mittelberga zatytułowany jest po prostu: „Sztuka dla sztuki". Toteż nie bez kozery w tym samym czasie, kiedy ideolodzy reakcji próbują w dziedzinie pojęć artystycznych i estetyki skierować „festiwalowe" uderzenie w realizm socjalistyczny i w artystów walczących na całym świecie na tych samych pozycjach co klasa robotnicza, amerykańscy okupanci Francji zakazali wystawienia sztuki teatralnej, której akcja toczy się na Korei.

Mam tu na myśli sztukę Roger Vailland zatytułowaną „Pułkownik Foster przyznaje się do winy", pod reżyserją Louis Daquin'a.

Pułkownik Foster to oficer amerykański uważający się za demokratę. Wydaje mu się, że broni swojego kraju i wolności walcząc w Korei.

Pułkownik Foster to oficer zawodowy wzdragający się jednak przed mordowaniem zakładników i niszczeniu miast i wsi.

Kiedy do dowództwa kompanii przyprowadzają uwięzionego komunistę, próbuje z nim nawiązać rozmowę jak „człowiek z człowiekiem". Komunista — Masan, odmawia: „Nie dyskutuje się z napastnikiem"...

Ponieważ akcja toczy się na początku amerykańskiej agresji, a partyzanci działają wszędzie, kolumna amerykańska, w której znajduje się Foster, zostaje otoczona przez oddziały partyzanckie i armię ludową. Miasto, gdzie znajduje się dowództwo, staje się groźne — grozi wybuchem. Foster pojmuje wtedy, że nieuniknionym następstwem walki przeciw armii koreańskiej — stać się musi walka przeciw całemu narodowi. I zgodnie z prawem wszelkiej agresji przemienia się on w zwykłego wojennego zbrodniarza. Morduje jeńców, wśród nich komunistę Mosana. Daje przed wycofaniem się rozkaz podpalenia szkół, szpitali i budynków publicznych opuszczanego miasta. Ale sam uciec nie zdoła. Wzięty w niewolę przez partyzantów oczekuje oskarżenia przez ofiary swych zbrodniczych czynów.

Sztuka kończy się słowami: ...„jestem odpowiedzialny"...

Jeśli Foster przyznał się do winy to dlatego, że nie mógł temu zaprzeczyć, ponieważ dowody jego zbrodni były blisko, w zasięgu ręki...

Ale nie może być w tym momencie ani cienia wahania w myślach widza, bo widać, że tu ani przez oportunizm, ani dla uratowania swojej skóry pułkownik Foster przyznaje się do winy. Tu niejeden człowiek upada — jako człowiek. Tu odsłania się mechanizm imperialistycznej agresji, chylącej się ku upadkowi we krwi i zbrodni.

Pod tym wrażeniem widzowie opuszczają teatr. I z pewnością sztuka „Pułkownik Foster przyznaje się do winy" — przyczynia się walnie do wzmożenia walki o pokój, o ukaranie zbrodniarzy — organizatorów wojny bakteriologicznej.

To był więc powód, dla którego prefektura policji miasta Paryża rozkazała tuż przed premierą, aby teatr zamknął swoje bramy przed widzami. Motywem oficjalnym było zapewnienie „bezpieczeństwa widzom". Ta hipokryzja pozwoliła rządowi na uniemożliwienie wystawienia sztuki bez formalnego zakazu; Amerykanie nie mogli widocznie znieść myśli, aby w dniu przybycia do Paryża Ridgway'a pokazano ich na scenie teatralnej.

Ale żadne represje nie dały przewidzianych rezultatów. Po licznych protestach, zarówno dramaturgów i aktorów, jak i publiczności — przedstawienia zostały wznowione. Co będzie dalej?*) Dalej — sztuka „Pułkownik Foster" będzie agitowała za pokojem. Jeśli nie ze sceny „L'Ambigu", to z jakiejkolwiek innej sceny.

Francis Cremieux

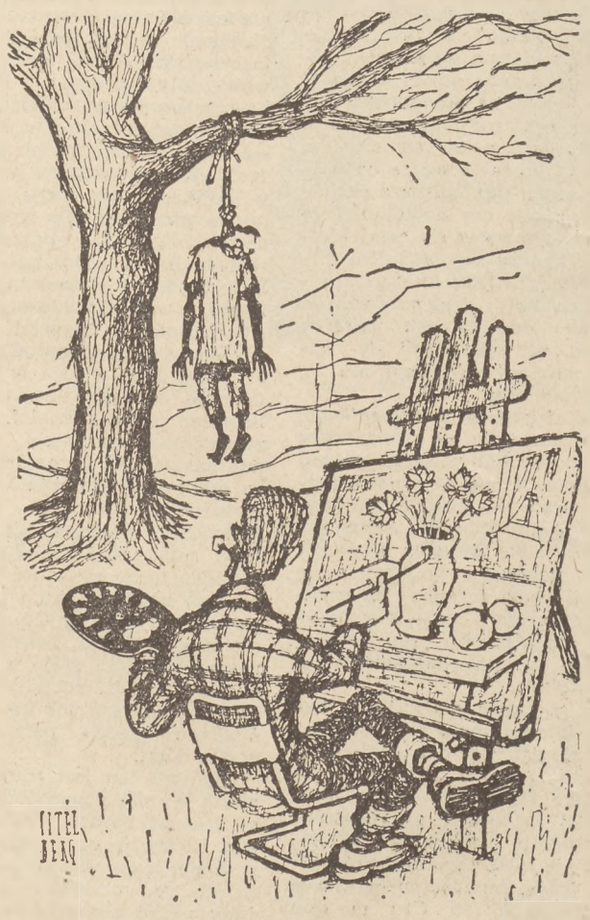

rys. Mittelberg

Sztuka dla sztuki.

*) Już po otrzymaniu przez nas artykułu Francis Cremieux, prasa codzienna podała wiadomość o napadzie bojówek faszystowskich na teatr wystawiający sztukę Vaillanda. Bojówkarze wdarli się na scenę z zamiarem pobicia aktorów. Mimo tego, że napastnicy byli uzbrojeni, publiczność wygoniła ich z sali i przedstawienie ciągnęło się nadal w spokoju aż do chwili... wkroczenia policji, która aresztowała licznych widzów a nawet niektórych aktorów. Reportaż z tego zajścia zamieścimy w jednym z najbliższych numerów naszego pisma. (przyp. Redakcji).

Scena ze sztuki „Pułkownik Foster przyznaje się do winy" Vaillanda na scenie „L'Ambigu"

ROMAN BRANDSTAETTER

O pracy nad „Królem i Aktorem" *)

W tych kilku krótkich uwagach pragnę poruszyć jedynie zagadnienia zasadnicze, niepokojące każdego dramatopisarza. Szczegóły, ściśle dotyczące problematyki postaci i konfliktów „Króla i aktora" — pozostawiam do omówienia kolegom. Rozumie się jednak, że punktem wyjścia dla moich uwag będzie wyłącznie „Król i aktor". Stanowi on w tej chwili dla mnie sumę pewnych doświadczeń, którymi pragnę się podzielić z kolegami.

W dramacie historycznym na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie kształtowania historii, czyli obowiązującej nas prawdy i dozwolonej fikcji. Ponieważ w utworze historycznym staram się stworzyć człowieka działającego w ściśle określonym środowisku i wśród ściśle określonych warunków, muszę tak uszeregować pragmatyzm wypadków, w czasie i przestrzeni, by architektura mojego utworu mieściła się w ramach sceny i jej ograniczonych możliwości. Tłumaczę wobec tego prawdę sceny historycznej na prawdę sceny teatralnej. Historyczną treść i sens życia jednostki, wypadków i procesów dziejowych — zachowuję w formach autentycznych. Tych granic nie wolno mi przekroczyć, ani zmienić. Natomiast w obrębie obowiązującej treści historycznej, wolno mi przestawiać fakty, nawet przesuwać je w czasie o kilka lat, wiążąc z sobą na scenie teatralnej to, co na scenie historycznej pozornie nie było z sobą związane, łącząc ze sobą ludzi, których spotkania mogą być umotywowane wspólnym kręgiem konfliktów, walki, uczuć i interesów.

Dam przykład z „Króla i aktora". Nie wiem, czy Stanisław Staszic kiedykolwiek prowadził dyskurs z księciem Józefem na temat monopolu teatralnego. Ale w granicach obowiązującej prawdy historycznej istnieje tyle momentów autentycznych, że dają mi one prawo do powiązania z sobą tych dwóch ludzi węzłem wspólnego konfliktu. Staszic — jak wiadomo — kochał teatr, bywał często na spektaklach teatralnych, zwalczał francuszczyznę, potępiając zawsze w ostrych słowach przeciwników kultury narodowej. Musiał więc niewątpliwie boleć nad stanem naszej Melpomeny, dzierżawionej przez Ryxów.

Równocześnie wiadome jest, że młody książe Józef był klasycznym kontrastem Staszica, że nie doceniał wagi polskiego teatru, że na polskich reprezentacjach siedział tyłem odwrócony do sceny, że jego pałac Pod Blachą był siedzibą tej socjety, która była zagorzałą propagatorką haseł godzących w interes polskiej kultury narodowej.

Czyż byłoby zatem sprzeczne z prawdą historyczną, gdyby pewnego dnia krewki Staszic na wiadomość o zachowaniu się księcia Pepi na polskim spektaklu, zjawił się Pod Blachą, by uświadomić ulubieńca Warszawy i kobiet o jego obowiązkach wobec narodowej kultury?

Pewnego dnia tuż przed rozpoczęciem prób „Króla i aktora" odbyłem dłuższą dyskusję z jednym z naszych wybitnych teatrologów na temat postaci Bogusławskiego Teatrologów twierdził, że popełniłem m. in. następujące błędy historyczne:

1) Bogusławski wszedł do teatru przypadkowo, a nie świadomie, jak ja to w dramacie przedstawiłem.

2) klimat emocjonalny w teatrze Bogusławskiego, był zupełnie inny, niż ten, który panuje w moim dramacie.

3) scena pomiędzy Bogusławskim a jego fikcyjną narzeczoną Dorotą Padlewską jest niemożliwa, gdyż Bogusławski nigdy nie wykazywał głębszego przywiązania do obiektów swojej miłości. Rulikowski naliczył dwanaścioro nielegalnych dzieci ojca sceny polskiej w samym województwie warszawskim. Jakżeż więc możliwe jest, by tenże Bogusławski mógł być przedstawiony w roli amanta, pałającego gorącym przywiązaniem do jednej kobiety, której — na domiar złego — przez długie lata nie widział.

4) nie wykazałem związków Bogusławskiego z masonerią.

Pozwolę sobie na przykładzie tych zarzutów pokrótce zobrazować technikę mojej pracy dramatopisarskiej. Miałem rzeczywiście do wyboru dwie drogi: albo przedstawić moralne dno teatru narodowego, historię nielegalnych dzieci Bogusławskiego, przypadkowość jego wstąpienia do teatru, dzieje jego związków z masonerią, i dopiero na to tło rzucić twórczy wysiłek Bogusławskiego, albo też — odrzucić balast jego życia prywatnego i pokazać Bogusławskiego w trudnych zmaganiach z otoczeniem, z królem, Ryxem, Bizestim i z własnym serdecznym uczuciem. W danym wypadku rodzinna legenda o gorących afektach Bogusławskiego do Marii Tyszkiewiczowej pozwoliła mi stworzyć fikcyjną postać Doroty Padlewskiej.

Gdzież więc szukać należy ważnej dla nas i interesującej nas prawdy historycznej o polskim teatrze? Doszedłem do wniosku, że prawda ta nie znajduje się w przypadkowym zbiegu okoliczności, który zdecydował o wzięciu Bogusławskiego do trupy Montbruna, ale w świadomym, wspaniałym twórczym wysiłku i uporze Bogusławskiego, krok za krokiem zmierzającego do obranego celu, podobnie zresztą jak miarodajna i decydująca dla nas prawda historyczna o samym Bogusławskim nie znajduje się w jego miłostkach i w nadmiernej produkcji nielegalnych dzieci, lecz wyłącznie w jego pasji organizowania sceny narodowej. Prawda historyczna o Bogusławskim — to nie jego miłostki, lecz wysoki poziom moralności artystycznej, to nie jego słabości czułostkowe, lecz etyka człowieka, który postawił sobie za cel stworzenie Teatru Narodowego. Uważałem, że tę szlachetność wysiłku, tę niezłomność i piękno Bogusławskiego trzeba pokazać naszemu społeczeństwu, bo tylko te walory, prześwietlone ideami nieposzlakowanego postępu stanowią istotny sens prawdy historycznej o Bogusławskim.

Dramatopisarz tworzy w ramach obowiązującej prawdy historycznej własną fikcję artystyczną, wiąże z sobą konflikty, kojarzy z sobą ludzi według zasad prawdopodobieństwa i logiki, obowiązującej w czasie i przestrzeni. W ten sposób z prawdy historycznej powstaje fikcja artystyczna, a ta jeżeli jest przekonywająca — zamienia się w prawdę, która oddziaływa na widza, sugeruje go i narzuca mu swój sens i swoje widzenie spraw i ludzi.

Chciałbym obecnie poruszyć jeszcze jedno zagadnienie — zagadnienie formy dramatycznej jaką obrałem dla „Króla i aktora". Nie jest to dramat o jedności czasu i miejsca. Utwór składa się z sześciu scen dramatycznych, powiązanych z sobą jednością problemu, idei i klimatem epoki. Ten kształt dramatu poetyckiego nie jest czymś nowym w naszym dramatopisarstwie, a na pewno nie jest żadnym eksperymentem czy też dowolnością pisarza. Forma ta nakłada na pisarza swoistą dyscyplinę pisarską, wymaga specyficznego traktowania postaci i wydarzeń scenicznych, określa rozwój konfliktu, który raczej wynika z nurtu dialogów, niż z nurtu wydarzeń. Pewna statyczność jest niewątpliwie cechą tego rodzaju dramatycznego. Ponieważ zdaniem moim w samym dialogu, konsekwentnie i logicznie przeprowadzonym, kryją się pierwiastki i zalążki konfliktu, postanowiłem z dialogów zbudować akcję, systematycznie rozwijającą się, mo-

*) Zagajenie dyskusji na Sekcji Dramatu Warszawskiego Oddziału ZLP.

U PRZYJACIÓŁ

Ważniejsze pozycje radzieckiej prasy literackiej

„Nowyj mir" drukuje powieść jednego z popularnych pisarzy Nowych Chin Czeń Den-Ke „Grób żywych ludzi", poświęconą walce narodu chińskiego z Kuomintangiem.

Poza tym wymienić należy trzy opowiadania młodego radzieckiego pisarza, geografa z zawodu, pod wspólnym tytułem „Moi towarzysze". Opowiadania opisują życie radzieckich geologów.

Pismo „Radziecka Ukraina" poświęciło w 1 numerze b. r. wiele miejsca dokładnemu omówieniu książki „Na starówce" zespołu literackiego „Budujemy". Autorka artykułu, Janina Baudouin, po streszczeniu zbiorku i przytoczeniu z niego obszernych fragmentów stwierdza, że zarówno jej tematyka jak i forma twórczości doskonale oddaje patos i wielkość budownictwa socjalistycznego w Polsce, przemiany w świadomości polskiej klasy robotniczej oraz że warta jest ona naśladownictwa. „Znaczenie tej książki trudno przecenić" — tym zdaniem kończy się omawiana recenzja.

„Znamia" kończy druk powieści I. Erenburga „Dziewiąta fala" i opowieści K. Paustowskiego „Narodziny morza". Poezję reprezentują wiersze N. Gribaczowa i J. Chelemskiego.

Piąty numer „Zwiezdy" rozpoczyna cykl wierszy A. Prokofiewa „U wrót oceanu". W liczbie innych utworów poetyckich pismo zamieszcza wiersze współczesnych demokratycznych poetów Japonii.

W dziale prozy — dalszy ciąg powieści W. Rudnego, „Żołnierze z Hanko", dwa opowiadania A. Rozena i reportaż D. Efranina „Studenci".

Większą część piątego numeru „Oktiabra" zajmuje zakończenie powieści M. Bubiennowa „Biała Brzoza". Opowiadaniem „W dalekiej podróży" debiutuje młody woroneski pisarz W. Szamna. „Oktiabr" zamieszcza również poemat J. Chelemskiego „Opowieść komsomolska", poświęcony Mikołajowi Ostrowskiemu.

Cała prasa ukraińska zrecenzowała ostatnio trylogię Wandy Wasilewskiej „Pieśń nad wodami", odznaczoną Nagrodą Stalinowską.

Pisząc o 3 tomie trylogii — „Rzeki płoną", kijowska „Litieraturnaja Gazieta" podkreśla, że: „Książka ta stanowi duże osiągnięcie autorki ze względu na ciekawe, nie schematyczne i nie papierowe postacie bohaterów pozytywnych, na głębokie uzasadnienie przemian psychicznych poszczególnych bohaterów jak Jadwiga Płońska, pani Rojek. Ludzi tych— zmieniła rzeczywistość radziecka"... Wasilewska (jak podkreślają wszystkie recenzje) z wielkim talentem demaskatorskim umiała pokazać obóz wrogów, od drobnej płotki szeregowego zdrajcy Malewskiego do „grubej ryby", — Mikołajczyka. Uwagi krytyczne recenzji odnoszą się głównie do zbyt powierzchownych i pobieżnie potraktowanych postaci ludzi radzieckich.

List otwarty do krytyków

W kwietniu na łamach prasy radzieckiej rozpoczęła się dyskusja nad zagadnieniami literatury dziecięcej. W związku z tym M. Poleżajewa opublikowała w Litieraturnej Gaziecie (12 IV) list otwarty do krytyków radzieckich, który zasługuje na szczególną uwagę, ponieważ mówi o sprawie i u nas aktualnej. Oto jego fragmenty:

Drodzy Towarzysze krytycy!

Wychowanie dzieci — to sprawa państwowej wagi. Oczywiście wy wszyscy myśleliście o tym, mówili, dyskutowali i nieraz powoływaliście się na Bielińskiego. Jednakże... Oto co myśli na ten temat Bieliński: „Wszyscy mówią... o poważnym wpływie wychowania na losy człowieka, na jego stosunek do państwa, do rodziny, do bliskich, do samego siebie, ale czy wielu rozumie to co mówi? Słowo nie jest jeszcze czynem, każda prawda, jak bardzo by nie była niewątpliwa, ale jeśli nie przejawia się w czynach i postępowaniu tych, którzy ją głoszą, jest tylko słowem, pustym dźwiękiem..."

Przypomnimy Wam towarzysze o drugim wielkim krytyku. Dobrolubow napisał 12 recenzji z książek dla dzieci i obszerny artykuł omawiający pisma dziecięce: „Gwiazdeczka", „Promienie" i „Pismo dla dzieci".

Towarzyszu Jermiłow! Jesteście krytykiem ponad ćwierć wieku. Ile razy wspominaliście o dzieciach? W ciągu 25 lat — 2 razy. 2 artykuły o książce Katajewa „Samotny biały żagiel". I to wszystko. Pisaliście o Gorkim, o Czechowie, niedawno zakończyliście książkę o Gogolu. Kto, jeśli nie wy, powinien interesować się, czy dobrze nasze podręczniki szkolne opracowują Gorkiego, Czechowa, Gogola? Odpowiedzcie nam, towarzyszu Jermiłow, czekamy.

Towarzyszu Nowiczenko! Jesteście jednym z aktywnie pracujących krytyków Ukrainy. Literatura dziecięca Ukrainy jest bogata i różnorodna! Dlaczego w ciągu wielu lat opublikowaliście tylko jeden artykuł o książkach dla dzieci, i to w przeddzień Wszechzwiązkowej narady nad zagadnieniami literatury dziecięcej?

Towarzyszu Skorino! Jesteście redaktorem działu krytyki pisma „Znamia". Dlaczego „Znamia" tak rzadko zabiera głos w sprawie literatury dla dzieci?

Towarzysze krytycy! Wszyscy których wymieniliśmy i wielu, wielu z tych, o których milczy ten artykuł! Obawiam się, że zbyt często po prostu nie czytacie książek dla dzieci. I sprawy artystycznego, ideowego i obywatelskiego wychowania naszych dzieci przechodzą mimo was. Sprawy te są dla Was za mało bliskie. Chociaż wy sami jako krytycy wychowywani jesteście w tradycjach Bielińskiego, Czernyszewskiego, którzy nie mogli, nie chcieli i nie umieli odnosić się obojętnie do tego, jak rosną nasze dzieci i co czytają!

Towarzysze krytycy, ten rachunek jest zbyt poważny, aby zostawić go bez odpowiedzi.

Czym odpowiecie?

że o tempie zwolnionym, ale w zamian za to ukazującą nam w pełni cały wewnętrzny mechanizm i dynamikę ludzkiej rozmowy, prowadzonej przez ludzi epoki w obliczu wielkich wstrząsów dziejowych. Ta forma zresztą umotywowana jest środowiskiem i klimatem epoki, która stworzyła w Polsce salon literacki i obiady czwartkowe, kameralnością ówczesnego życia i kultem konwersacji towarzyskiej, której to sztuce Rochefoucauld poświęcił tyle wnikliwych uwag w swoich maksymach. Zatem forma dramatu poetyckiego, wyrastającego z dialogów, nie była dla mnie przypadkowym, ale świadomym przedsięwzięciem, umotywowanym obyczajowością epoki.

Na zakończenie chciałbym nawiązać do pewnej starej prawdy, niewątpliwie znanej wszystkim pisarzom. Powiedział ktoś — nie pamiętam już kto — że mądrością utworu dramatycznego jest jego idea, pięknem — jego architektura. Utwór dramatyczny nie jest omnibusem, w którym ludzie tłoczą się wraz ze swoimi bagażami. Jasne jest, że w utworze dramatycznym, którego zagadnienie zostało zdeterminowane tytułem „Król i aktor" — nie mogłem równocześnie pokazać Bogusławskiego autora i aktora i gromady zdrajców, i całego środowiska magnackiego, i dziewczynek najjaśniejszego pana, i Karpat, i Staszica na wesoło w rudej peruce i całego magistratu warszawskiego z Dekiertem na czele — jak tego chcą pewni sprawozdawcy teatralni z naszej prasy codziennej. Musiałem tworzyć proporcje, skróty, syntezę czyli tę architekturę, która by pomieściła w sobie logiczną i zdyscyplinowaną ideologię utworu.

Chcąc uniknąć ewentualnych zarzutów popełnienia błędów w dziedzinie realiów historycznych, pragnę choć w kilku słowach naszkicować moje stanowisko w sprawie stylizacji językowej. Uważam, że niewolnicze podrabianie języka epoki z jego całym balastem uciążliwych form gramatycznych, mija się z celem, gdyż ono nie przybliża, lecz oddala widza czy czytelnika od epoki. Każda skomplikowana stylizacja jest tylko falsyfikatem. Widz czy czytelnik musi przebijać się przez gąszcz składni i słownictwa i wskutek tego zatraca bezpośredni kontakt z utworem. Nie wolno nam również zapominać, że dla człowieka piętnasto- czy osiemnasto wiecznego, język w którym wyrażał on swoje myśli i uczucia, był jego językiem współczesnym. I ta właśnie każdorazowa współczesność powinna być naszym drogowskazem. Obrałem zatem następującą metodę stylizacji: za podstawę języka, którym mówią moi osiemnastowieczni bohaterowie obrałem współczesny język polski, lekko go zabarwiając kolorytem osiemnastowiecznej polszczyzny i bardzo ostrożnym doborem specyficznego słownictwa epoki. Tu jednak grożą duże niebezpieczeństwa o charakterze wręcz paradoksalnym. Podam jeden z przykładów tego niebezpieczeństwa: wiadomą jest rzeczą, że nie lejbgwardia królewska rozpędzała tłumy w Warszawie, lecz straż marszałkowska. „Straż marszałkowska" chociaż jest terminem ściśle historycznym, jednak emocjonalnie zespala się w naszej świadomości z pojęciem straży marszałkowskiej w naszym sejmie, czyli z pojęciem nam współczesnym, związanym z sejmem na ulicy Wiejskiej. Wolałem raczej dopuścić się nieścisłości historycznej i pozostawić w tekście lejbgwardję królewską, które koloryt emocjonalny jest zupełnie wyraźny i nie rozbija nastroju zdania, niż być ścisłym historycznie i wprowadzić termin rozbijający klimat tekstu.

Jak już na wstępie zaznaczyłem, ograniczyłem moje uwagi jedynie do spraw zasadniczych. Wydaje mi się, że będzie to dogodny punkt wyjścia do dyskusji na temat „Króla i aktora".

Roman Brandstaetter

JAN SZCZAWIEJ

Figury wycofane do lamusa historii

W Paryżu ogłoszony został wyrok w głośnym procesie, który przez szereg tygodni toczył się, budząc zainteresowanie całego świata, przed XVII paryską izbą karną z oskarżenia trzech spośród 150 agentów amerykańskiego imperializmu, wymienionych w książce postępowego pisarza francuskiego, Renauda de Jouvenela „Międzynarodówka zdrajców". Zgrani jak stare karty agenci imperializmu amerykańskiego bardzo niedługo zdołali się utrzymać w rolach, jakich się wobec swych mocodawców podjęli, z oskarżycieli szybko stając się w świetle przewodu sądowego i zgromadzonych na nim materiałów i dokumentów tym, czym naprawdę są, to znaczy nawet nie oskarżonymi, ale już dawno osądzonymi przez historię i przez swoje narody przestępcami, wijącymi się teraz oto na sali paryskiego sądu karnego na każde przypomnienie im ich przeszłości i popełnianych przez nich w przeszłości tej czynów.

Najciekawszym momentem procesu było sprowadzenie do tej samej roli „wielkich świadków" oskarżenia, takich samych jak Kowalewski i jego kompania bankrutów politycznych i takich samych jak oni agentów amerykańskiego imperializmu— Mikołajczyka i Bora-Komorowskiego.

Jeden, i drugi z tych fantastycznych świadków mieli swoje ciężkie chwile na paryskiej sali sądowej. Niefortunny, przegrany na terenie swego własnego środowiska politycznego prezes PSL-u, którego działalność zarówno przed ucieczką z Polski, jak i po ucieczce wywołuje dzisiaj odrazę nawet u tych, którzy w swoim czasie dali mu się niebacznie omotać — kiedy na procesie zapytano go, czy to za kontakty z hitlerowskim wywiadem Mikołajczyk jako ówczesny szef emigracyjnego rządu londyńskiego słał do Lizbony podziękowania Kowalewskiemu, zapraszając go jednocześnie do dalszej współpracy w Londynie, następnie jakimi pobudkami kierował się, ukrywając przed rządem, którego po powrocie do kraju był wicepremierem i przed całym swoim narodem tzw. dokument Cadogana, zawierający gwarancję rządu Wielkiej Brytanii dla nowych granic zachodnich Polski i wreszcie, czy przypomina sobie swój pseudonim szpiegowski „Alfa", pod którym figuruje w kartotekach wywiadu amerykańskiego. Sprawca największej w dziejach tragedii Warszawy — kiedy przygwożdżony dokumentami musiał przyznać, że pchnął lud Warszawy do walki, mimo, że powstanie nie miało żadnych szans powodzenia i mimo, że nie zapewnił sobie kontaktu ani z Anglikami, ani z Armią Radziecką i kiedy musiał wykrztusić „tak", gdy zapytano go, czy tak było, jak przedstawia zademonstrowana na procesie fotografia, na której Bór-Komorowski w tym samym czasie, gdy Niemcy bestialsko mordowali i palili Warszawę, ściska rękę generała hitlerowskiego von dem Bacha, tego samego, który wydał rozkaz zostawienia na miejscu Warszawy pustyni gruzów i grobów.

Dziwić się tej gorliwości, z jaką jeden agent drugiemu agentowi śpieszy z pomocą?

Chyba dziwić się nie należy. Przez pewien czas część polskiej opinii publicznej nie była pewna, dla jakich celów Mikołajczyk 27 czerwca 1945 roku wrócił do Polski. Niektórzy mu ufali i myśleli, że jest realnym politykiem i że w nowych warunkach niepodległości Polski będzie chciał być pożyteczny dla swego narodu, że będzie chciał przyczynić się do uspokojenia umysłów i ustabilizowania sytuacji w kraju, że będzie chciał uczestniczyć w budowie nowego życia narodu. Ci, którzy tak myśleli, sądząc później jego działalność, wyrażali się o nim, że był nieudolnym politykiem i że szedł od błędu do błędu. Nic bardziej fałszywego, niż taka ocena. Cała rzecz w tym, że Mikołajczyk przybył do Polski jako obcy agent, nie jako polityk, posiadający takie, czy inne, własne, czy pożyczane koncepcje.

Opanowawszy w podstępny sposób część ruchu chłopskiego, Mikołajczyk zaczął podejmować próby realizacji swoich planów, z jakimi przybył z Londynu, powiedzieć zaś ściślej — zaczął wprowadzać w życie rozkazy swych mocodawców z Londynu i Waszyngtonu. Musimy przyznać, że zrobił wszystko, co tylko było w jego mocy i w mocy jego protektorów, by skomplikować sytuację polityczną w kraju, by jak tylko można najbardziej rozpalić namiętności polityczne w społeczeństwie, by jak tylko można najdłużej utrudniać i opóźniać przebudowę społeczną i odbudowę gospodarczą wyzwolonej Polski. Ale Mikołajczyk jednego nie umiał zrozumieć — na linii dziejowej postępu nie ma miejsca dla renesansu reakcji. Nawet w dzisiejszej ocenie szefów Mikołajczyka niepotrzebnie on przyjeżdżał do Polski. Nie miał tu nic do roboty. Niczego tu już nie mogły zmienić stałe narady z ambasadami, ani kontaktowanie się z faszystowskim podziemiem. Panem swoich losów w Polsce stał się sam naród, dlatego Mikołajczyk w Polsce nie tylko przegrał i nie tylko zbankrutował, ale i skompromitował się.

Dziś nikt w Polsce nie ma już wątpliwości, z jakim zamiarem przybył Mikołajczyk do kraju i dlaczego po zdemaskowaniu go przez jego własne środowisko polityczne musiał uciekać na sprowadzonym z Anglii samolocie. Dziś w Polsce każdy wie, że to był tylko jeden z agentów, nasyłanych przez gasnący, kapitalistyczny świat do krajów, w których zwyciężył i buduje nowe życie socjalizm, żeby tę budowę opóźniać, żeby ją sabotować.

Kowalewski, Dymitrow, czy Dianu nie robią całe swoje życie nic innego, tylko też usiłują stawać w poprzek pochodowi historii. Jakże tu więc nie pośpieszyć takim godnym kombatantom z pomocą, jeśli się znajdą w potrzebie? Tak jest, Mikołajczyk i Bór okazali się doskonałymi kolegami dla kanalii Kowalewskiego.

Wyrok sądu francuskiego, oddalający żądania „oskarżycieli", domagających się przyznania każdemu z nich po milionie franków tytułem odszkodowania za „zniesławienie" i przyznający im jedynie odszkodowanie w wysokości jednego franka, a jednocześnie uznający w motywach wyroku fakt zdrady „oskarżycieli" jeszcze bardziej pogłębia klęskę, jaką ponieśli na sali XVII paryskiej izby karnej zarówno inicjatorzy procesu, którzy w oczach całego świata stali się z oskarżycieli oskarżonymi, jak i ich tzw. świadkowie, a właściwie wspólnicy i współoskarżeni, a wraz z nimi i ci, którzy nimi kierują, pociągając we właściwej chwili za właściwy sznureczek, to jest ci, którzy płacą i którzy — wymagają.

Proces ten jest procesem wytoczonym siłom pokoju — powiedział autor „Międzynarodówki zdrajców" w artykule, zamieszczonym w piśmie francuskim „Democratie Nouvelle" i rzeczywiście trudno go inaczej ocenić.

Dla opinii narodów taki, czy inny wyrok zastraszonych urzędników francuskiego sądu nie ma zresztą żadnego znaczenia. Na tych ludzi, którzy sprzedali interesy swoich narodów obcym potęgom, na tych ludzi, którzy, jak Mikołajczyk, Dymitrow, czy Dianu w memoriałach do ONZ domagają się interwencji przeciwko swym krajom samozwańczych sił zbrojnych ONZ i masakry ludności w swoich krajach „za pomocą takich samych środków i z taką samą siłą, jak na Korei", na tych ludzi, którzy ze swoimi narodami nie mają już nic wspólnego, na tych ludzi już dawno w imieniu ich narodów wydała wyrok historia.

Tylko ten wyrok jest ważny, tylko ten wyrok jest ostateczny.

Jan Szczawiej

REKLAMA MOŻE WSZYSTKO

„Drodzy słuchacze, mieliście możność słyszeć przed chwilą Niedokończoną Symfonię Franciszka Schuberta. Genialny ten kompozytor, który cierpiał na migrenę, dokończyłby z pewnością swoją symfonię, gdyby znał nasze pastylki „ANTIDORIX".

(z programu amerykańskiej rozgłośni radiowej w Stuttgardzie).

GŁOS MA ZACHODNI „OBROŃCA POKOJU"

„Dopóki świat nie zrozumie, że zasadniczą jego powinnością jest walka przeciwko żydostwu międzynarodowemu — nie będzie nigdy pokoju".

(z przemówienia Ulricha Freiherra von Bothurt, przywódcy jednej z militarystycznych organizacji zachodnio-niemieckich).

SPORT I PIĘKNOŚĆ

— pod tym tytułem mikołajczykowski „Narodowiec", pismo wydawane we Francji, zamieszcza następującą notatkę reklamową:

„Lubicie sport? Piękno? A wszy? Aby walczyć przeciw wszom, jedyny sposób — środek „Marie Rose", który stanowi perfumowaną śmierć dla wszy i gnid".

SNY O POTĘDZE, CZYLI ROZKOSZNY TRÓJGŁOS

„Atlantropa czyli Europa wraz z Afryką obejmuje ziemie od Uralu po Francję, Anglię oraz ich kolonie afrykańskie. Środkiem ciężkości tych obszarów jest świat germański".

(z pisma zachodnio-niemieckiego „Atlantropa").

„Nadchodzi czas kiedy inne narody zrozumieją, że nie mogą istnieć bez organizacyjnej siły i potęgi zasad germańskich".

(z artykułu omawiającego ideę „Zjednoczonej Europy" w piśmie Zachodnio-niemieckim „Nation Europa").

„Pewne koła emigracyjne gotowe są stworzyć krajową armię podziemną, która w przyszłości współdziałać będzie z wkraczającymi na terytorium polskie wojskami niemieckimi".

(z andersowskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza").

USTAWOWA OPIEKA

(*„Newsweek"*)

„Ustawodawcy uchwalili, by zezwolić nauczycielom roztaczanie *opieki* (podkr. naszej nad młodymi łajdakami, nie przekraczając jednak maksymalnej liczby sześciu uderzeń dziennie na jednego ucznia za pomocą pęku rózeg lub umiarkowanie grubego, „giętkiego kija".

„ZAMÓWIENIE SPOŁECZNE"

„Comics" nie wydają mi się tak niezwykle szkodliwe jak to utrzymują krytycy. Są to przecież współczesne wersje starych tematów, przygód i bajek przystosowane do wieku atomowego. Czyż nie wymagamy stale od poetów produkowania (podkr. nasze) poezji dostosowanej do naszych niespokojnych czasów?".

(głos mr. D. W. Borogana w dyskusji nad „Comicsami" w piśmie „Spektator").

(Kos)

HAJHITLA!

(*„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza"*)

„Przed komisją stanął żołnierz niemiecki Bless, który swego czasu stacjonował w lesie katyńskim. Bless pozdrowił komisję ukłonem hitlerowskim i słowami „hajhitla!". Kiedy zobaczył, że ten gościk i to pozdrowieńko wywołały pewną konsternację, przeprosił (cytujemy dosłownie) komisję za ukłon hitlerowski oświadczając, że nie zdawał sobie sprawy z następstw, jakie zachowanie się jego może pociągnąć..."

(z artykułu o pracy tzw. „komisji katyńskiej").

SZKODA CZASU I ATŁASU...

(*„Wiadomości"*)

„Gdy widzę moich rodaków pasujących się (piękny zwrot, co? — przyp. nasz) zadaniem wydawania jakiejś agencji czy jakiegoś miesięcznika dla uświadamiania Anglików, jak powinni prowadzić politykę, zawsze chce mi się powiedzieć: Przyjaciele, każdy poważniejszy dziennikarz poinformuje was, że takie materiały jak wasze są przemaczone do kosza bez czytania i zasadniczo bez otwierania koperty. Najlepiej i najpraktyczniej by było posyłać je już podarte, co by Anglikom, o których dobre usposobienie wam tak chodzi, oszczędziło własnoręcznego wykonania tego zabiegu. Jeśli jednak z powodu przypadkowego braku materiału coś z tego waszego potu i łez trafi na szpalty gazety angielskiej, to i cóż z tego? Czy naprawdę myślicie, że zamieszczenie jakiejś waszej wzmianki w gazecie wpłynie w czymkolwiek na zmianę biegu polityki angielskiej? Doprawdy, wydajcie pieniądze, które przeznaczacie na ten cel, raczej na wódkę dla siebie. Sprawa polska na takim virement o ile nie zyska, to na pewno nie straci".

(z artykułu Cat-Mackiewicza).

W KRZYWYM ZWIERCIADLE GALLUPA

Instytut Gallupa którego specjalnością są ankiety i testy, odbija jak w krzywym zwierciadle poziom intelektualny olbrzymiej większości Amerykanów. Ostatnio instytut ten postawił swym czytelnikom 6 następujących pytań: 1) gdzie leży Mandżuria, 2) gdzie leży Formoza, 3) co oznacza 38 równoleżnik, 4) co to jest Pakt Atlantycki, 5) kto to jest Czang Kai-szek, 6) kto to jest Tito. Tylko 12% biorących udział w ankiecie odpowiedziało jako tako na powyższe pytania. Dziewiętnaście procent nie odpowiedziało ani na jedno pytanie.

Biadając nad tym stanem rzeczy prasa amerykańska przytacza dalsze dowody analfabetyzmu politycznego obywateli drugiej półkuli. Oto latem roku ubiegłego, kiedy wybuchł kryzys irański, tylko 4 na 10 Amerykanów wiedziało, gdzie ten Iran leży i dlaczego właśnie tam kryzys wybuchł. O planie Marshalla, o którym przecież od rana do wieczora trąbi i prasa, i radio, jedna trzecia Amerykanów, jak tego dowiodła pewna ankieta, w ogóle nie słyszała, a 34 proc. Amerykanów nie potrafiło odpowiedzieć na pytanie, kim jest Dean Acheson.

(fr)

ARMATY ZAMIAST OBRAZÓW

Oszczędności rządowe obejmują zamknięcie wystawy akwareli w Tate Gallery, skrócenie wieczornych godzin dyżurów w Bibliotece Wiktorii i Alberta i zamykanie co drugi dzień części wystawy w Muzeum Brytyjskim

Z wiadomości bieżących prasy londyńskiej.

ROMMEL — ANGLIK HONORIS CAUSA

Zgodnie z „duchem czasu" wyprodukowany został w Hollywood film sławiący pana marszałka Rommla. W ramach planu Marshalla kicz ten, obok dziesiątka jemu podobnych, narzucony został Zachodowi. Musiała go również przełknąć „neutralna" Szwajcaria". Choć Szwajcarzy, którzy jedzą niemało, mają twarde żołądki, tym razem pigułka rommlowska stanęła im jednak kością w gardle. Oto co pisze jeden z czołowych dzienników szwajcarskich:

„Filmowy Rommel aktora Jamesa Masona wygląda jak udręczona marionetka; autorzy scenariusza starali się pokazać, że tylko pod wpływem jakiegoś musu zewnętrznego Rommel był oficerem diabła. W wersji amerykańskiej Rommel to zawodowy bohater, który miał jednego tylko pecha: nie urodził się Anglikiem. Najbardziej charakterystyczna jest scena następująca: jakiś „dobry Niemiec" zaklina Rommla, by nie słuchał zbrodniczych rozkazów Hitlera i w rezultacie pan generał pod wpływem tej rozmowy daje hasło do odwrotu. Coś tu w tym rachunku się nie zgadza. Film amerykański traktuje Rommla jako wielkiego generała, ale nie uwzględnia zupełnie, że był to jednak generał niemiecki. Autorzy scenariusza zapomnieli chyba świadomie o tym, że Rommel walczył o zwycięstwo Niemiec i stał na straży tzw. „niemieckiego morale". Może w sensie ideologicznym Rommel nie był narodowym socjalistą, ale był ideologicznie zaciekłym nacjonalistą. Sprawa Niemiec, to znaczy sprawa podboju świata przez Niemcy nie da się oddzielić od jego osoby. Nie wolno było mianować niemieckiego generała Anglikiem honoris causa. Lepiej było zostawić tego „bohatera" w spokoju, niż w ten sposób fałszować historię i prowokować europejską publiczność".

(fr)

TO ZNACZY WIĘCEJ, NIŻ POMYŁKA...

„Libre Belgique" — 8 maj 1952 r.

W cotygodniowym dodatku dla dzieci „Libre Belgique", w rubryce korespondencji z czytelnikami, czytamy:

„Wielkie nazwiska".

„Kto to jest Maria Skłodowska? Często spotykam w pewnych książkach to nazwisko i nigdy nie wiem o kogo chodzi.

Piotr L... z Roubaix

Odpowiedź (gazety):

Maria Skłodowska i Ewa Curie są tą samą osobą.

Z TYGODNIA

W KRAJU

ZAKOŃCZYŁ SIĘ FESTIWAL POLSKICH SZTUK WSPÓŁCZESNYCH

w którym wzięło udział ponad 1200 związkowych zespołów artystycznych, liczących ponad 25 tys. członków. 20.V w CRZZ odbyła się uroczystość wręczenia nagród wyróżnionym w Festiwalu zespołom. Przemówienia wygłosili: wiceprezes CRZZ — T. Ćwik, min. Kultury i Sztuki S. Dybowski, i imieniu pisarzy-autorów sztuk granych w Festiwalu — A. Tarn, w imieniu aktorstwa polskiego — Maria Dulęba.

OK. 130 NAJLEPSZYCH W POLSCE MŁODZIEŻOWYCH ZESPOŁÓW ARTYSTYCZNYCH

przybędzie na warszawski Zlot Młodych Przodowników-Budowniczych Polski Ludowej. Zespoły te zostaną wyłonione w wyniku eliminacji powiatowych, a następnie — wojewódzkich. Do współzawodnictwa o miano najlepszych stanęły m. in. 873 zespoły w woj. lubelskim, 396 — w woj. koszalińskim, 160 — w Łodzi. W toku przygotowań do Zlotu powstaje wiele nowych młodzieżowych zespołów artystycznych. W Gdańsku np. powstało ostatnio 50, a w Kłodzku — 30 nowych zespołów. Młodzież organizuje też liczne koła nauki śpiewu i tańca. W samej tylko stoczni gdańskiej kół takich utworzono 30.

OBCHÓD 35-LECIA PRACY ARTYSTYCZNEJ IDY KAMIŃSKIEJ

wybitnej artystki dramatycznej, odbył się 17.V w Państw. Teatrze Żydowskim w Łodzi. Obchód jubileuszowy był poprzedzony przedstawieniem sztuki M. Baumana „Glikl Hameln żąda sprawiedliwości", w której I. Kamińska gra główną rolę. Serdeczne gratulacje złożyli jubilatce m. in.: dyr. Wilczek — w imieniu Ministra Kultury i Sztuki, przewodniczący SPATiF, L. Schiller, dyr. CZT J. Pański. W odpowiedzi I. Kamińska zapewniła, że dalsza jej działalność artystyczna będzie służyć rozwojowi realizmu socjalistycznego w Polsce Ludowej.

Ida Kamińska posiada w swoim dorobku artystycznym 150 ról.

Kamińska wyreżyserowała ponad 70 sztuk, napisała jedną i udramatyzowała 6 powieści.

W Polsce przedwrześniowej prowadziła przez wiele lat zespół teatralny p.n. „Zespół Idy Kamińskiej". Dzięki wprowadzeniu na scenę żydowską sztuk z wielkiego repertuaru europejskiego, Ida Kamińska już w okresie międzywojennym wyprowadza teatr żydowski z ciasnej zaściankowości.

Po powrocie po wojnie do kraju z ZSRR w grudniu 1946 r. — Ida Kamińska pracuje niestrudzenie nad organizacją teatru żydowskiego w Polsce Ludowej. Obecnie I. Kamińska zajmuje stanowisko kierownika artystycznego Państwowego Teatru Żydowskiego w Łodzi.

WALERIAN BIERDIAJEW

wybitny dyrygent, z okazji 45-lecia pracy artystycznej został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Dekoracji dokonał w imieniu Prezydenta RP min. Dybowski podczas uroczystego obchodu jubileuszowego w Państw. Teatrze Wielkim im. St. Moniuszki w Poznaniu.

ZMARŁ PROF. TADEUSZ BREYER

wybitny artysta-rzeźbiarz, profesor Akademii Sztuk Plastycznych, dwukrotny laureat nagrody plastycznej m. st. Warszawy. Do najbardziej znanych prac prof. Breyera należą m. in. pomnik Gen. Sowińskiego oraz statua Mikołaja Kopernika, wykonana dla Biblioteki Ambrozjańskiej w Mediolanie.

OK. 3,5 TYS. KSIĄŻEK

sprzedano w ciągu jednego tylko popołudnia na kiermaszy w Kielcach.

OK. 800 ODCZYTÓW

obrazujących rozwój i dorobek kultury w Polsce Ludowej, zostało wygłoszonych w okresie „Dni Oświaty, Książki i Prasy" w spółdzielniach produkcyjnych, PGR-ach i gromadach indywidualnych woj. lubelskiego.

ZA GRANICĄ

SESJĘ NAUKOWĄ POŚWIĘCONĄ KONOPNICKIEJ, ORZESZKOWEJ I PRUSOWI

przeprowadziły ostatnio w Moskwie Wydz. literatury słowiańskiej Uniwersytetu Moskiewskiego oraz Zw. Pisarzy Radzieckich. Dzieła E. Orzeszkowej wydano w językach wielu narodów ZSRR w łącznym nakładzie 353 tys. egz., dzieła M. Konopnickiej — w nakładzie 300 tys., B. Prusa — w nakładzie 297 tys. egz. W rb. Państwowe Wydawnictwo Literatury Pięknej wyda 5-tomowy zbiór dzieł Prusa. Ponadto ukaże się zbiór nowel Prusa i tom opowiadań Konopnickiej.

FESTIWAL FILMÓW POLSKICH W ZSRR

odbędzie się w dn. od 2 do 8 czerwca w Moskwie, Leningradzie oraz we wszystkich stolicach republik związkowych. Festiwal zostanie zainaugurowany wyświetleniem filmu „Młodość Chopina".

DLA „BEZPIECZEŃSTWA RUCHU" NA PL. WIKTORA HUGO

w Paryżu, prefektura policji postanowiła zlikwidować skwer, po środku którego stał przed wojną zburzony przez hitlerowskich okupantów pomnik Wiktora Hugo. Pomnik ten, jak wiadomo, miał zostać odbudowany na dawnym miejscu przez francuski Komitet uczczenia 150 rocznicy urodzin W. Hugo...

JANUSZ MINKIEWICZ

TYPOWA KASZA

Wg W. Dychowicznego i M. Słobodskiego

Powstał pomysł na poemat
W młodym lbie (in-spe) — poety;
Obrał, jakich wiele, temat,
Zaopatrzył go w konkrety;
Pisał wyraz za wyrazem,
Ufny, że je druk utrwali:
„Dziad i baba kiedyś razem
Kaszę z mlekiem zajadali..."

Zaniósł wiersz do tygodnika
Po ocenę redaktorską;
Szef przeczytał i młodzika
Upomina tak mentorsko:
— Nietypowym dziś obrazem
(Rzecz ujmując w szerszej skali)
Jest tekst: „Dziad i baba razem
Kaszę z mlekiem zajadali..."!

Dziadek... baba... — myśl niezgorsza,
Ale kasza co tu robi?
W miejsce kaszy wsadźmy... dorsza,
To wiersz bardziej utypowi:
„Dziad i baba kiedyś razem
Dorsza z mlekiem zajadali..."
To ciekawszym jest obrazem...
Chociaż... Stop!... Nie piszmy dalej...

Bo w tej wersji dziad wygląda,
Że dziwacznym jest człowiekiem —
Przecież żaden dziad nie żąda:
— Babo, rybę jadaj z mlekiem!...
Baba — babą: wolałaby
Ugryźć kąsek słodkiej baby...
Może więc: „Nasz dziadek z babką
Jadł, popijał mleko z babką..."?

Mleko z babką? — smaczne, owszem —
Trudno marzyć o czymś zdrowszym;
Lecz powyższe (z babką) zdanie
Brzmi zawile niesłychanie:
Czytelnicy zmylić mogą
Kto z kim jadł tu... i kto kogo?
Dziad jadł babkę? Zacną wdowę?
Nie. To raczej nietypowe...

Zmieńmy tę potrawę, aby
Krytycy się nie czepiali:
„Dziadek w towarzystwie baby
Mięso z mlekiem zajadali..."
Oto jest wzorowe zdanie!
W zdaniu tym — typowe danie!
Rozgryziony temat!...
Ale!

Gryźć?... Nie może dziadek wcale!
Znów coś nie tak. Znowu krewa!
Przecież zębów dziad nie miewa.
Zmieńmy dziadka
w chłopca,
aby
Zdanie brzmiało z większym sensem:
„Chłopak w towarzystwie baby
Pili, jedli mleko z mięsem..."
To typowsze jest już, ale
Chłopak nasz nie działa wcale
W zbiorowości, w kolektywie —
To brzmi bardzo niewłaściwie.

Lepiej palnąć prosto z mostu
Takie zdanie in extenso:
„Było chłopców dwóch po prostu —
Pili, jedli z mlekiem mięso..."
Oto zdanie pełne taktu,
Lecz...
produkcji, pracy brak tu!
Więc uraczmy czytelników
Takim w końcu zdaniem krótkim:
„Było sobie dwóch młodzików:
Jeden z młotkiem, drugi z dłutkiem..."

Tak, poeto, pisać potraf!
Mą przychylność sobie zyskasz
Pisząc bez tych nudnych potraw
Z mięs przeróżnych, z dorszy i z kasz...

Tak skończywszy z babą, z dziadem,
Z nietypowym ich obiadem,
Nasz redaktor, burząc „stare",
Tworzył mocny wiersz „na miarę
Epokowych w świecie zdarzeń"...
A o kilka domów dalej
Dziad i baba, w mlecznym barze,
Kaszę z mlekiem zajadali.

Oddając dziś głos moskiewskiemu „Krokodylowi", pragniemy podkreślić, że „Nożyce" nie służą wyłącznie do robienia wycinków.

Przypominamy naszym satyrykom (aktualnym i — zwłaszcza — przyszłym), że satyra radziecka nam czynnie — jak widzimy — pomaga, ale nie ma obowiązku nas wyręczać.

Życie bez konfliktów

Rysunki Borysa Jefimowa

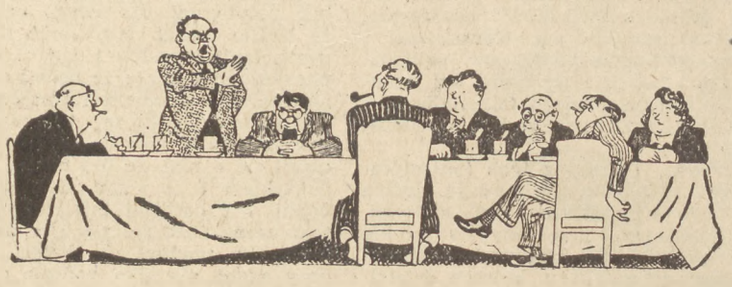

— Nie wolno nam aprobować tej sztuki! Pokazany jest w niej tchórz i asekurant, nietypowy wszak dla naszej epoki. Jednakowoż, nim odrzucimy tę rzecz, winniśmy zasięgnąć opinii Mitrofana Piotrowicza, Atanazego Jewgeniewicza i samego towarzysza Nikanorowa!

— W moim artykule sztuka została poddana bezlitosnej krytyce. Autor wyśmiewa w niej lizusa, zapominając, że lizusostwo jest zjawiskiem zupełnie nietypowym. A właśnie wy, towarzyszu, z właściwą wam dalekowzroczną przenikliwością, nieraz słusznie zwracaliście nam na to uwagę w swoich pełnych swady przemówieniach!

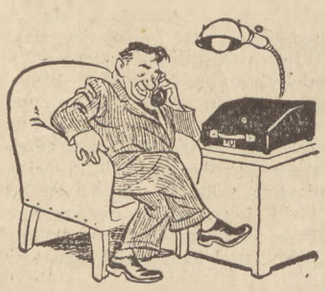

— W sztuce mojej występuje pewien działacz, osobnik bez zasad, kurek na dachu. Reżyser mi powiada, że trzeba go będzie ze sztuki usunąć, jako zjawisko nietypowe. Zgodziłem się z reżyserem i skreśliłem tę rolę. Ale kierownik artystyczny doszedł do wniosku, że bez tej figury sztuka staje się nieciekawa. No to dobrze, przywracam tekst. Jednak komitet nie dał zgody na ten wariant, więc znów tę rolę skreśliłem!... .

— W nowej mojej sztuce postaram się pokazać człowieka, który zwala na innych winę za własne swoje błędy. Że nie zająłem się wcześniej tym zjawiskiem — jest winą następujących towarzyszy (według alfabetu): Abkina, Bubkina, Capkina, Dapkina, Gwozdikowa itd.

— Kiedy przyjdzie autor tej sztuki, to proszę mu oznajmić, że nie mogę wyrazić zgody na wystawienie jego utworu. W sztuce pokazany jest biurokrata — cóż to, czy biurokracja, to typowe zjawisko? Jeśli ten dramaturg będzie chciał się ze mną widzieć, to proszę zapisać go na rozmowę, ale trzeba go uprzedzić, że nie może być przyjęty wcześniej niż za dwa tygodnie!

Tłumaczył DA

W. DYCHOWICZNY i M. SŁOBODSKOJ

O SPRAWIE OSOBISTEJ

Gdyś gmachów narodziny i toskoty maszyn —
Owoce twórczej pracy natchnieniem uwieńczył,
Może się, mój poeto, przyjrzysz ludziom naszym —
Kobietom i mężczyznom, dziewczętom, młodzieńcom.
Z „racjonalizatorem" zrymuj „ekskawator".
Odłóż wiersz rozpoczęty, marynarkę włóż-no.
Pójdziemy zbadać, czemu racjonalizator
Taki nieswój dziś, czemu ciasno mu i duszno.
Północ bije?
Nie szkodzi — chodź poeto ze mną.
Proszę patrzeć
i słuchać:
Miasto jeszcze nie śpi
I gwiezdnymi salwami wita noc wiosenną,
Wzdycha liśćmi i kipi od słowiczych pieśni.
Przypomnij sobie młodość.
Chodźmy ku bulwarom.
Wybacz, umyślnie tutaj przybyliśmy w gości.
Popatrzmy, jak milczące w ciszy, przez noc całą
Kroczą tu alejami patrole miłości.
Za tę ciszę bez słowa, nie przelaną w pieśni,
Kogo mają obwiniać, jeśli słów dziś brak im?
Tyś ich miłość przeoczył, tyś dłużnikiem jest ich,
Milczenie zawdzięczają dziś poetom takim.
Dokąd o pieśń się zwrócą? Do Nadsona może,
Z prośbą, aby ich wspomógł swoimi strofami?
Odpowie zakochany:
„Dziś nam Nadson na nic;
W wyrażeniu uczucia pomóc nam nie może
Nawet sam Błok wspaniały, ani inni starzy.
Z jakim spojrzy dziewczyna zdumieniem na twarzy,
Gdy jej Błoka słowami swe serce otworzę,
Że „smukła jest twa kibić jak świece ołtarzy",
Że „pozwól jak mnichowi na stos wejść i zgorzeć"?
Już bez żadnych tam stosów spaliłbym się przy tym
Na popiół, jej spojrzeniem palony jak ogniem.
Gdy usłyszy w wyznaniu liturgiczne zgrzyty,
Wyśmieje i poprosi, abym odszedł od niej..."
On ma rację.
Ty milczysz; nie dziwne, że jest ów
Powrót spleśniałej pieśni i że znowu brzęczą
Te rozpacznie — dręcząco — bezdennie — szaleńczo —
Teskno-łzawe zaśpiewy romansowych tekstów.
Na cóż to dzisiaj serce przodownika chore?
„Jam noc całą gwiaździstą we łzach gorzkich tonął?
A toć to nie on wcale, to rzewny tenorek
Roni łzę półlitrową z tuby gramofonu.
Bywa gorzej, starzyznę wywleka się jakąś,
Byle jak się otrzepie — i do ludzi śle to...
Przyznaj no się, czy aby tę zbutwiałą szmatę
Nie tyś „odświeżył" właśnie, kochany poeto?

Na twej kanapie poduszki czerwone,
Perfumy „Wolność", koniak „Gwiazdki Trzy".
Twe oczy twórczą pracą znużone
I lecą z nich rzęsiste łzy.

Nie ty, być może!
Ale czy nie równie piękne
Dla estrady koledzy pisali wierszyki,
O tym, jak on uwielbia jej cenne wskaźniki
I, gdy normę wykona, poprosi o rękę?

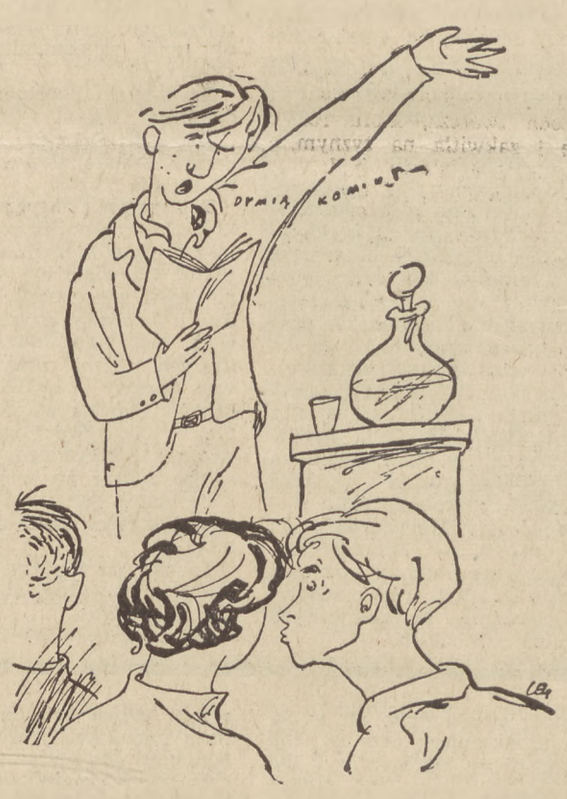

Rys. Jan Lenica

Przeoczać zakochanych ile jeszcze lat chcesz?
Kiedyż w liryce twojej ogień znów zapłonie?
Wśród zieleni ogrodów, na każdej przechadzce,
Jedna piosnka, najmilsza zakochanej parce,
Jedna tylko, samotna snuje się „Harmonia".
Boisz się, że cię krytyk zapragnie wychłostać,
Ciągły zrzęda, co wściubia w lirykę trzy grosze?
Ale przypatrz się jemu. Ta niemądra postać
To przecież wiecznie oschły i nudny świętoszek.
W pocałunkach przyczynę infekcji wyśledził.
Groźną bezideowość w uściskach odnalazł.
I wiosną się nie wzruszy ten wędrowny śledzik,
Od uczuć, namiętności, woli stronić z dala,
Przepędza miłość z książek, ze sceny wydala.
I skąd też takim ludziom potomstwo się bierze!
I jak też ma się żona przy takiej ofierze!
I czyż warto wam słuchać takiego krytyka?
Nie bój się, na uboczu liryk dziś nie staje.
A miłość to, być może, także polityka,
Państwowe zagadnienie w całym naszym kraju.
Płomienia serc nikt przecież nie dzieli na części,
Nie kryje oczu, w których miłość się rozjarzy, —
Po brzegi wypełniony jest niejednym szczęściem
Uśmiech naszej ojczyzny — wspólne szczęście nasze!
Nieprzebrana kopalnia uczuć jest otwarta,
A w niej złoża najczystszej i nowej miłości.
Drukując sprawozdania, można by co kwartał
Pisać o serc szczęśliwych codziennym przyroście!
O tym śpiewać!
Liryko przestań w tyle wlec się!

Uważajcie, poeci, — doczekacie, że
W imieniu zakochanych pracujących
— wiedzcie —
Nadejdzie zażalenie
prosto do KC!

przełożył Jerzy Ficowski

Z TEKI KARYKATUR ANTONIEGO STOPKI

Antoni Uniechowski

Czesław Rzepiński

Helena Cygańska-Walicka

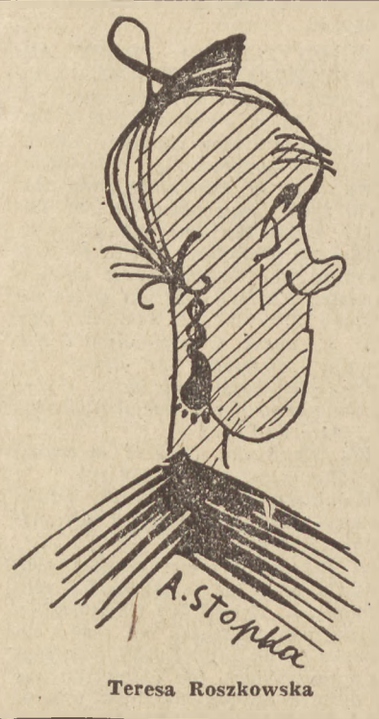

Teresa Roszkowska

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro tel 4-01-80, wewn 95 oraz bezpośredni 7-36-23 Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel 7 52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P. K. „Ruch", Oddz w Warszawie ul Srebrna 12, tel. 804-20 do 25 Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9 — półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36 — Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230.
Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, powyżej 10 egzemplarzy — ul Chmielna 25 Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm² Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa", W-wa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel 7-38-05 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-19140